

ISAAC BASHEVIS SINGER

Sztukmistrz z Lublina

Tytuł oryginału:
The Magician of Lublin

Przekład Krystyna Szerer

(jil4)

Rozdział pierwszy

1

Tego ranka Jasza Mazur, którego wszędzie poza rodzinnym miastem nazywano Sztukmistrem z Lublina, obudził się wcześniej. Po powrocie z objazdu zwykł był spędzać dzień czy dwa w łóżku; zmęczenie domagało się długiego snu. Żona jego, Estera, przynosiła mu bułki, mleko, talerz kaszy. Zjadał i znów zapadał w drzemkę. Papuga skrzeczała; małpka Joktan trajkotała; kanarki gwizdały i śpiewały, a Jasza, nie zwracając na nie uwagi, przypominał tylko Esterze, aby napoiła konie. Mógł nie zawracać sobie głowy takimi poleceniami; zawsze pamiętała, aby nabrać wody ze studni dla pary siwych kłaczy, Karej i Siwej, czyli, jak je żartobliwie przezwał Jasza, Pyłu i Prochu.

Jasza, choć tylko sztukmistrz, uchodził za bogatego; posiadał dom, stodoły, spichrze, stajnie, strych na siano, podwórze, na którym rosły dwie jabłonie, a także ogród, gdzie Estera uprawiała warzywa. Nie miał tylko dzieci. Estera była bezpłodna. Pod każdym innym względem okazała się dobrą żoną; potrafiła robić na drutach, uszyć suknię ślubną, upiec piernik i ciastka z owocami, wyrwać kurczakowi pypeć, postawić bańki czy przyłożyć pijawki, nawet upuścić pacjentowi krwi. Za młodu próbowała wszelkich możliwych środków na bezpłodność, teraz było już za późno: zbliżała się do czterdziestki.

Jasza, jak każdy sztukmistrz, nie cieszył się poważaniem społeczności. Nie nosił brody, a do synagogi chodził tylko w święta Rosz Haszana i Jom Kippur, a i to jeśli przebywał wtedy w Lublinie. Za to Estera nosiła zwyczajową chustkę na głowie i prowadziła kuchnię koszerną; przestrzegała szabasu i wszystkich nakazów. Jasza spędzał szabas na rozmowach i paleniu papierosów w towarzystwie muzykantów. Poważnym moralistom, którzy usiłowali go sprowadzić na

drogę cnoty, odpowiadał zawsze: „Kiedy byliście w niebie? Jak wyglądał Bóg?”.

Wszelka dyskusja z nim była bardzo ryzykowna, nie był bowiem głupcem, umiał czytać po rosyjsku i po polsku, a nawet dużo wiedział o sprawach żydowskich. Zuchwalec! Kiedyś spędził całą noc na cmentarzu, aby wygrać zakład. Potrafił chodzić po linie, ślizgać się na drucie, wspiąć się na ścianę, otworzyć każdy zamek. Ślusarz Abraham Lejbuś założył się o pięć rubli, że zrobi zamek, którego Jasza nie potrafi otworzyć. Pracował nad nim miesiącami, a Jasza otworzył go dłutem szewskim. W Lublinie powiadano, że gdyby Jasza wybrał sobie zawód złodzieja, żaden dom nie byłby bezpieczny.

Minęły dwa dni wylegiwania się w łóżku i Jasza wstał tego dnia ze słońcem. Był to niski mężczyzna o szerokich barach i wąskich biodrach; jasne włosy wiły mu się niesfornie, oczy miał wodnistoniebieskie, cienkie wargi, spiczastą brodę i krótki słowiański nos. Prawe oko miał nieco większe od lewego, co sprawiało, że wyglądał, jak gdyby ciągle bezczelnie i drwiąco mrugał. Ukończył już czterdzieści lat, choć wydawał się o dziesięć lat młodszy. Palce u nóg miał niemal tak długie i chwytne jak u rąk, trzymając w nich pióro potrafił podpisać się zamasyście. Potrafił również łuskać nimi groch. Wyginał swoje ciało we wszystkich kierunkach – powiadano, że ma giętkie kości i jest jak z gumy. Rzadko występował w Lublinie, ale ci nieliczni, którzy go widzieli, zachwycali się jego umiejętnościami. Potrafił chodzić na rękach, połykać ogień lub miecze, fikać koziołki jak małpa. Nikt nie mógł mu dorównać. Można go było uwięzić nocą w pokoju, zamknąć drzwi od zewnątrz, a następnego ranka Jasza przechał się nonszalancko po rynku, kłódka zaś nadal wisiała na drzwiach. Potrafił dokonać tego nawet ze związanymi rękami i nogami. Byli tacy, którzy twierdzili, że uprawia czarną magię i posiada czapkę niewidkę, dzięki czemu może przecisnąć się przez szpary w murze; inni zaś mówili, że jest po prostu mistrzem iluzji.

Wstał teraz, nie polewając rąk wodą, jak to powinien był uczynić, nie zmówił również porannej modlitwy. Wciągnął zielone spodnie, włożył czerwone pantofle domowe i czarną aksamitną kamizelkę przybraną srebrnymi cekinami. Ubierając się, skakał i błaznował jak uczeń, gwizdał na kanarki, zagadywał do małpki Juktana, mówił do psa Hamana i do kota Mecoce. Była to tylko część jego menaże-

rii. W podwórzu trzymał pawia i pawicę, parę indyków, stadko królików, a nawet węża, którego trzeba było co drugi dzień karmić żywą myszą.

Poranek był ciepły, zbliżało się święto Szewuot. W ogródku Estery pojawiły się już zielone pędy. Jasza otworzył drzwi stajni i wszedł do środka. Wciągnął głęboko zapach końskiego gnoju i pogłaskał klacze. Po czym wyczesał je zgrzebłem i nakarmił resztę zwierząt. Czasami po powrocie z podróży nie znajdował któregoś ze swoich faworytów, ale tym razem żadne ze zwierząt nie padło.

Był w dobrym humorze, poszedł więc na przechadzkę po swej posiadłości. Na podwórzu zieleń się trawa, rosło tam mnóstwo kwiatów: żółte, białe, nakrapiane pączki oraz kiście kwiatów rozwiewających się za każdym podmuchem. Gęsta roślinność i osty sięgały niemal dachu szopy. Motyle polatywały tu i tam, brzęczały pszczoły przenosząc się z kwiatu na kwiat. Każdy liść, każda łodyżka miała swego mieszkańca: a to robaka, a to owada, komara czy inne stworzonko ledwo dostrzegalne gołym okiem. Jak zwykle, Jasza dziwował się temu wszystkiemu. Skąd się wzięły? Jak istniały? Co robiły w nocy? Ginęły w zimie, ale latem znów roiło się od nich. Jak to się działo? W karczmie Jasza udawał ateistę, choć w rzeczywistości wierzył w Boga. Wszędzie znać było rękę boską. Każdy kwiat drzewa owocowego, każdy kamyczek i ziarnko piasku głosiło Jego obecność. Liście jabłoni, mokre od rosy, skrzyły się jak świece w porannym świetle. Dom stał na skraju miasta i Jasza widział przed sobą rozległe łąki pszenicy, teraz zielonej, ale za sześć tygodni już złotożółtej, gotowej do zżęcia. „Kto to wszystko stworzył? – pytał siebie Jasza. – Czyżby słońce? Jeśli tak, to może słońce jest Bogiem”. Jasza przeczytał w jakiejś świętej księdze, że Abraham czcił słońce, zanim uznał istnienie Jehowy.

Nie, nie był analfabetą. Jego ojciec był człowiekiem uczonym, a Jasza studiował nawet *Talmud* jako chłopiec. Po śmierci ojca radzono mu kontynuować naukę, on tymczasem wstąpił do cyrku. Był pół-żydem – ani żydem, ani chrześcijaninem. Wypracował sobie swoją własną religię. Istniał według niego Stwórca, lecz nikomu się nie objawiał, nie udzielał żadnych wskazówek, co wolno, a czego nie wolno. Ci, którzy przemawiali w Jego imieniu, kłamali.

Jasza zabawiał się na podwórzu, a tymczasem Estera przygotowywała śniadanie: wypieczoną bułkę z masłem i białym serem, cebulki, rzodkiewki, ogórek i kawę, którą sama zmełała i zaparzyła z mlekiem. Estera była niska, o ciemnych włosach, młodej twarzy, prostym nosie i czarnych oczach, w których odbijała się zarówno radość, jak i smutek. Bywało nawet, że te oczy rzucały swawolne iskierki. Kiedy się uśmiechała, górna warga unosiła się figlarnie odsłaniając drobne zęby, a w policzkach tworzyły się dołki. Ponieważ nie miała dzieci, woląла przebywać w towarzystwie dziewcząt niż mężatek. Zatrudniała dwie szwaczki, z którymi zawsze żartowała, mówiono jednak, że często płacze, gdy jest sama. Bóg zamknął jej łono, jak to jest napisane w *Pięcioksięgu*, chodziły więc słuchy, że wiele z zarobionych pieniędzy wydawała na szarlatanów i cudotwórców. Kiedyś wykrzyknęła, że zazdrości nawet tym matkom, których dzieci leżą na cmentarzu.

Podawała teraz Jaszy śniadanie. Usiadła naprzeciw niego na ławce i przyglądała mu się ironicznie, szacując z ciekawością. Nigdy mu się nie naprzykrzała, dopóki nie odpoczął po podróży, dziś jednak wyczytała z jego twarzy, że czas odpoczynku już się skończył. Jego ciągle nieobecności zaważyły na ich stosunkach; nie była to intymna zażyłość starego małżeństwa. Estera rozmawiała z nim o drobiazgach, jak z przygodnym znajomym.

– No i co nowego w wielkim świecie?

– Wciąż jest to ten sam stary świat.

– A co z twoimi sztuczkami?

– Wciąż są to te same stare sztuczki.

– A jak dziewczyny? Zaszły jakieś zmiany?

– Jakie dziewczyny? Nie ma żadnych.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. Chciałabym tylko mieć dwadzieścia srebrnych monet za każdą twoją dziewczynę.

– I co byś zrobiła z tak wielką sumą? – zapytał, przymykając jedno oko.

Znów zabrał się do jedzenia, patrząc w dal, poza nią. Podejrzenia nie opuszczały jej nigdy, ale on nie przyznawał się do niczego, za-

pewniając ją po każdej podróży, że wierzy tylko w jednego Boga i jedną żonę.

– Ci, którzy biegają za kobietami, nie chodzą po linii. Ledwo mogą wlec się po ziemi. Wiesz o tym równie dobrze jak ja – tłumaczył.

– Jakże mogłabym o tym wiedzieć? – pytała. – Nie stoję przecież przy twoim łóżku, kiedy jesteś na szlaku.

Uśmiechała się do niego z czułością i goryczą zarazem. Nie można go było pilnować jak innych mężów, bo więcej czasu spędzał w objazdach niż w domu, poznawał różne kobiety – wędrował dalej niż Cyganie. Tak, był wolny jak wiatr, ale dzięki Bogu, wracał do niej zawsze i zawsze przywoził jej podarek. Całował ją i brał w ramiona z takim pożądaniem, jak gdyby pędził życie świętego podczas swej nieobecności; co mogła jednak zwykła kobieta wiedzieć o męskich apetytach? Estera często żałowała, że wyszła za męża za sztukmistrza zamiast za krawca lub szewca, który siedzi cały dzień w domu i zawsze jest na widoku. Ale jej miłość do Jaszy wciąż trwała. Był dla niej i synem, i mężem. Każdy spędzony z nim dzień uważała za święto.

Estera przyglądała mu się podczas jedzenia. Jakoś inaczej wszystko robił niż zwykli ludzie. Kiedy jadł, przerywał nagle, jak gdyby w zamyśleniu, po czym znów zabierał się do jedzenia. Innym dziwnym przyzwyczajeniem Jaszy było igranie z nitką, na której wiązał przemysłne węzły, zachowując równe odstępy między nimi. Estera wpatrywała się często w jego oczy, starając się przeniknąć czające się w nich oszustwo, zawsze jednak pokonywała ją jego niewzruszoność. Wiele ukrywał, rzadko mówił poważnie, zawsze maskował swoje niepokoje. Nawet gdy był chory i krążył po pokoju rozpalony gorączką, Estera niczego się nie mogła dowiedzieć. Często wypytywała męża o występki, które rozślawiły go na całą Polskę, jednak on zbywał ją krótko albo wykręcał się żartem od odpowiedzi. W jednej chwili okazywał jej niezwykłą serdeczność, w następnej odsuwał się gdzieś daleko; wciąż ciekawił ją każdy jego ruch, każde słowo, każdy gest. Nawet gdy się wygłupiał i gadał jak uczeń, wszystko, co mówił, miało jakieś znaczenie. Zdarzało się, że dopiero po jego wyjeździe, kiedy znów znajdował się na szlaku, Estera pojmowała, co powiedział.

Od dwudziestu lat byli małżeństwem, wciąż jednak igrał z nią, jak w pierwszych dniach po ślubie. Pociągał ją za chustę, poszczy-

pywał w nos, wykręcając go, nazywał różnymi śmiesznymi imionami, jak Dzerambola, Kotuś, Gęsi Pipek – wiedziała, że to takie nazwy z gwary grajków. Dniem był jedną osobą, nocą inną. To piał radośnie jak kogut, kwiczał jak prosie, rżał jak koń, to znów wpadał w niezrozumiałą melancholię. W domu spędzał czas głównie w swoim pokoju, zajęty sprzętem, na który składały się kłódki, łańcuchy, sznury, pilniki, szczypce i różne inne drobiazgi. Ci, którzy oglądali jego sztuczki, opowiadali o łatwości, z jaką je wykonywał, ale Estera wiedziała o dniach i nocach spędzanych na udoskonalaniu sprzętu. Widziała, jak uczył kruka mówić po ludzku, a małpkę Joktana palić fajkę. Przerażała ją myśl o jego przepracowaniu, o możliwości pokąsania przez jakieś zwierzę czy upadku z liny. Wszystko to wydawało się Esterze czarami. Nawet nocą w łóżku słyszała, jak mlaska językiem lub trzaska palcami u nóg. Oczy miał niczym kot; potrafił widzieć w ciemności; wiedział, gdzie znaleźć zagubione przedmioty; umiał nawet czytać jej myśli. Kiedyś posprzeczała się z jedną ze szwaczek, a Jasza, wróciwszy późnym wieczorem do domu, ledwie słowo z nią zamienił, już odgadł, że zdarzyła jej się tego dnia kłótnia. Kiedy indziej zgubiła obrączkę i wszędzie jej szukała, zanim powiedziała mu o zgubie. Wziął ją wtedy za rękę i zaprowadził do beczki z wodą, w której na dnie leżała obrączka. Od dawna już doszła do wniosku, że nigdy nie potrafi zrozumieć w pełni tego człowieka. Posiadał ukrytą władzę; miał też więcej tajemnic niż błogosławiony podczas Rosz Haszany owoc granatu pestek.

3

Było południe i karczma Bejły świeciła pustką. Bejła drzemała w izbie z tyłu, barem zajmowała się jej mała pomocnica Cypora. Na podłodze rozrzucono świeże trociny, a na szynkwasiu postawiono pieczoną gęś, nóżki cielece w galarecie, siekane śledzie, placki jajeczne i precle. Jasza siedział przy stoliku ze Szmulem Muzykantem. Był to potężny mężczyzna o krzaczastej czarnej czuprynie, czarnych oczach, bokobrodach i cienkim wąsiku. Ubierał się na rosyjską modłę: bluza atlasowa, pas z chwastami i buty z cholewami. Szmul pracował przez wiele lat u pewnego ziemianina w Żytomierzu, wplątał

się jednak w romans z żoną rządcy swego pana i musiał uciekać. Jako najlepszy skrzypek w Lublinie, grał zawsze na weselach u bogaczy. Teraz, pomiędzy Pesach i Szewuot, wypadał jednak okres bez wesel. Przed Szmulem stał kufel piwa; on sam, oparty o ścianę, jedno oko przymrużył, drugim przyglądał się napojowi, jak gdyby zastanawiał się, czy ma pić czy nie. Na stole leżała bułka, a na bułce siedziała wielka złoto-zielona mucha, która również wydawała się niezdecydowana: odlecieć czy nie?

Jasza nie skosztował jeszcze piwa. Wydawał się oczarowany pianą. W wypełnionej po brzegi szklance bąbelki rozpląwały się jeden po drugim, aż pozostało tylko trzy czwarte jej zawartości.

– Szwindel, szwindle, bąbel, bąble – szepnął Jasza. Właśnie Szmul przechwalał się jedną ze swych przygód miłosnych, teraz zaś w przerwie między jedną a drugą opowiadką obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu zamyśleni. Jasza lubił słuchać opowiadań Szmula; gdyby zechciał, mógłby mu się odwzajemnić, ale przyjemność, którą mu Szmul sprawił, zmąciło gryzące i groźne uczucie zwątpienia. „Przypuśćmy, że mówi prawdę – pomyślał Jasza – wtedy kto kogo oszukuje?”. Głośno powiedział: – Nie wydaje mi się to wielkim zwycięstwem. Wziąłeś do niewoli żołnierza, który chciał się poddać.

– No, trzeba je łapać w odpowiednim momencie. W Lublinie to nie takie łatwe, jak ci się zdaje. Spotykasz dziewczynę. Ona cię pożąda, ty jej pożądasz, chodzi o to, jak ma się kot wdrapać na płot. Powiedzmy, że jesteś na ślubie. Po zakończeniu uroczystości ona wraca do domu z mężem, a ty nie wiesz nawet, gdzie mieszka. Nawet jeśli wiesz gdzie, to co z tego? Jeszcze jest jej matka, jej teściowa, siostry i szwagierki. Ty, Jasza, nie masz takich problemów. Jak już znajdziesz się po drugiej stronie miejskiej bramy, cały świat należy do ciebie.

– Nu dobra, jedź więc ze mną.

– Wziąłbyś mnie?

– Zrobię nawet więcej, poniosę wszystkie koszty.

– Nu tak, a co powiedziałyby Jentel? Kiedy człowiek ma dzieci, nie jest już wolny. Nie uwierzysz mi, ale tęskniłbym za dziećmi. Wystarczy, żebym wyjechał z miasta na kilka dni, a już dostaję niemal szalu. Czy potrafisz to zrozumieć?

– Ja? Ja rozumiem wszystko.

– Wbrew swojej woli człowiek się angażuje. To tak jakbyś wziął sznur i związał się nim.

– Co byś zrobił, gdyby twoja żona zachowywała się tak jak ta, o której mi opowiadałeś?

Szum spoważniał nagle.

– Wierz mi, udusiłbym ją. – Podniósł kufel do ust i wypił duszkiem.

„No, nie różni się niczym od innych – pomyślał Jasza, popijając piwo. – Wszyscy tego chcemy. Ale jak sobie z tym radzić?”

Od pewnego czasu Jasza borykał się z tym właśnie dylematem. Niepokoiło go to w dzień i w nocy. Oczywiście, zawsze skłonny był do rozmyślań filozoficznych, do fantazjowania i osobliwych domysłów, ale od pojawienia się Emilii umysł jego nie zaznał spokoju. Jasza stał się prawdziwym filozofem. Zamiast połknąć piwo, smakował jego gorycz na języku, dziąsłach, podniebieniu. W przeszłości szumiał na wszelkie sposoby, wplątywał się i wyplątywał z licznych przygód, lecz w jakimś ostatecznym sensie małżeństwo pozostawało dla niego czymś świętym. Nigdy nie ukrywał, że jest żonaty, i zawsze stawiał sprawę jasno: nie robi niczego, co naraziłoby na szwank jego małżeństwo. Emilia jednak żądała, aby poświęcił wszystko, dom, religię, a i to nie wystarczało. Musi jeszcze zdobyć w jakiś sposób wielką sumę pieniędzy. Jak tego dokonać uczciwie?

„Nie, muszę z tym skończyć – powiedział sobie – im wcześniej, tym lepiej”.

Szum podkreślił wąsy i zwilżył je śliną, aby wyostrzyć ich końce.

– Co z Magdą? – zapytał.

Jasza zbudził się z zamyślenia.

– A co ma być? Nic się nie zmieniła.

– Jej matka wciąż żyje?

– Tak.

– Czy nauczyłeś ją czegoś?

– Kilka sztuczek.

– Czego na przykład?

– Potrafi toczyć beczkę nogami i wykonywać salta.

– To wszystko?

– Tak jest.

– Ktoś pokazał mi warszawską gazetę, gdzie robiono wiele hałasu wokół ciebie. Co za wrzawa! Powiadają, że dorównujesz sztukmistrzowi Napoleona III. Ale z ciebie kuglarz, Jasza. Naprawdę jesteś mistrzem oszustwa.

Słowa Szmula zirytowały go; Jasza nie lubił dyskutować o swych sztuczkach magicznych i przez chwilę spierał się sam ze sobą, po czym zdecydował: „Wcale mu nie odpowiem”. Ale głośno powiedział:

– Nikogo nie oszukuję.

– Nie, oczywiście, że nie. Naprawdę połykasz miecz.

– Oczywiście.

– Powiedz to swojej babci.

– Ty głupcze, jak może ktokolwiek oszukiwać oczy? Usłyszałeś gdzieś słowo „oszustwo” i powtarzasz je jak papuga. Czy ty w ogóle wiesz, co to słowo znaczy? Popatrz tylko, a zobaczysz, że miecz wchodzi do gardła, nie do kieszeni kamizelki.

– Ostrze wchodzi do twojego gardła?

– Najpierw do gardła, potem do żołądka.

– A ty żyjesz?

– Jak dotąd.

– Aj, Jasza, nie wymagaj, żebym w to uwierzył.

– A komu zależy na tym, w co wierzysz? – odparł Jasza, odczuwając nagle wielkie zmęczenie. Szmul to zwykły głupi krzykacz, który nie potrafi myśleć samodzielnie. „Tacy widzą na własne oczy, ale nie wierzą” – pomyślał Jasza. A co do Jentel, żony Szmula, wiedział o niej coś, co by doprowadziło tego tępaka do szaleństwa. No cóż, każdy coś ukrywa. Każdy ma swoje tajemnice. Gdyby świat dowiedział się o tym, co dzieje się w myślach Jaszy, dawno by go zamknięto u wariatów.

Zapadł zmierzch. Za miastem było jeszcze dość jasno, ale w wąskich uliczkach i między wysokimi budynkami panował już mrok. W sklepach zapalano lampy naftowe i świece. Ulicami szli brodaci Żydzi w długich kapotach i butach z szerokimi cholewami, w drodze na wieczorne modły. Księżyc był na nowiu, księżyc miesiąca Siwan. Na ulicach stały wciąż kałuże, ślady wiosennego deszczu, choć cały dzień słońce mocno grzało. Tu i ówdzie ze ścieków wypływała cuchnąca woda; powietrzem niósł się zapach końskiego gnoju i krowiego łajna oraz świeżo udojonego mleka. Z kominów unosił się dym; gospodynie przygotowywały posiłek wieczorny: zupa z kaszą, duszone mięso z kaszą, grzyby z kaszą. Jasza pożegnał się ze Szmulem i skierował do domu. Na świecie, wszędzie poza Lublinem, wrzało. Co dzień polskie gazety zamieszczały wiadomości o wojnie, rewolucji lub kryzysie. Wszędzie wypędzano Żydów ze wsi. Wielu emigrowało do Ameryki. Ale tu, w Lublinie, odczuwało się tylko stabilność z dawna istniejącej społeczności. Niektóre synagogi zbudowano jeszcze za czasów Chmielnickiego. Na cmentarzu leżeli rabini, jak również autorzy komentarzy, prawnicy i święci, a każdy miał własny nagrobek lub kapliczkę. Panowały tu dawne obyczaje: kobiety zajmowały się interesami, mężczyźni studiowali *Torę*.

Do święta Szewuot pozostało jeszcze kilka dni, ale chłopcy z chederu przystroili już okna licznymi rysunkami i wycinankami; były tam również ptaki ulepione z ciasta i skorupki jaj, liście i gałęzie przyniesiono ze wsi na święto, na pamiątkę dnia, w którym otrzymano *Torę* na górze Synaj.

Jasza zatrzymał się przy jednej z bóżnic i zajrzał do środka. Wierni recytowali wieczorne modlitwy. Posłyszał spokojny, jednostajny pogwar: odmawiali Osiemnaście Błogosławieństw. Pobożni Żydzi, którzy służyli swemu Stwórcy przez okrągły rok, bili się w piersi, wołając: „Zgrzeszyliśmy”, „Zawiniliśmy”. Jedni podnosili ręce, inni oczy – ku niebu.

Starzec w chałacie i wysokim kapeluszu włożonym na dwie jarmułki, noszone jedna na drugiej, szarpał białą brodę i zawodził cicho. Na ścianach tańczyły cienie w drżącym świetle jedyne go znicza w menorze. Jasza stał przez chwilę w otwartych drzwiach, wdycha-

jąc mieszaninę zapachów – wosku, łożu i czegoś stęchłego – czegoś, co zapamiętał z dzieciństwa. Żydzi – cała ich społeczność – zwracali się do Boga, którego nikt nie widział. A chociaż plagi, głód, nędza i pogromy były Jego darem, oni uważali, że jest miłosierny i litościwy, i głosili, iż są Jego narodem wybranym. Jasza często zazdrościł im ich niezłomnej wiary.

Stał tam przez chwilę, po czym ruszył dalej. Latarnie uliczne paliły się, ale niewiele to pomagało. Ledwie rozpraszały mrok panujący pod nimi. Trudno było zrozumieć, po co otwarte są sklepy, skoro nie widziało się żadnych klientów. Sklepiarki, w chustkach na ogolonych głowach, siedziały, cerując skarpetki swych mężów i synów lub szyjąc fartuszki i podkoszulki dla wnuków. Jasza znał wszystkie. Wydawano je za mąż w wieku lat czternastu lub piętnastu, toteż około trzydziestki były już babkami. Starość, przedwcześnie przyzwana, naznaczyła ich twarze, zabrała im zęby i napełniła je łagodnością i tkliwością.

Jasza, choć tak jak jego ojciec i dziadek tu się urodził, pozostał obcym, nie tylko dlatego, że odrzucił swe żydostwo, lecz także dlatego, że wszędzie czuł się obco, zarówno tu, jak i w Warszawie, wśród Żydów i gojów. Wszyscy mieli uregulowane życie i domy, on zaś był w ciągłych rozjazdach. Mieli dzieci i wnuki, on ich nie miał. Mieli swego Boga, swych świętych i przywódców, on miał tylko wątpliwości. Dla nich śmierć oznaczała raj, dla niego tylko strach. Co się dzieje po zakończeniu życia? Czy istnieje coś takiego jak dusza? Co się z nią dzieje po opuszczeniu ciała? Od dziecka słuchał opowieści o dybukach, duchach, wilkołakach i chochlikach. On sam doświadczył rzeczy nie dających się wytłumaczyć prawami natury, ale co to znaczyło? Gubił się w tym wszystkim coraz bardziej i zamykał w sobie. Szalały w nim żywioły, namiętności napełniały przeżeniem.

Gdy tak szedł w ciemnościach, pojawiła się przed nim twarz Emilii: wąska, o oliwkowej cerze, czarnych żydowskich oczach, słowiańskim zadartym nosie, dołeczkach w policzkach i wysokim czole; włosy miała szesane gładko do tyłu, ciemny puszek ocieniał górną wargę. Uśmiechała się, wstydliva, a zarazem pożądana, i przyglądała mu się dociekliwie, jak kobieta doświadczona, ale i pełna uczuć siostrzanych. Chciał wyciągnąć rękę, by jej dotknąć. Czy to jego wy-

obrażnia była tak żywa, czy też widział ją naprawdę? Obraz Emilii oddalał się jak feretron w procesji. Widział szczegóły jej uczesania, koronkę przy szyi, kolczyki w uszach. Tak bardzo chciał ją zawołać. Żadne jego poprzednie romanse nie mogły równać się z tym. We śnie czy na jawie, tęsknił za nią. Teraz, gdy zmęczenie minęło, nie mógł doczekać się końca świąt Szewuot, aby móc znów być z nią w Warszawie. Nie potrafił zaspokoić swej namiętności w ramionach Estery, choć przecież próbował.

Ktoś go potracił. Był to Chaskiel, nosiwoda, z dwoma wiadrami zawieszonymi na drągu. Zdawało się, że wyskoczył spod ziemi. Na jego rudej brodzie igrało odbite światło jakiejś lampy.

– To ty, Chaskiel?

– A któż by?

– Czy nie za późno na noszenie wody?

– Potrzebuję pieniędzy na święta.

Jasza pogrzebał w kieszeni, znalazł dwudziestogroszówkę.

– Masz tu.

Chaskiel się nasrożył.

– Co to jest? Nie przyjmuję jałmużny.

– To nie jałmużna, to dla twego synka, żeby sobie kupił bułkę maślaną.

– Nu, dobrze, wezmę. I dziękuję.

Brudne palce Chaskiela spłoty się na chwilę z palcami Jaszy.

Jasza doszedł do domu i spojrzał w okno. Szwaczki pracowały nad wyprawą jakiejś panny młodej. Palce w napastrkach szyły wprawnie i szybko. Rude włosy jednej z nich wydawały się płonąć w świetle lampy. Estera krzątała się przy piecu, dorzucając sosnowe gałązki pod trójnog, na którym gotowała się kolacja. W środku pokoju stała dzieża z ciastem przykryta szmatami i poduszką. Estera zamierzała upiec bułki maślane na święta Szewuot. „Czy mogę ją opuścić? – pomyślał Jasza. – Przez te wszystkie lata była moim jedynym oparciem. Gdyby nie jej oddanie, dawno już bym się zawieruszył jak liść na wietrze...”

Nie od razu poszedł do swego pokoju, skierował się korytarzem na podwórze, aby zajrzeć do klaczy. To podwórko było jak kawałek

wsi pośród miasta. Na trawie osiadła rosa, jabłka, zielone i niedojrzałe, już pachniały. Niebo wydawało się tu niższe, bardziej usiane gwiazdami. Kiedy Jasza wszedł na podwórze, gdzieś daleko oderwała się gwiazda i spadła, wlokąc za sobą płomienisty ogon. Powietrze pachniało pół słodko, pół gorzko, pełne szelestów, niepokoju i cykania świerszczy, chwilami przypominającego głośnie dzwonienie. Wokół pomykały myszy polne. Krety zryły ziemię, ptasie gniazda tkwiły na gałęziach drzew, w stodole i na okapach. Na stryszku z sianem drzemały kury. Co noc ptactwo klóciło się cicho o miejsce na ganku. Jasza odetchnął głęboko. Dziwne, że każda gwiazda była większa od Ziemi i znajdowała się w odległości milionów mil. Gdyby wykopać dół głębokości tysięcy mil, dotarłoby się do Ameryki... Otworzył drzwi stajni. Konie rysowały się tajemniczo pod osłoną mroku. Ich oczy o rozszerzonych źrenicach nakrapiane były złotem lub skrzyły się ogniem. Jasza przypomniał sobie, co mówił mu jego ojciec, błogosławiona niech będzie jego pamięć, że zwierzęta potrafią dojrzeć złe siły. Kara machnęła ogonem i pogrzebała kopytem. Powiało przejmującym zwierzęcym przywiązaniem klaczy do pana.

5

W Szewuot wszystkie świątynie, domy modlitwy i chasydzkie izby modlitewne były przepełnione. Nawet Estera włożyła kapelusz, który zrobiła sobie do ślubu, wzięła modlitewnik ze złotymi grawerowanymi literami i skierowała się do synagogi dla kobiet. Jasza pozostał jednak w domu. Skoro Bóg nie odpowiada, po cóż zwracać się do Niego? Zabrał się do czytania grubej polskiej książki o prawach przyrody, którą kupił w Warszawie. Wszystko tam wytłumaczono: prawo ciężkości, to, że magnes ma biegun północny i południowy, jak podobieństwa się przyciągają, a przeciwieństwa odpychają. Wszystko tam było: dlaczego statek utrzymuje się na wodzie, jak działa prasa hydrauliczna, jak piorunochron przyciąga pioruny, jak para porusza lokomotywę. Jasza uważał, że takie informacje mają nie tylko zasadnicze znaczenie, lecz także są interesujące. Latami chodził na linie, nie wiedząc, że udawało mu się to tylko dlatego, iż potrafił utrzymać swój środek ciężkości dokładnie nad liną. Kiedy

jednak skończył tę rewelacyjną książkę, wiele pytań pozostało wciąż bez odpowiedzi. Dlaczego ziemia przyciąga do siebie kamień? Co to właściwie jest przyciąganie ziemskie? I dlaczego magnes przyciąga żelazo, a miedź nie? Co to jest elektryczność? I skąd się to wszystko bierze: z nieba, z ziemi, ze słońca, z księżyca, z gwiazd? W książce wspomniano o teorii systemu słonecznego Kanta i Laplace'a, lecz jakoś nie brzmiało to przekonująco. Emilia podarowała Jaszy pracę o religii chrześcijańskiej, napisaną przez profesora teologii, jednakże opowieść o niepokalanym poczęciu i wyjaśnienie istoty Trójcy – Ojciec, Syn i Duch Święty – wydawały się Jaszy jeszcze bardziej niewiarygodne niż cuda, które chasydzi przypisywali swoim rabinom. „Jak ona może w to wierzyć? – zapytywał siebie. – Nie, ona tylko udaje. Oni wszyscy udają. Cały świat odgrywa farsę, ponieważ każdy wstydzi się powiedzieć: nie wiem”.

Chodził tam i z powrotem po pokoju. Zawsze kiedy zostawał sam w domu, a inni poszli do świątyni, przychodziły mu rozmaite myśli do głowy. Jak to się stało? Jego ojciec był pobożnym, ubogim Żydem i handlował towarami żelaznymi. Matka umarła, gdy Jasza miał siedem lat, ojciec nie ożenił się powtórnie i chłopiec wychowywał się sam. Jednego dnia szedł do chederu, a następne trzy dni opuszczał. W sklepie jego ojca znajdowało się mnóstwo zamków i kluczy, które bardzo Jaszę ciekawiły. Grzebał w jakimś zamku dopóty, dopóki nie otworzył go bez klucza. Kiedy z Warszawy i innych dużych miast przyjeżdżali do Lublina kuglarze, Jasza łąził za nimi, obserwując ich sztuczki, a później starał się je naśladować. Zauważywszy jakąś sztuczkę karcianą, tak długo manipulował talią kart, póki się jej nie nauczył. Widział kiedyś występy linoskoczka i zaraz poszedł do domu spróbować swoich sił. Spadał i znów wchodził na linę. Uganiał się po dachach, pływał na głębini, skakał z balkonów (na słomę wyrzucaną z sienników przed Pesach), ale nigdy jakoś nic mu się nie stało. Oszukiwał w modlitwie i bezcześcił szabas, wciąż jednak wierzył w swego anioła stróża, który go pilnował i strzegł przed niebezpieczeństwem. Mimo że miał opinię niewierzącego, łobuza i dzikusa, zakochała się w nim porządna dziewczyna, Estera. Włóczył się z cyrkiem, z treserem niedźwiedzi, a nawet z polską wędrowną trupą, która występowała w remizach strażackich, lecz Estera czekała cierpliwie, przebacząc mu wszystkie jego grzeszki. Dzięki niej miał dom i po-

siadłość. Świadomość, że Estera na niego czeka, budziła w nim ambicję polepszenia swej pozycji, dostania się do cyrku warszawskiego i teatrzyków letnich; marzył, aby stać się sławnym w całej Polsce. Nie był już teraz ulicznym kuglarzem, który włóczy się po miasteczkach z harmonią i małpą – ale artystą. Gazety go wychwalały, nazywały mistrzem, wielkim talentem; arystokraci i wielkie damy przychodzili za kulisy witać się z nim. Wszyscy mówili, że gdyby mieszkał w zachodniej Europie, byłby już sławny na cały świat.

Lata mijały, trudno mu było powiedzieć kiedy. Czasami czuł się młodym chłopcem, kiedy indziej wydawało mu się, że ma sto lat. Nauczył się polskiego, rosyjskiego, gramatyki i arytmetyki, wertował podręczniki z zakresu algebry, fizyki, geografii, chemii i historii. Umysł miał nafaszerowany faktami, datami, wiadomościami. Pamiętał wszystko, niczego nie zapomniał. Jedno spojrzenie wystarczało mu na ocenę człowieka. Wystarczyło otworzyć usta, a Jasza już wiedział, co się powie. Potrafił czytać z zawiązanymi oczami, znał się doskonale na mesmeryzmie, magnetyzmie i hipnozie. Lecz to, co działo się z nim i Emilią, wdową po profesorze, pochodzącą z bardzo dobrej rodziny, to było coś zupełnie innego. Nie on ją magnetyzował, ale ona jego. Myśl o niej nie opuszczała go nigdy, nawet gdy dzielilo ich wiele mil. Czuł jej spojrzenie, słyszał jej głos, wdychał jej zapach. Był cały napięty, jak gdyby chodził po linie. Gdy tylko zasnął, przychodziła do niego, w duchu tylko, a jednak tętniąca życiem, szepcząca czułe słówka, całując go, tuląc, obsypując pieścizotami; co najdziwniejsze, towarzyszyła jej córka, Halina.

Drzwi otworzyły się i weszła Estera, trzymając w jednej ręce modlitewnik, w drugiej tren jedwabnej sukni, cały w zakładki i plisy. Kapelusz z piórami przypominał Jaszy pierwszą sobotę po ślubie, kiedy prowadzono Esterę, jako młodą żonę, do świątyni. Teraz oczy jej błyszczały radością – zadowoleniem, które się odczuwa po wspólnych uroczystościach.

– Wesółych świąt!

– Wesółych świąt, Estero!

Objął ją, a ona spłonęła jak panna młoda. Długie okresy rozłąki sprawiały, że nie wygasł w nich zapal nowożeńców.

– Co nowego w świątyni?

– Męskiej czy żeńskiej?

– Żeńskiej.

Estera się roześmiała.

– Kobiety są zawsze kobietami. Trochę modlitw i trochę plotek. Szkoda, że nie słyszałeś modlitwy Hakdamot. Wspaniała. Można ją porównać z najlepszą operą!

Natychmiast zabrała się do przygotowywania świątecznego posiłku. Bez względu na przekonania Jaszy pragnęła mieć przyzwoity żydowski dom, taki, jaki mieli inni. Postawiła na stole karafkę wina, pucharek, nad którym wypowiada się błogosławieństwo, bliźniacze pojemniczki z solą i miodem, położyła chałę i nóż do chleba z trzonkiem z macicy perłowej. Jasza wypowiedział błogosławieństwo nad winem. To jedyne, czego nigdy nie ośmielił się jej odmówić. Byli sami, co zawsze przypominało Esterze jej nieplodność. Jakże inaczej wyglądałoby wszystko, gdyby mieli dzieci! Uśmiechnęła się smutno i otarła łzę brzegiem haftowanego fartucha. Podała rybę, kluski na mleku, pierogi z serem i cynamonem, na deser kompot ze śliwek i babkę piaskową oraz kawę. Jasza zawsze wracał do domu na święta; tylko wtedy przebywali razem. Jedząc, przyglądała się mężowi. Kim jest? Dlaczego go kocha? Wiedziała, że prowadzi grzeszne życie. Nie ujawniała wszystkiego, o czym wiedziała; tylko Bóg znał jego upadki. Trudno jej było jednak żywić do męża urazę. Wszyscy go oczerniali i litowali się nad nią, ona jednak wołała go od każdego innego mężczyzny, nawet najwyżej postawionego – nawet rabina.

Po posiłku udali się do sypialni. Zwykle mąż i żona nie uprawiają miłości w dzień, ale kiedy wyszedł przed dom, aby zamknąć okiennice, nie zaprotestowała. A gdy tylko objął ją ramieniem, ogarnęło ją pożądanie, jak gdyby była młodą dziewczyną, bo kobieta, która nigdy nie poczęła, pozostaje zawsze dziewicą.

Rozdział drugi

1

Skończyły się święta Szewuot. Jasza znów przygotowywał się do wyjazdu na szlak. Podczas ostatniej nocy w domu mówił Esterze rzeczy przerażające.

– Co byś czuła, gdybym nigdy nie wrócił? – zapytał. – Co byś zrobiła, gdybym umarł na objeździe?

Estera zamknęła mu usta dłonią i poprosiła, aby nigdy tak nie mówił, ale on nalegał:

– Widzisz, takie rzeczy się zdarzają. Właśnie niedawno wspiałem się na wieżę ratusza; bardzo łatwo mogłem się tam poślizgnąć.

Wspomniał również o testamencie i zażądał, aby nie nosiła po nim długo żałoby, gdyby umarł. Potem pokazał jej skrytkę, gdzie schował kilkaset rubli w złocie. Kiedy Estera zaprotestowała, mówiąc, że psuje ostatnie godziny przed powtórным spotkaniem podczas Groźnych Dni, odpowiedział:

– No to przypuścmy, że zakocham się w kimś i będę chciał cię opuścić. Co byś na to powiedziała?

– Co? Zakochałeś się w kimś?

– Nie bądź śmieszna.

– Lepiej powiedz mi prawdę.

Ucałował ją i poprzysiągł wieczną miłość. Takie sceny nie były niczym nowym. Lubił dokuczać jej sugerowaniem różnych ewentualności i niepokoić dziwnymi pytaniami. Jak długo czekałaby na niego, gdyby go uwięziono? Albo gdyby pojechał do Ameryki? Albo gdyby zapadł na suchoty i musiał przebywać w sanatorium? Odpowiedź Estery była zawsze taka sama: nikogo innego nie potrafiłaby pokochać; życie jej skończyłoby się, gdyby go zabrakło. Często jednak powracał do takich indagacji. Teraz powiedział:

– Co by się stało, gdybym został pustelnikiem i dla pokuty kazał się zamurować w celi bez drzwi jak ów święty na Litwie? Czy i wtedy pozostałabyś mi wierna? Podawałabyś mi jedzenie przez szparę w murze?

– Nie trzeba zamurować się w celi, żeby pokutować – odparła Estera.

– To zależy od rodzaju namiętności, którą się chce opanować – rzekł.

– Zamurowałabym się z tobą.

Wszystko kończyło się nowymi pieszczotami, czułymi słówkami i obietnicami wiecznej miłości. Esterze, gdy zasnęła, śnił się okropny koszmar, toteż nazajutrz pościła aż do południa. Odmówiła cicho modlitwę, którą znalazła w modlitewniku: „Boże Wszchemogący, należę do Ciebie i moje sny są Twymi snami...” Wrzuciła również sześć groszy do puszki na datki rebege Mejera Cudotwórcy. Poprosiła Jaszę, aby przysiągł na wszystkie świętości, że nigdy już nie będzie jej dręczył taką czczą gadaniną, bo skąd można wiedzieć, co kryje przyszłość. O wszystkim decydowały Niebiosy.

Skończyły się święta. Jasza zaprzągnął wóz i gotował się do podróży. Zabierał ze sobą małpkę, kruka i papugę. Esterze oczy zapuchły od płaczu. Głowa bolała ją z jednej strony, lewą pierś ugniatał jakiś ciężar. Zwykle nie piła alkoholu, ale przez pierwsze dni po jego wyjeździe sączyła wiśniówkę, aby sobie poprawić humor. Jej zmartwienie odbijało się na szwaczkach, bo krytykowała każdy ścieg. Co dziwniejsze, dziewczęta też sposepniały po wyjeździe Jaszy – taki był z niego „szczęściarz”.

Wyjechał w sobotę wieczorem. Estera towarzyszyła mu na wozie aż do głównej drogi. Byłaby pojechała dalej, ale żartobliwie wygonił ją batem. Nie chciał, aby wracała tak daleko sama po ciemku. Pocałował ją po raz ostatni i zostawił na drodze, zalaną łzami, z wyciągniętymi ramionami. Od lat tak się rozstawali, tym razem jednak pożegnanie zdawało się trudniejsze niż kiedykolwiek.

Cmoknął na konie, ruszyły kłusem. Noc była ciepła, na niebie świecił księżyc w trzeciej kwadrze. Oczy Jaszy zaszyły mgłą, po chwili popuścił koniom cugli. Księżyc podążał za nim. Na polach, tonących we wspaniałej poświacie, koniuszki zielonej pszenicy lśniły

srebrzyście. Rozróżniał wyraźnie każdego stracha na wróble, każdą miedzę, każdy bławatek przy drodze. Rosa spadała na ziemię jak mąka z boskiego sita. Coś wrzało na polach, jak gdyby niewidoczne ziarna sypały się do niewidocznego młyna. Nawet konie odwracały chwilami łby. Można było nieomal usłyszeć, jak korzenie ssą ziemię, jak rosną łądygi, a podziemne strumyki płyną. Chwilami jakiś cień, niby mityczny ptak, przesuwiał się przez pola. Od czasu do czasu rozlegało się brzęczenie, ni to ludzkie, ni zwierzęce, jak gdyby jakiś potwór polatywał gdzieś w przestrzeni. Jasza odetchnął głęboko, pomacał pistolet, który nosił dla obrony przed rabusiami. Jechał do Piasków. Tam, pod miastem, mieszkała matka Magdy, wdowa po kowalu. W samych Piaskach zaliczał do swych znajomych kilku notorycznych złodziei, jak również niejaką Zewtel, opuszczoną żonę, z którą miał romans.

Wkrótce ukazała się kuźnia; był to okopcony budynek o krzywym dachu rozdartym jak opuszczone gniazdo, pochyłych murach i dziurze zamiast okna. Kiedyś Adam Zbarski, ojciec Magdy, kuł tu siekiery i lemiesz. Syn szlachcica, zrujnowanego przez powstanie 1830 roku, posłał Magdę do szkoły w Lublinie, a później zmarł podczas epidemii. Od ośmiu lat Magda była asystentką Jaszy. Jako akrobatka miała krótkie włosy oraz nosiła trykoty podczas występów, kiedy to wykonywała salta, toczyła beczkę nogami i podawała Jaszy sprzęt kuglarski. W Warszawie, na Starym Mieście, mieli wspólne mieszkanie. Zameldowana była jako jego służąca.

Widać konie poznały kuźnię, bo ruszyły prędzej. Jechał teraz przez pola gryki i kartofli, mijając przydrożną kapliczkę, w której Panienska Maria trzymała w ramionach Dzieciątko. W księżycowej poświacie figura wydawała się dziwnie żywa. Nieco dalej, na wzgórzu, znajdował się cmentarz katolicki, ogrodzony niskim płotem. Jasza wyteżył wzrok. Tu leżeli ci, którzy spoczęli na wieki. Zawsze szukał na cmentarzach śladów życia po śmierci. Słyszał różne opowiadania o płomykach migoczących pośród grobów, jak również o widmach i duchach. Powiadano o dziadku Jaszy, że ukazywał się swym dzieciom, a nawet i obcym, tygodniami i miesiącami po śmierci. Mówiono nawet, że raz zastukał do okna swojej córki. Jasza niczego jednak teraz nie zobaczył. Pochylone ku sobie brzozy wyglądały jak skamieniałe. Chociaż nie było wiatru, liście ich szeleściły, jak gdyby po-

ruszały się samoczynnie, Nagrobki patrzyły na siebie w milczeniu istot, które powiedziały już ostatnie słowo.

2

Zbarskie spodziewały się Jaszy; ani matka, ani córka nie udały się jeszcze na spoczynek. Elżbieta Zbarska, wdowa po kowalu, była kobietą tęgą, przypominającą stóg siana. Miała siwe włosy upięte z tyłu głowy i twarz subtelną pomimo swych rozmiarów. Układała pasjansa, a chociaż nie umiała czytać ani pisać, wcześniej bowiem została sierotą, znajomość kart wskazywała niezbitcie na jej szlachetne pochodzenie. Musiała być kiedyś piękna, bo nawet teraz rysy miała regularne: nos foremny, lekko zadarty, usta wąskie i ładnie wykrojone, nie brakowało w nich ani jednego zęba, oczy błyszczące. Ale pod podwójnym podbródkiem zwisało wole sięgające niemal piersi; biust wystawał niczym balkon, ramiona miała niezwykle grube i ciężkie, tułów jak worek wypchany ciałem, z którego tu i ówdzie sterczały małe wypukłości. Narzekała na nogi i nawet w domu chodziła o lasce. Karty były brudne i pogniecione.

Elżbieta mruknęła do siebie:

– Znów as pikowy! To zły znak. Coś się stanie, dzieci, coś się stanie!...

– Co się ma stać, mamó? Nie bądź przesądna! – wykrzyknęła Magda.

Magda spakowała już swoje manatki do skrzyni o miedzianych obręczach – podarunku od Jaszy. Zbliżała się do trzydziestki, ale wyglądała młodziej; widzowie oceniali ją na nie więcej niż osiemnaście lat. Szczupła, śniada, o płaskim biuście, sama skóra i kości, wprost trudno uwierzyć, że to dziecko Elżbiety. Miała szarozielone oczy, zadarty nos, pełne wargi, odęte, jak gdyby gotowe do pocałunku lub jak usta dziecka, któremu się zbiera na płacz, chudą, długą szyję, popielate włosy, czerwoną wysypkę na policzkach. Z powodu pryszczatej cery nadano jej w szkole przezwisko Żaby. Była wtedy gburowatą, zamkniętą w sobie dziewczynką, o ukradkowym spojrzeniu, skłoną do głupich wybryków. Już wtedy odznaczała się niezwy-

klą zwinnością. Potrafiła wspiąć się na drzewo, opanować najnowszy taniec, a wieczorem po zgaszeniu światła wyjść z sypialni przez okno i wrócić tą samą drogą. Jeszcze teraz wspominała szkołę jak zły sen. Źle się uczyła, koleżanki jej dokuczały z powodu ojca kowala, nawet nauczycielki zachowywały się nieprzyjaźnie. Kilka razy próbowała uciec, często klóciła się z koleżankami, raz, po ukaraniu, plunęła siostrze zakonnej w twarz. Kiedy ojciec jej umarł, Magda opuściła szkołę bez świadectwa. Wkrótce potem Jasza zaangażował ją na asystentkę.

Kiedy Magda była młodsza, mówiono, że pojawienie się w jej życiu mężczyzny wyleczy ją z wysypki, której oczywistą przyczynę upatrywano w dziewiczej frustracji; ale chociaż od lat była kochanką Jaszy, wciąż miała złą cerę. Magda nie ukrywała stosunku ze swym szefem. Zawsze gdy Jasza spędzał noc u Zbarskich, spała z nim w wielkim łóżu stojącym w alkowie, rano zaś jej matka przynosiła leżącej w łóżku parze herbatę z mlekiem. Elżbieta mówiła do Jaszy „mój synu”. Dawniej młodszy brat Magdy, Bolek, wściekły był na Jaszę i przysięgał zemstę, ale ostatecznie nawet on przyzwyczał się do tej sytuacji. Jasza pomagał rodzinie, Bolkowi dawał pieniądze na jego hulanki, grę w karty i w domino. Za każdym razem, gdy pijany Bolek klął się, że zemści się na tym przeklętym Żydzie za zhańbienie imienia Zbarskich, Elżbieta biła się pięściami po głowie, a Magda groziła: „Niech włos spadnie z jego głowy, a obydwójce zginiemy! Pójdiesz ze mną do grobu, przysięgam na pamięć ojca...”

I prężyła się, syczała i pluła jak kot na psa.

Rodzina Zbarskich bardzo podupadła. Magda wędrowała ze sztukmistrzem, Bolek furmanił złodziejom z Piasków, którzy posyłali go z łupem do paserów. Często sypiał wśród rzezimieszków. Z Elżbiety zaś zrobił się żarłok i tak się roztyła, że z trudem przeciskała się przez drzwi. Od świtu do ostatniego „Ojczy nasz” przed pójściem spać pojadała różne smakołyki – kiełbasę z kwaśną kapustą, pączki, jajka smażone z cebulą i skwarkami lub naleśniki z mięsem czy kaszą. Miała tak opuchnięte nogi, że przestała chodzić do kościoła nawet w niedzielę. Często lamentowała w obecności swych dzieci: Jesteśmy zgubieni, zgubieni! Odkąd wasz ojciec, oby dusza jego zaznała spokoju w niebie, odszedł od nas, staliśmy się niczym, pyłem... nikt o nas nie dba...”

Sąsiedzi powiadali, że Elżbieta poświęciła Magdę ze względu na Bolka. Ślepo go ubóstwiała, spełniała wszystkie jego zachcianki, usprawiedliwiała wszystkie wybryki, oddawała mu ostatni grosz. Chociaż nie chodziła już do kościoła, modliła się przecież do Jezusa, zapalała świece świętym, klękała przed świętymi obrazami i recytowała modlitwy z pamięci. Elżbieta obawiała się jednego: że się coś stanie ich dobroczyńcy, Jaszy; że mógłby, niech Bóg broni, przestać się interesować Magdą. Cała rodzina zawdzięczała egzystencję jego szczodrości. Ona, Elżbieta, ze swymi zartretyzowanymi członkami, bolącym grzbietem, żylakami na nogach i guzem w piersi twardym niby kamyk (ta wieczna obawa, czy nie rozrośnie się jak u jej matki, niech spoczywa w pokoju) była jak pęknięty czerep...

Bolek pojechał rano do Piasków i nie wiadomo, czy nie spędzi nocy z tym motłochem, jak Elżbieta nazwała kiedyś bandę złodziei. Miał także w mieście dziewczynę. Tak więc Elżbieta spodziewała się tej nocy albo Jaszy, albo Bolka, a pasjans miał jej nie tylko wywróżyć przyszłość, lecz także poinformować, który z tych dwóch przybędzie pierwszy – i kiedy. Każda karta coś znaczyła. Za każdym zaś tasowaniem talii ten sam król, dama czy walet oznaczały coś innego. Dla niej te drukowane obrazki były żywe, mądre i tajemnicze. Kiedy usłyszała szczekanie swego psa Burka i skrzyp kół wozu, przeżegnała się z wdzięcznością. Chwała Bogu, to przyjechał on, drogi chłopiec z Lublina, jej dobroczyńca. Wiedziała, że ma żonę w Lublinie i że przyjaźni się z tą bandą łobuzów w Piaskach, ale nie pozwalała sobie na rozmyślanie o tym – bo i po co? Należało brać, co dawano. Była biedną wdową, jej dzieci sierotami, i jak tu w ogóle zgłębiać obyczaje mężczyzn? Lepsze to, niż gdyby musiała posłać córkę do pracy w fabryce, gdzie wykaszlałyby sobie płuca, albo do burdelu. Za każdym razem, gdy zbliżał się wóz Jaszy, Elżbietę ogarniało to samo uczucie: że siły zła sprzysięgły się, aby ją pochłonać, ona jednak zwyciężyła je błagalnymi modłami do Zbawiciela. Kłasnęła w dłonie i spojrzała triumfująco na Magdę, ale zawsze dumna córka ani drgnęła, chociaż matka wiedziała, że w głębi duszy jest zachwycona. Dla niej Jasza to jednocześnie kochanek i ojciec. Któż inny interesowałby się takim zasuszonym wątlakiem, chudym jak patyk i płaskim jak deska?

Elżbieta zaczęła wzdychać, dyszeć i odpychać krzesło do tyłu,

próbując wstać. Magda wahała się przez chwilę, po czym wybiegła na dwór, pędząc ku Jaszy z otwartymi ramionami:

– Kochanie!

Zsiadł z wozu, objął ją i pocałował. Skórę miała rozpaloną niemal jak w gorączce. Burek od początku łąsił się do przybysza. Papuga zrzedziała, siedząc w klatce, mała piszczała, kruk krakał i coś mówił. Elżbieta poczekała, aż Jasza skończy witać się z jej córką, i wyszła na próg. Stała w drzwiach, wielka i niezgrabna jak bałwan ze śniegu, czekając cierpliwie, aby podszedł do niej i pocałował ją w rękę jak dżentelmen. Zawsze gdy przyjeżdżał, obejmowała go, całowała w czoło i witała tym samym: – Gość w dom, Bóg w dom.

3

A potem płakała i ocierała oczy fartuchem.

Elżbieta oczekiwała z utęsknieniem wizyt Jaszy nie tylko z powodu córki, lecz także z powodów osobistych. Zawsze coś jej z Lublina przywoził, różne smakołyki, wątróbkę, chałwę lub ciastka z cukierni. Bardziej jednak niż do smakołyków tęskniła do kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Bolek nie chciał jej słuchać pomimo wszystkich jej poświęceń i całej służebności. Gdy tylko zaczynała coś opowiadać, przerywał brutalnie:

– Dobrze, mamó, kłam sobie dalej jak najęta.

Wobec takiej bezczelności słowa więzły Elżbiecie w gardle. Zaczynała kaszleć, robiła się czerwona niczym apoplektyczka. Dysząc i czkając, musiała godzić się na to, że ten wstrętny brutal Bolek przynosił jej wodę i klepał po karku, aby się jej w gardle przetkało.

Magda z drugiej strony rzadko się odzywała. Można było mówić do niej trzy godziny, opowiadając o najbardziej niezwykłych zdarzeniach, a ona nie mrugnęła nawet okiem. Tylko Żyd Jasza, sztukmistrz, wyciągał Elżbietę na rozmowy, zachęcał do wypowiedzi – traktował ją tak, jak należy traktować teściową, ale nie teściową znieawidzoną, lecz ukochaną. On, biedaczysko, został sierotą w dzieciństwie, więc Elżbieta zastępowała mu matkę. W skrytości ducha uważała, że to jej Magda zawdzięczała, iż Jasza tyle lat z nimi prze-

bywa. Ona, Elżbieta, gotowała mu jego ulubione potrawy, dawała różne praktyczne rady, ostrzegała przed wrogami, a nawet tłumaczyła sny. Ofiarowała mu miniaturowego słonia, pozostałość po babce, którego nosił pod klapą, gdy chodził po linie lub wykonywał inne niebezpieczne sztuczki.

Chociaż po przyjeździe twierdził zwykle, że nie jest głodny, Elżbieta zawsze miała dla niego poczęstunek. Wszystko przygotowano wcześniej: świeżo uprany obrus, chrust do pieca, porcelanową filiżankę, z której pił, talerz w błękitny wzór, z którego jadał. Nie brakowało niczego, nawet serwetki. Elżbieta cieszyła się opinią doskonałej gospodyni. Wprawdzie jej mąż był kowalem, ale jej dziadek, dziedzic Czapiński, posiadał włości liczące czterysta dusz i polował z Radziwiłłami.

Elżbieta zjadła już kolację, przyjazd Jaszy rozbudził jednak jej apetyt na nowo. Po pierwszych serdecznych powitaniach Jasza z Magdą udali się do alkowy, Elżbieta zaś zajęła się przygotowaniem posiłku. Zmęczenie jej znikło niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; ocieężałe wieczorem nogi jak gdyby ozdrowiały dzięki jakiemuś amuletowi. W mig rozpałała ogień pod kuchnią i ze zdumiewającą zręcznością zabrała się do gotowania i smażenia. Westchnęła z zadowoleniem. Czy to dziw, że Magda go uwielbia? Nawet w nią, Elżbietę, tchnął nowe życie.

Wydarzenia potoczyły się zwykłym trybem. Jasza zapewnił ją, że nie jest głodny, ale jedzenie już stało przed nim, a zapach wypełniał każdy zakątek izby. Elżbieta ugotowała pierogi z wiśniami i serem, posypane cukrem i cynamonem. Na stole stała butelka wiśniówki, jak również słodki likier przywieziony przez niego z Warszawy w czasie poprzedniej wizyty. Gdy tylko Jasza skosztował potrawy, natychmiast poprosił o więcej. Magda, która miała skurczony żołądek, a także cierpiała na obstrukcję, okazała nagle zdrowy apetyt. Pies, machając ogonem, kręcił się przy kolanach Jaszy. Po kawie i pączkach Elżbieta zaczęła wspominać: jak oddany był jej nieżyjący mąż, jak nosił ją na rękach, jak kiedyś kareta cara zatrzymała się przed kuźnią, bo trzeba było podkuć konia, który zgubił podkowę, i sam car wszedł do ich domu, aby tam poczekać, a ona, Elżbieta, poczęstowała go wódką. Największa przygoda zdarzyła jej się podczas powstania w 1863 roku, kiedy udzieliła schronienia skazanym

buntownikom i ostrzegła polskie oddziały o zbliżaniu się kozaków. Wymownymi słowami i płaczem uratowała pewną szlachciankę od chłosty z rąk żołnierzy rosyjskich. Magda była wtedy dzieckiem, mimo to Elżbieta zwróciła się do niej o potwierdzenie.

– Nie pamiętasz, Magda? Siedziałaś na kolanach generała, ubrany był w spodnie z czerwonymi lampasami, a ty siedziałaś i bawiłaś się jego orderami. Nie pamiętasz? Ach, dzieci... mają kapuściane głowy... Jedz, drogi chłopcze, weź jeszcze jednego pieroga. Nie zaszkodzi ci. Moja babka, oby wstawiła się za nami w niebiosach, mawiała, że „kiszki nie mają końca”.

Jedna opowieść kończyła się, druga zaczynała. Elżbieta cierpiała w przeszłości na różne choroby. Otworzono jej pierś i zaszyto z powrotem. Ściągnęła nieco bluzkę, aby pokazać bliznę. Raz była już na progu śmierci, ksiądz udzielił jej ostatniego namaszczenia i zmierzono ją, aby zamówić trumnę. Leżała jak nieżywa i widziała anioły, duchy i zjawy. Nagle ukazał się jej zmarły ojciec i przegnał wszystkie duchy, krzyżując: „Moja córka ma drobne dzieci. Nie wolno jej umrzeć!...” I w tej chwili spłynęły z niej krople potu wielkości fasoli cukrowej.

Zegar o drewnianych ciężarkach wskazywał już północ, ale Elżbieta dopiero się rozgrzewała. Miała jeszcze dziesiątki historyjek w zanadrzu. Jasza słuchał uprzejmie, zadawał właściwe pytania, kiwał głową we właściwych miejscach. Cuda i wróżby, które opisywała, dziwnie przypominały to, co opowiadali Żydzi w Lublinie. Magda zaczęła rumienić się i ziewać.

– Poprzednim razem opowiadała mama tę samą historię zupełnie inaczej.

– Co ty mówisz, dziecko? Jak śmiesz? Zawstydzasz mnie przed moim droгим chłopcem. Tak, twoja matka jest skromną wdową bez pieniędzy, bez czci, ale żebym kłamała, o nigdy!

– Mama zapomina.

– Niczego nie zapominam. Całe moje życie mam przed oczami jak gobelin.

I rozpoczęła nową opowieść o strasliwym mrozie. Owego roku zima nastąpiła tak wcześnie, że w święto Sukot Żydzi nie mogli skończyć z szałasów. Wiatr pozrywał strzechy. W młynie rwący potok

zniszczył bramy śluzy, przerwał tamę i zalał pół wsi. Później utworzyły się takie zaspasy śnieżne, że ludzie wpadali w nie jak w bagno i ciała ich znaleziono dopiero na wiosnę. Zgłodniałe wilki opuściły lasy i napadały na wsie, porywając dzieci z kołysek. Mróz był tak silny, że dęby pękały. Właśnie w tej chwili wszedł buńczucznie Bolek, młody człowiek średniego wzrostu, krzepki, o czerwonej ospowatej twarzy, bladoniebieskich oczach, jasnych włosach, zadartym nosie i rozdętych jak u buldoga nozdrzach. Ubrany był w haftowaną kamizelkę, bryczesy, buty z cholewami i kapelusz z piórem – istny obraz myśliwego. Papieros zwisał mu w kąciku ust. Wszedł gwizdząc i potknął się na progu jak pijany. Spostrzegłszy Jaszę, roześmiał się i natychmiast spoważniał, nawet sposepniał.

– No, no, przyjechałeś.

– Pocałujcie się, szwagrzy! – zapiała Elżbieta. – Ostatecznie, jesteście spowinowaceni... Jak długo Jasza jest z Magdą, tak długo jest dla ciebie bratem, Bolku, nawet czymś więcej, o wiele więcej.

– Niech mama przestanie!

– O co cię właściwie proszę? Tylko o spokój. Ksiądz nauczał kiedyś, że spokój jest jak rosa, która spada z nieba i nasycza pola. To było wtedy, gdy przyjechał do nas biskup z Częstochowy. Pamiętam jak dziś, nosił czerwoną piuskę.

Elżbieta nie mogła już dalej mówić. Znow zaczęły jej płynąć łzy.

4

Jaszy zależało wprawdzie na wyruszeniu do Warszawy, ale musiał zatrzymać się na jeden czy dwa dni. Po pewnym czasie poszedł położyć się do wielkiego łóżka w alkowie. Elżbieta wypchała siennik świeżą słomą i dała na poduszkę i kołdrę czyste poszwy. Magda nie od razu przyszła do niego. Najpierw umyła i rozczesała włosy. Matka pomogła jej się namydlić, a następnie włożyć długą koszulę nocną przybraną u dołu i u dekoltu koronką. Jasza leżał cicho, zdumiony własnym zachowaniem. „To dlatego, że tak się nudzę” – powiedział do siebie. Słuchał z napięciem. Matka i córka sprzeczały się o coś. Elżbieta lubiła dawać Magdzie rady przed pójściem do łóżka. Próbo-

wała także namówić córkę, aby przywiązała sobie saszetkę z lawendą. Bolek chrapał wyciągnięty na lawie. Śmieszne, ale on, Jasza, całe życie przechodził jakby na linie, o krok wprost od nieszczęścia. Jeden fałszywy ruch z jego strony, a Bolek z pewnością by zatopił mu nóż w sercu.

Jasza zdrzemnął się i przyśniło mu się, że lata. Uniósł się nad ziemią i wzbił wysoko, wysoko. Dziwił się, że wcześniej tego nie próbował – takie to było łatwe, takie łatwe. Śniło mu się to niemal co noc i za każdym razem budził się z uczuciem, że objawiał mu się jakiś zniekształcony rodzaj rzeczywistości. Często zastanawiał się, czy to sen, czy też po prostu jakiś ciąg myślowy. Od lat fascynowała go myśl o założeniu pary skrzydeł i lataniu. Jeśli mógł to robić ptak, dlaczego nie mógłby człowiek? Skrzydła musiałyby być odpowiednio wielkie i zrobione z mocnego balonowego jedwabiu. Powinny być przyszyte do prętów i składać się, i rozkładać jak parasol. A gdyby nie dość było skrzydeł, można by umocować między nogami coś w rodzaju błony jak u nietoperza, aby łatwiej utrzymać się w powietrzu. Człowiek jest cięższy od ptaka, ale orły i sokoły bynajmniej nie grzeszą lekkością, a potrafią unieść jagnię i polecieć z nim. Jasza wszystkie chwile wolne od myśli o Emilii poświęcał temu problemowi. Miał szuflady pełne planów i wykresów oraz całe stosy wycinków z gazet i czasopism. Oczywiście, wielu z tych, którzy próbowali latać, zabiło się, ale faktem jest, że latali, choć bardzo krótko. Po prostu materiał musi być odpowiednio mocny, pręty elastyczne, człowiek zwinny, lekki i sprężysty, i rzecz się uda. Co by to była za sensacja w całym świecie, gdyby on, Jasza, przeleciał ponad dachami Warszawy albo, jeszcze lepiej, Rzymu, Paryża czy Londynu!

Widocznie znów się zdrzemnął, bo gdy Magda wsunęła się do łóżka, obudził się nagle, choć leżał z otwartymi oczami. Przyniosła ze sobą zapach rumianku. Była, jak zawsze, nieśmiała. Przyszła jak spłoszona dziewczica, uśmiechając się przeproszająco. Położyła się koło niego – koścista, lodowato zimna, w zbyt obszernej koszuli; włosy miała jeszcze wilgotne po rozczesaniu. Przesunął ręką po jej wychudłych żebrach.

– Co się z tobą dzieje? Czy ty nic nie jesz?

– Owszem, jem.

– Łatwo by ci było latać. Ważysz mniej więcej tyle co gęś.

Na szlaku byli ze sobą bardzo zżyci, ale teraz, po długiej nieobecności – po tygodniach spędzonych przez niego z żoną Esterą, z dala od niej – oddalili się od siebie i musieli poznać się na nowo. Jak w noc poślubną. Leżała tyłem do niego, póki subtelnymi pieszczotami nie skłonił jej do odwrócenia się w jego stronę. Wciąż jeszcze odczuwała wstyd przed matką i bratem. Kiedy powiedział coś zbyt głośno, kładła mu dłoń na ustach, aby zamilkł. Objął ją, zadrżała w jego ramionach jak kurczątko. Szeptła do niego tak cicho, że z trudem ją słyszał. Dlaczego nie było go tak długo? Naprawdę obawiała się, że nigdy nie wróci. Matka kręciła się po domu, trajkocząc, narzekając... martwiąc się, że ją, Magdę, opuścił. Bolek zadawał się z bandą złodziei. Co za wstyd, co za wstyd. Mógł dostać się do więzienia. W dodatku za dużo pił. Upijał się i szukał zwady. A co Jasza robił w Lublinie przez te wszystkie tygodnie? Dnie płynęły powoli jak melasa.

Zdumiewające, jak ta nieśmiała dziewczyna potrafiła stać się namiętna, jakby ją coś opętało. Obsypywała Jaszę pocałunkami, oddawała mu się na wszystkie sposoby, których ją nauczył – ale w milczeniu, obawiając się, że brat lub matka się obudzą. Był to jakby tajemny obrządek dokonywany przed duchem nocy. Chociaż w szkole nauczono ją poprawnej polszczyzny, paplała teraz w jakiejś wiejskiej gwarze, którą z trudem rozumiał; wypowiadała słowa dziwne, pompatyczne, odziedziczone po pokoleniach chłopskich.

– Jeślibym przypadkiem musiał cię opuścić, pamiętaj, że wrócę. Bądź mi wierna – odezwał się.

– Tak, najdroższy, aż do śmierci!

– Przypnę ci skrzydła, sprawię, że będziesz latać.

– Tak, mój panie... już lecę.

5

W Piaskach był dzień targowy. Bolek pojechał do Lublina zaraz po śniadaniu. Jasza wyruszył do Piasków pieszo, twierdząc, że ma do załatwienia kilka sprawunków w tamtejszych sklepach. Elżbieta

próbowała go zatrzymać, chciała bowiem mieć go na obiedzie, lecz Magda pohamowała ją, potrząsając głową. Nigdy się do niego nie wtrącała. Pocałował ją, a ona odezwała się pokornie:

– Nie zapomnij drogi do domu.

Targ rozpoczął się o świcie, ale spóźnieni chłopcy szli jeszcze drogą. Jeden prowadził wychudłą krowę do uboju, inny świnie lub kozę. Kobiety w chustkach na głowie zawiązanych na drewnianej ramce – co oznaczało, że są zameżne – niosły swoje towary w miskach, dzbanach i koszykach przykrytych płótnem. Śmiały się i zagadywały do Jaszy. Pamiętały go z objazdu wsi, w których występował kilka lat temu. Nadszedł wóz, a na nim wiejscy państwo młodzi w towarzystwie kapeli. Konie przyozdobione były zielonymi gałązkami i girlandami kwiatów. Grajkowie piłowali małe skrzypki i śpiewali jakąś przeciągłą melodię. Z wozu wypełnionego wiejskimi dziewczętami, stłoczonymi jak stado gęsi, zabrzmiała piosenka poprzysięgająca zemstę mężczyznom:

*Czarna jestem, czarna,
Poczernię się jeszcze.
Będę najczarniejszą,
Jaką pokochałeś.*

*Biała jestem, biała,
Pobielę się jeszcze.
Ujrzysz mnie, zatęsknisz,
A ja cię nie zechcę.*

Zewtel, opuszczona żona, mieszkała na wzgórzu za rzeźnią. Jej mąż, Lejbuś Lekacz, uciekł jakiś czas temu z więzienia w Janowie i nie wiadomo było, gdzie przebywa. Jedni mówili, że drapnął do Ameryki, inni przypuszczali, iż ukrył się gdzieś daleko, w głębi Rosji. Od miesięcy nie dał znaku życia. Złodzieje, którzy mieli swoje bractwo rządzone przez starszych i własne prawa, dawali Zewtel co tydzień dwa ruble w złocie, jak to zwykli czynić, gdy pan domu przebywał w więzieniu; wydawało się jednak coraz bardziej oczywiste, że Lejbuś znikł na zawsze. Lekaczowie nie mieli dzieci. Zewtel nie była miejscową dziewczyną, pochodziła skądś z drugiej strony Wisły. Zwykle żony uwięzionych złodziei zachowywały się przyzwoi-

cie, Zewtel jednak uważano za osobę podejrzaną. Nosiła biżuterię nawet w dzień powszedni, głowę miała odkrytą i gotowała w szabas. Lada dzień groziło jej wstrzymanie zasiłku.

Jasza o tym wiedział, mimo to wdał się z tą kobietą w romans; chodził do niej bocznymi uliczkami i dawał banknoty trzyrublowe. Teraz niósł jej prezent z Warszawy, naszyjnik z koralami. Czyste szaleństwo, miał żonę, miał Magdę, był dziko zakochany w Emilii – czego szukał na tym gnojowisku? Kilkakrotnie postanawiał z Zewtel zerwać, ale za każdym przybyciem do Piasków ciągnęło go do niej. Biegł teraz do jej domu, pełen lęku i oczekiwania jak uczeń, który ma spędzić pierwszą noc z kobietą. Skierował się do jej domu nie przez ulicę Lubelską, lecz od tyłu. Choć święta Szewuot już minęły, ziemia była tu wciąż wilgotna i błotnista. A mimo to w domu Zewtel panowała wzorowa czystość, firanki w oknach, lampa z papierowym abażurem i frędzlą, poduszka na łóżku, podłoga świeżo wyszorowana i posypana piaskiem jak w piątek wieczorem przed błogosławieniem świec. Zewtel – kobieta o młodym wyglądzie, kręconych włosach, oczach czarnych jak u Cyganki, z pieprzykiem na lewym policzku i sznurkiem szklanych paciorków na szyi – stała pośrodku izby. Uśmiechnęła się do niego chytrze, odsłaniając białe zęby, i odezwała się w gwarze z tamtej strony Wisły:

– Myślałam, że pewnikiem nie przyjdiesz!

– Przychodzę wtedy, kiedy powiedziałem, że przyjdę – odparł Jasza surowo.

– Nieoczekiwany gość!

Wszystko to było upokarzające, te pocałunki, dawanie prezentu, czekanie na kawę z cykorią, ale tak jak złodzieje musieli kraść pieniądze, tak on musiał kraść miłość. Zarygłowała drzwi, aby uniknąć nieproszonych gości, i zatkała papierem dziurkę od klucza. O ile ona marudziła, o tyle jemu się spieszyło. Wciąż zerkał znacząco na łóżko, więc Zewtel zaciągnęła perkalową firankę, dając do zrozumienia, że jeszcze nie czas.

– Co się dzieje na świecie? – zapytała.

– Bo ja wiem.

– A kto ma wiedzieć, jeśli nie ty? My tu tkwimy, ty włóczysz się po świecie, wolny jak ptak.

Usiadła przy nim dotykając go krągłym kolanem. Ułożyła spódnicę tak, aby widział skraj czarnych pończoch i czerwone podwiązki.

– Tak rzadko cię widuję – poskarżyła się – że zapominam o tobie od jednego razu do następnego.

– Miałaś wiadomości od męża?

– Przepadł jak kamień w wodę.

I uśmiechnęła się – pokornie, arogancko, zdradliwie.

Musiał jej wysłuchać, bo kobieta jak już jest gadatliwa, to namiętnie. Nawet gdy się żaliła, słowa, gładkie i okrągłe, wyskakiwały jej z ust jak groch z dmuchawki. Jaka czekała ją przyszłość w Piaskach? Lejbuś nigdy nie wróci. Druga strona oceanu mogła być równie dobrze na tamtym świecie. Już teraz była właściwie wdową. Wydzielono jej dwa złote ruble tygodniowo, tylko że jak długo będzie to trwało? Ich kasa świeci pustkami. Połowa bractwa siedzi za kratami. A co można kupić za ten marny grosz? Wodę na kaszę. Zadłużona jest u wszystkich. Nie ma co na siebie włożyć. Wszystkie kobiety są jej wrogami. Wciąż o niej plotkują, aż ją uszy pieką. Latem jakoś to znosi, ale jak tylko zaczną się deszcze, to zwariuje. Mówiąc o swym złym losie, Zewtel bawiła się pętlą naszyjnika. Na jej prawym policzku ukazał się nagle dołeczek.

– Ach, Jaszele, zabierz mnie ze sobą.

– Wiesz, że nie mogę.

– Dlaczego? Masz konie i wóz.

– Co by Magda powiedziała? Co twoi sąsiedzi?

– I tak gadają. Cokolwiek ta twoja Polaczka robi, ja potrafię zrobić równie dobrze. Może nawet trochę lepiej.

– Potrafisz wykonać salto?

– Jeśli nie potrafię, to się nauczę.

Zwykła czcza gadanina. Była za tęga na akrobatkę. Nogi miała za krótkie, biodra za szerokie, piersi zbyt sterczące.

„Mogłaby być jedynie służącą i jeszcze czymś innym” – pomyślał Jasza. I chociaż na pewno jej nie kochał, zrobił się nagle zazdrosny. Jak się zachowywała przez te wszystkie tygodnie, kiedy on był na szlaku? „No, to już ostatnia moja wizyta – pomyślał. – Tylko dlatego, że jestem taki znudzony i przez chwilę chcę o wszystkim zapo-

mniec” – usprawiedliwiał się przed samym sobą. „Jak pijak, który topi zmartwienie w alkoholu” – pomyślał. Nigdy nie rozumiał, jak ludzie mogą mieszkać w jednym miejscu i spędzić całe życie z jedną kobietą, nie wpadając w melancholię. On, Jasza, znajdował się zawsze na krawędzi depresji. Wyjął nagle trzy srebrne ruble i z dzieciinną powagą umieścił je na jej nodze poniżej rąbka sukni: jednego przy kolanie, drugiego nieco wyżej, trzeciego na udzie. Zewtel przyglądała mu się z uśmiechem zaciekawienia.

– To nic nie pomoże.

– Z pewnością nie zaszkodzi.

Zwracał się do niej w sposób wulgarny, stosowny do jej poziomu. Jedną z jego cech była umiejętność przystosowywania się do każdego charakteru – czynnik pożyteczny w zastosowaniu do sztuki magnetyzmu. Zewtel pozbierała z rozmysłem monety i włożyła je do moździerza stojącego na kredensie.

– W każdym razie, dziękuję ci.

– Spieszę się.

– Po co ten pośpiech? Stęskniłam się za tobą. Tygodniami nie mam od ciebie wiadomości. Co u ciebie, Jaszele? Ostatecznie, jesteście także dobrymi przyjaciółmi.

– Tak, tak...

– Skąd to roztargnienie? Wiem, nowa dziewczyna! Powiedz mi, Jaszele, powiedz. Nie jestem zazdrosna. Wiem, co się dzieje. Ale dla ciebie kobiety to jak kwiaty dla pszczoły. Wciąż coś nowego. Tu powąchasz, tam liźniesz i, fiu, odlatujesz. Jak ja ci zazdroszczę! Warto by poświęcić ostatnią parę majtek, aby zostać mężczyzną.

6

– Tak, jest ktoś nowy – rzekł Jasza.

Odczuwał potrzebę porozmawiania z kimś. W towarzystwie Zewtel czuł się nieskrępowany, jak z samym sobą. Nie obawiał się ani jej zazdrości, ani gniewu. Poddawała mu się jak wiejska dziewczyna panu. Oczy jej zaczęły błyszczeć. Uśmiechnęła się gorzkim uśmiechem tych, których się krzywdzi, ale którym to sprawia przyjemność.

- Wiedziałam! Kto to jest?
- Wdowa po profesorze.
- Co, wdowa? Nu, nu.
- Żadne nu.
- Zakochałeś się w niej?
- Tak, trochę.
- Kiedy mężczyzna mówi „trochę”, to znaczy bardzo. Jaka ona jest? Młoda? Ładna?
- Nie taka znów młoda. Ma czternastoletnią córkę.
- Którą kochasz, matkę czy córkę?
- Obie.
- Zewtel jak gdyby coś przełknęła.
- Nie możesz mieć obu, bracie.
- Tymczasem zadowolę się matką.
- Co to jest profesor? Doktor?
- Wykładał matematykę na uniwersytecie.
- A co to matematyka?
- Liczenie.
- Rozważała to przez chwilę.
- Wiedziałam, wiedziałam. Mnie nie można oszukać. Jedno spojrzenie na mężczyznę i już wiem wszystko. Co chcesz robić, ożenić się?
- Przecież już mam żonę.
- Co dla ciebie znaczy żona? Jak ją poznałeś?
- Była w teatrze i ktoś nas sobie przedstawił. Nie, odgadywałem myśli i powiedziałem jej, że jest wdową i różne takie rzeczy.
- Skąd wiedziałeś o tym?
- To moja tajemnica.
- No i co dalej?
- Zakochała się we mnie. Chce wszystko rzucić i wyjechać ze mną za granicę.
- Tak po prostu?
- Chce wyjść za mnie za mąż.

– Za Żyda?

– Chce, żebym się trochę wychrzczył...

– Trochę, tak? Dlaczego mielibyście wyjechać z kraju?

Jasza nagle sposepniał.

– A co ja tu mam? Występuję od dwudziestu pięciu lat i wciąż jestem biedakiem. Jak długo jeszcze mogę chodzić po linie? Najwyżej dziesięć lat. Wszyscy mnie chwalaą, ale nikt nie chce płacić. W innych krajach doceniają takich jak ja. Tam człowiek, który zna tylko kilka sztuczek, jest bogaty i sławny. Występuje przed królami, podróżuje we wspaniałej karecie. Nawet tu, w Polsce, traktowano by mnie inaczej, gdyby moje nazwisko było sławne na zachodzie Europy. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Tutaj naśladuje się wszystko, co zagraniczne. Śpiewak operowy może skrzeczeć jak sowa, a jeśli śpiewał we Włoszech, wszyscy krzyczą „Brawo!”.

– No tak, tylko że musiałbyś się wychrzczyć.

– Wielka rzecz! Zegnasz się i spryskują cię wodą. Skąd mam wiedzieć, który Bóg jest prawdziwy? Nikt nie był w niebie. Zresztą ja się nie modłę.

– Jak zostaniesz katolikiem, to będziesz musiał się modlić.

– Za granicą nikt nie zwraca na to uwagi. Jestem magikiem, nie księdzem. Wiesz, jest teraz nowa moda. Gasi się światła i wywołuje duchy zmarłych. Siedzi się wkoło stołu, trzymając na nim ręce, i stół się unosi. Pełno o tym w gazetach.

– Prawdziwe duchy?

– Nie bądź śmieszna. Wszystko robi medium. Wsuwa nogę i podnosi stół, trzaska wielkim palcem u nogi, co oznacza, że duchy przesyłają wiadomości. Najbogatsi ludzie uczęszczają na te seanse, zwłaszcza kobiety. Powiedzmy, że umiera czyjś syn i rodzina chce się z nim skontaktować. Dają medium pieniądze, a medium przywołuje ducha.

Zewtel otworzyła szeroko oczy.

– Naprawdę?

– Głuptas.

– Może to czarna magia?

– Nie znają żadnej czarnej magii.

– Mówiono mi, że w Lublinie jest człowiek, który potrafi pokazać zmarłego w czarnym lustrze. Mówią, że mogłabym w nim zobaczyć Lejbusia.

– No, to czemu nie idziesz do niego? Pokaże ci jakiś obrazek i powie, że to Lejbuś.

– Coś jednak pokaże.

– Idiotyzm – rzekł Jasza, zdumiony, że dyskutuje o tych sprawach z osobą pokroju Zewtel. – Mogą ci pokazać kogokolwiek zechcesz w lustrze, nawet twoją babkę.

– To znaczy, że nie ma Boga?

– Jest, oczywiście, ale nikt z nim nie rozmawiał. Jak Bóg może mówić? Gdyby przemawiał po żydowsku, nie zrozumieliby go chrześcijanie, gdyby mówił po francusku, skarżyliby się Anglicy. *Tora* twierdzi, że mówił po hebrajsku, ale mnie tam nie było i nie słyszałem. Co do duchów, to i one istnieją, żaden jednak sztukmistrz ich nie wywoła.

– A co z duszą? Aj, boję się!

– Czego się boisz?

– Nocami leżę i nie mogę oczu zamknąć; wszyscy umarli defilują przede mną. Widzę, jak chowają moją matkę. Jest cała biała... W ogóle, dlaczego żyjemy? Jaszele, tak za tobą tęsknię! Nie chcę dawać ci dobrych rad, ale ta gojka ściągnie cię do piekła.

Jasza się najeżył.

– Dlaczego? Przecież mnie kocha.

– To bez sensu. Możesz robić, co zechcesz, musisz jednak pozostać Żydem. Co się stanie z twoją żoną?

– Co by zrobiła, gdybym umarł? Mąż umiera, a cztery tygodnie później wdowa śpieszy stanąć znów pod ślubnym baldachimem. Zewtel, z tobą mogę być szczerzy. Między nami nie ma tajemnic. Chcę spróbować czegoś nowego.

– A co ze mną?

– Jeśli będę bogaty, to nie zapomnę także o tobie.

– Nie, zapomnisz. Ledwie wyjdiesz za próg, już nic nie pamiętasz. Nie myśl, że jestem zazdrosna. Kiedy cię poznałam, mrowie mnie przeszło. Mogłam była obmyć ci stopy i wypić wodę z kąpieli.

Ale kiedy cię lepiej poznałam, powiedziałam sobie: „Zewtel, te wszystkie dreszcze to czysta strata”. Nie jestem wykształcona i niewiele wiem, mam jednak głowę na karku. Myślę i myślę, i różne pomysły przychodzą mi do głowy. Kiedy wiatr gwizdże w kominie, wpadam w zły nastrój. Nie uwierzysz, Jaszele, niedawno myślałam nawet o samobójstwie.

– Dlaczego właśnie o samobójstwie?

– Po prostu czułam się zmęczona, a sznur był pod ręką. Spostrzegłam hak na belce. O, ten hak koło lampy. Weszłam na stołek, pasował jak ulał. Wtedy się roześmiałam.

– Dlaczego?

– Bez powodu. Pociąga się za sznur i koniec... Jaszele, zabierz mnie do Warszawy!

– A co z meblami?

– Sprzedam wszystko. Niech ktoś zrobi dobry interes.

– Co będziesz robić w Warszawie?

– Nie martw się. Nie będę cię naciągać. Pójdę sobie jak owa żebraczka z bajki. Zatrzymam się u jakichś drzwi i powiem: „Tu zostaję”. Wszędzie można prac i nosić koszyki.

Rozdział trzeci

1

Jasza zamierzał wrócić do Elżbiety na kolację, ale Zewtel słysząc o tym nie chciała. Przygotowała mu ulubioną potrawę: łazanki z serem i cynamonem. Gdy tylko Zewtel odryglowała drzwi i odsłoniła firanki, zaczęli przybywać goście. Kobiety przyszły pochwalić się okazjami znalezionymi na targu oraz prezentami otrzymanymi od mężów. Starsze nosiły rozdeptane pantofle, niezgrabne suknie, brudne chustki na głowach. Witwały Jaszę bezzębnym uśmiechem i kokietowały swą brzydotą. Młode mężatki, aby uhonorować gościa, wystroili się i obwiesiły błyskotkami. Chociaż Zewtel ukrywała rzekomo ich stosunek, to jednak z dumą pokazywała każdej gadule otrzymany od Jaszy sznur koralii. Niektóre kobiety przymierzały go, uśmiechając się głupkowato i mrugając porozumiewawczo. Rozwiązłość nie była w modzie na wzgórzu. Żony złodziei odsiadujących wyrok dochowywały latami wierności swym mężom, aż do wypuszczenia ich z więzienia. Ale Zewtel była obcą – osobą społecznie niższą od Cyganki, poza tym żoną opuszczoną. A sztukmistrz Jasza miał opinię rozpustnika. Kobiety kiwały głowami, szeptały, robiły słodkie oczy do Jaszy. Dobrze tu znano jego siły magiczne. Złodzieje często twierdzili, że gdyby wstąpił do ich bractwa, kroczyłby ścieżką usianą złotem. Na wzgórzu panowała opinia, że lepiej jest być żoną złodzieja niż kogoś takiego jak Jasza, który wędrował z gojką, do domu wracał jedynie na święta i żonie przysparzał tylko wstydu i hańby.

Po pewnym czasie zaczęli także pojawiać się mężczyźni. Chaim-Lejb, niski, barczysty, o żółtej brodzie, żółtej twarzy i żółtych oczach, przyszedł wyłudzić warszawskiego papierosa. Jasza dał mu całą paczkę. Zewtel postawiła przed Chaim-Lejbem butelkę wódki i talerz bułek z cebulką. Należał do starej gwardii, ale był już zużyty, do niczego. Przesiedział się we wszystkich więzieniach. Połamano mu

w nich żebra. Jego brata, koniokrada Barucha Kloca, chłopci ugotowali żywcem. Chaim-Lejb pociągał w zamyśleniu warszawskiego papierosa, wypił kieliszek wódki i spytał:

– Co słyhać w Warszawie? Jak tam stary Pawiak?

Ślepy Mechł, mężczyzna wysoki, przysadzisty, o barach olbrzyma, byczym karku, z blizną na czole i rozciętym oczodołem, przyniósł paczkę owiniętą w papier. Jasza zaraz się domyślił, co zawiera: kłódkę, którą miał otworzyć. Sam Mechł był specjalistą od otwierania zamków. Nosił zawsze ze sobą mały łom. Zanim stał się włamywaczem, był czeladnikiem u ślusarza. Latami Mechł próbował zrobić zamek, którego by Jasza nie potrafił rozszyfrować. Siedział teraz nieśmiało przy stole, czekając cierpliwie, aby rozmowa zesza na zamki. Dotychczas nie udało mu się przechytryć Jaszy, bo bez względu na to, jak skomplikowany i przemyślny był zamek, zawsze udawało mu się otworzyć go w kilka minut, często za pomocą zwykłego gwoźdźca lub szpilki do włosów. Ale Mechł się nie poddawał: wciąż zakładał się, że skonstruuje taką „styję”, jakiej nie potrafi „złamać” nawet archanioł Gabriel. Mechł, za każdą wizytą w Lublinie, naradzał się ze ślusarzem Abrahamem Lejbusiem oraz z wieloma kowalami i mechanikami. Izba Mechła urządzona była jak warsztat narzędziowy, wyposażona w młotki, pilniki, piły do metalu, wszelkiego rodzaju pręty, haki, świdry, obcęgi i kolby lutownicze. Jego żona, Czarna Bejła, twierdziła, że zainteresowanie Mechła narzędziami przerodziło się w obsesję. Jasza przywitał go uśmiechem i zmrużeniem oka. Jak Mechł czuł, że tym razem Jasza przegra, tak Jasza był przekonany, że dzięki jakiejś tajemniczej sile potrafi, tu pokręciwszy, tam podłubawszy, otworzyć mechanizm jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Wreszcie zgromadzili się już wszyscy: Mendele Kaczke, Josele Dajcz, Łejzerł Kracmich. Obecny ich przywódcą był niejaki Bejrysz Wysoker, malutki człowieczek o rozbieganych oczach, spiczastej łysej głowie, spiczastym nosie i brodzie, i długich jak u mały rękach. Podobnie jak Zewtel pochodził z Wielkopolski. Ubierał się pretensjonalnie: nosił kolorowe spodnie, żółte buty, aksamitne kamizelki i haftowane koszule. Na głowie miał zawsze kapelusz z piórkami. Specjalne, podwyższone obcasy u butów dodawały mu wzrostu. Bejrysz był tak zręczny, że potrafił ukraść zegarek kieszonkow-

cowi. Znał rosyjski, polski i niemiecki, i utrzymywał dobre stosunki z władzami, będąc właściwie nie tyle złodziejem, ile łapownikiem i pośrednikiem. Wiele lat temu odsiedział wyrok nie za kradzież, lecz za oszukanie pewnego ziemianina w grze karcianej znanej pod nazwą „łańcuszek”. Bejrysz Wysoker odznaczał się równą zręcznością w kartach jak Ślepy Mechł w otwieraniu zamków. Ale nie mógł równać się z Jaszą. Jasza zawsze pokazywał Bejryszowi nowe sztuczki, które go wprawiały w kłopot. Teraz też miał w kieszeni kilka talii kart, znaczonych i nie znaczonych. Bejrysz znany był ze swej nerwowości. Nie potrafił usiedzieć na krześle. Kiedy wszyscy zasiedli przy stole, on kręcił się jak zwierzę w klatce albo jak wilk, który próbuje ugryźć własny ogon. Przechylił głowę i odezwał się cedząc słowa:

– Kiedy przyłączysz się do nas, co? – zapytał Jaszę nosowym głosem. – Uściśnij mi rękę i wstąp do bractwa.

– Mam zgnić w więzieniu?

– Miej olej w głowie, to będziesz zbierał całą śmietankę.

– Nu, nie można być zbyt chytrym – zawołał Ślepy Mechł. – Każdy może wpaść.

– Wystarczy wiedzieć, skąd wieje wiatr – odpalił Bejrysz Wysoker.

Jasza dobrze wiedział, że nie powinien tu długo zabawić. Elżbieta będzie się niecierpliwić, że nie wraca. Magda również czekała na niego. Bolek gardził nim i szukał tylko pretekstu, takiego jak ten właśnie, aby go zniszczyć. Ale Jasza nie mógł wyjść ot tak, po prostu. Znał tych ludzi od dziecka. Byli świadkami jego postępów, od pomocnika tresera niedźwiedzi do gwiazdy w polskim teatrze. Mężczyźni klepali go po plecach, kobiety zalecały się do niego. Wszyscy podziwiali go jako mistrza. Rozdzielał cygara i papierosy. Było także w tym tłumie kilka jego dawnych kochanek, które, choć już mężatki i matki, spoglądały na niego kokieteryjnie, uśmiechając się przypominająco. Z początku zachowywał dyskrecję odnośnie do Zewtel, ona sama jednak nie ukrywała tego stosunku. W opinii takiej dziewczyny kochankiem należało się przechwalać.

Z początku plotkowali o sprawach bieżących. Co nowego w świecie? Kiedy znów zacznie się wojna z Turcją? A czego chcą ci bun-

townicy, którzy rzucają bomby, próbują zamordować cara i wzywają do napadów na koleje? Co nowego w Palestynie? Kim są ci heretycy, którzy budują kolonie na osuszonych mokradłach? Jasza wyjaśniał każdą rzecz. Czytał wszystkie gazety warszawskie, jak również „Izraelitę”. Przeglądał nawet gazetę hebrajską, chociaż nie rozumiał nowoczesnych wyrażań. Tu, w Piaskach, ludzie siedzieli jak ropuchy na pniaku, ale na szerokim świecie wypadki toczyły się szybko. Prusy stały się potężnym państwem. Francuzi zaanektowali część Afryki, gdzie mieszkali czarni ludzie. W Anglii budowano statki, które mogły przepłynąć ocean w dziesięć dni. W Ameryce pociągi jeździły tuż nad dachami domów; zbudowano tam także dom o trzydziestu piętrach. Nawet Warszawa rozbudowała się i piękniała z każdym rokiem. Zerwano drewniane chodniki i zainstalowano w domach kanalizację; żydowskim dzieciom wolno było uczęszczać do gimnazjum i wyjeżdżać na studia w uniwersytetach zagranicznych.

Złodzieje słuchali drapiąc się w głowę. Kobiety z wypiekami na twarzy wymieniały spojrzenia. Jasza opowiadał im o Stowarzyszeniu Czarnej Ręki w Ameryce. Mówił, jak to jego członkowie wysyłali do jakiegoś milionera list sygnowany znakiem czarnej ręki: „Przyślij tyle a tyle dolarów, inaczej kula w łeb”. Nawet gdy milioner miał tysiąc ludzi obstawy, ginął, jeżeli nie zapłacił okupu.

Bejrysz Wysoker przerwał nagle:

– Można to zrobić i tu.

– A kto otrzyma list, Nosiwoda Trajtł?

Złodzieje roześmieli się głośno i zapalili wygasłe papierosy.

2

Ślepy Mechł nie mógł się już doczekać.

– Jasza, chcę ci coś powiedzieć – odezwał się.

Jasza mrugnął do niego.

– Wiem, wiem, pokaż mi twój zakup.

Mechł odwinął powoli papier. Ukazał się olbrzymi zamek z różnymi zaciskami i dodatkami. Jasza natychmiast poweselał. Zaczął przyglądać się zamkowi, zezując i udając komicznie zakłopotanie

i drwinę, co zawsze wywoływało śmiech zarówno w karczmie pełnej wieśniaków, jak i u publiczności w warszawskim letnim teatrzyku „Alhambra”. Zmienił się w ciągu sekundy. Syczał, kręcił nosem, nawet poruszał przymyślnie uszami. Kobiety chichotały.

– Skąd wytrzasnąłeś to urządzenie?

– Lepiej byś pokazał, co umiesz – rzekł Ślepy Mechł na pół gniewnie.

– Sam Pan Bóg nie potrafiłby otworzyć takiego zapieczętowanego nocnika – zażartował Jasza. – Jak się złoży do kupy taką styję, to koniec. Ale jeżeli zawiążecie mi oczy, to wyważę ją na ślepo. A może chciałbyś się założyć, co? Przypuśćmy, że postawię dziesięć rubli przeciwko twojemu jednemu.

– Zrobione.

– Włóż pieniądze do ust – krzyknął Chaim-Lejb.

– Nie potrzebujemy pieniędzy. Ufam mu.

– Dzieci, zawiążcie mi oczy – rzekł Jasza – ale tak, żebym nic nie widział.

– Zawiążę ci oczy moim fartuchem – powiedziała Mała Małka, kobieta o rudych włosach związanych z tyłu chustką. Jej mąż odsiadywał wyrok w janowskim więzieniu. Zdjęła fartuch i stojąc za Jaszą, zawiązała mu oczy. Cały czas łechtala go palcem za uszami. Jasza milczał.

„Co siedzi w tym mechanizmie?” – zastanawiał się. Chociaż był jak zwykle pewny siebie, uznawał jednak możliwość porażki. Kiedyś pewien ślusarz zrobił dla niego zamek, którego żaden klucz ani łom nie mógł otworzyć. Wewnątrz wszystko pospawał. Małka złożyła alpagowy fartuch kilka razy i zawiązała go mocno, bardzo silnie pomimo swych małych rąk; ale jak zwykle, między okiem a grzbietem nosa utworzyła się szpara, przez którą mógł widzieć. Jasza nie musiał jednak patrzeć. Wyjął z kieszeni gruby kawałek ostro zakończonego drutu, służący mu jako wytrych do wszystkich zamków. Pokazał go zebrany, nim wziął się do otwierania. Teraz badał zamek z zewnątrz, jak lekarz bada pacjenta stetoskopem. Wciąż z zawiązanymi oczami umiejscowił dziurkę i wsunął w nią koniec drutu. Dostawszy się do środka, manewrował drutem tak, że wsuwał go coraz głębiej, aż dosięgnął wnętrza zamka. Przez chwilę sondował go i badał.

Zdumiewał się własną umiejętnością. Ten kawałek drutu odkrywał wszystkie sekrety, wszystkie sztuczki, jakie specjaliści lubelscy wbudowali w zamek. Skomplikowany na wygląd, okazał się tak dziecinnie prosty, jak zagadki zadawane przez uczniów w chederze. Jeśli zgadło się jedną, zgadywało się wszystkie. Jasza mógł natychmiast otworzyć zamek, ale nie chciał zawstydzić Ślepego Mechła. Postanowił zagrać małą komedię.

– Wiesz, to trudny orzech do zgryzienia – mruknął. – Co oni tu za ul wbudowali. Roi się od zębów i haków, istna machina!

Nateżył się, wepchnął drut. Uniósł ramiona, jakby dawał znać, że nie ma najlżejszego pojęcia, co tam w środku siedzi. Zebrani siedzieli tak cicho, że słyhać było tylko Chaim-Lejba sapiącego przez złamany, zapchany polipami nos. Kilka kobiet zaczęło szeptać i chichotać z samego napięcia. Teraz Jasza, podobnie jak to robił podczas licznych występów, zauważył:

– Zamek jest jak kobieta. Wcześniej czy później musi się poddać.

Wśród kobiet rozległ się śmiech.

– Nie wszystkie kobiety są takie same.

– To sprawa cierpliwości.

– Nie bądź tak pewny siebie – odezwał się wyczekująco Ślepy Mechł.

– Przestań mnie poganiać. Grzebałeś się z tym przez pół roku. Wbudowałeś wszystko, co się dało. Ostatecznie, nie jestem Mojżeszem.

– Nie ustępuje, co?

– Ustąpi, ustąpi. Trzeba tylko pocisnąć pępek.

I w tej chwili zamek odskoczył. Rozległ się śmiech, oklaski i nastał ogólny zgiełk.

– Małka, rozwiąż mnie – rzekł Jasza.

Drżącymi palcami Małka odwiązała fartuch. Zamek leżał na stole jakiś bezsilny, zhańbiony. Wszystkie oczy błyszczały wesoło, tylko jedyne oko Ślepego Mechła patrzyło srogo i poważnie.

– Jesteś czarownikiem albo nie nazywam się Mechł!

– Oczywiście, nauczyłem się czarnej magii w Babilonie. Mogę ciebie i tę tu Małkę zamienić w króliki.

– Dlaczego mnie? Mój mąż potrzebuje żony, nie królika.

– A dlaczego nie królika? Mogłabyś wskoczyć do jego celi przez kraty.

Jasza poczuł się zawstydzony, że siedzi wśród tej niesmacznej bandy. Gdyby Emilia wiedziała, z kim się zadaje! Uważała go za geniusza, za uduchowionego artystę. Dyskutowali o religii, filozofii, nieśmiertelności duszy. Cytował jej mądrości *Talmudu*. Rozmawiali o Koperniku, Galileuszu – a tu siedział ze złodziejami z Piasków. Ale taki właśnie był. Wciąż grał jakąś inną rolę. Był kłębowskiem osobowości: wierzący i heretyk, dobry i zły, fałszywy i szczery. Potrafił kochać wiele kobiet jednocześnie. Oto gotów jest zaprzeć się swej religii, a jednak znalazłszy stronę wydartą ze świętej księgi, zawsze ją podnosi i przyciska do ust. Wszyscy byli niczym zamki, każdy ze swym własnym kluczem. Tylko taki ktoś jak on, Jasza, potrafił otwierać wszystkie dusze.

– Masz tu swoje pieniądze!

I Ślepy Mechł wyciągnął srebrnego rubla z przepastnej sakiewki. Jasza zastanawiał się przez chwilę, czy nie odmówić pieniędzy, ale uświadomił sobie, że byłoby to śmiertelną obrazą dla Mechła, zwłaszcza teraz gdy skarbiec bandy świecił pustkami. Bractwo wysoko ceniło honor. Mógłby za odmowę dostać nożem. Jasza wziął rubla, wając go w dłoni.

– Łatwy zarobek.

– Należałoby ucałować koniuszek każdego twojego palca – zagrzmiął Ślepy Mechł głębokim basem olbrzyma. Zdawało się, że wydobywa głos ze swego grubego brzucha.

– To dar od Boga – powiedziała Mała Małka.

Oczy Zewtel załśniły triumfem, policzki się zarumieniły. Wargi milcząco ofiarowywały pocałunki i pieścizotliwe słowa. Jasza wiedział, że wszyscy go tu ubóstwiają, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Dla obywateli Piasków był świetlaną postacią. Twarz Chaim-Lejba wydawała się żółta jak mosiądz samowara, który Zewtel postawiła na stole.

– Gdybyś do nas przyszedł, świat należałby do ciebie.

– Wciąż jeszcze wierzę w ósme przykazanie.

– Słuchajcie! Wyobraża sobie, że jest święty! – Bejrysz Wysoker wypluwał słowa. – Wszyscy kradną. Co zrobili niedawno Prusacy? Wyrwali Francji kawał kraju, a potem zażądali jeszcze miliarda marek. Chwycili Francję za gardło. To nie kradzież?

– Wojna to wojna – rzekł Chaim-Lejb.

– Każdy łapie, co może. Tak było zawsze. Małemu ganewowi kawał stryczka, dużemu ganewowi tłusta indyczka... Może zagramy w karty?

– Chcesz grać? – spytał Jasza drwiąco.

– Czy przywiozłeś z Warszawy jakiś nowy hokus-pokus? – zapytał Bejrysz Wysoker. – Zobaczmy, co potrafisz.

– Czy to ma być teatr?

Jasza wziął od Bejrysza Wysokera talię kart. Zaczął je bardzo szybko tasować. Karty wlatywały w powietrze, skakały jak ryby w sieci. Nagle Jasza wykonał jakiś ruch ręką i karty rozłożyły się wachlarzem niczym harmonia.

Rozdział czwarty

1

Przyjemnie jechać wozem, znów tylko z Magdą. Lato było w pełni. Pola złociły się, w sadach dojrzewały owoce. Upajające zapachy ziemi sprawiały, że człowieka ogarniało znużenie i nieziemski spokój.

– O, Panie Wszchemogący, to Ty jesteś magikiem, nie ja! – szeptał Jasza. – Wyczarowujesz z grudy czarnej ziemi rośliny, kwiaty i barwy!

Ale jak się to wszystko dzieje? Skąd źdźbła żyta wiedziały, jak wytwarzać ziarno? I skąd pszenica wiedziała, jak się odradzać? Nie, one tego nie wiedziały. Czyniły to instynktownie. Ktoś jednak musiał to wiedzieć. Jasza siedział z Magdą na koźle, puściwszy koniom cugle. Dobrze już znały tę trasę. Różne stworzenia przebiegały im drogę: mysz polna, wiewiórka, raz nawet żółw. Niewidoczne ptaki śpiewały i ćwierkały. Na jakiejś polanie Jasza spostrzegł stadko szarych ptaków. Usadowiły się szeregiem, jak gdyby miało się odbyć zebranie.

Magda siedziała w milczeniu przytulona do niego. Zdawało się, że jej chłopskie oczy widziały to, czego nie dostrzegłby mieszkaniec miasta. Jasza również był zatroskany. Pod wieczór, gdy słońce zaszło i wóz toczył się po leśnej drodze, widział wyraźnie twarz Emilii. Cofała się przed nim jak księżyc nad sosnami. Czarne oczy uśmiechały się, usta poruszały bezustannie. Objął Magdę ramieniem, a ona oparła na nim głowę, lecz myślami był daleko. Jednocześnie spał i nie spał. Próbował zmusić się do jakiejś decyzji, ale mu się to nie udawało. Wyobraźnia ożywiła się i śnił, że to nie wóz, lecz pociąg do Włoch, którym jedzie z Emilią i Haliną. Omal nie słyszał gwizdu lokomotywy. Za oknami przesuwały się cyprysy, palmy, góry, zamki, winnice, gaje pomarańczowe i oliwne. Wszystko wydawało się inne: chłopci, ich kobiety, domy, stogi siana. „Gdzie ja to widziałem? –

zastanawiał się Jasza. – Na obrazach? W operze?”. Jak gdyby doświadczył tego wszystkiego w poprzednim życiu.

Zwykle zatrzymywał się dwukrotnie podczas podróży, tym razem jednak postanowił jechać dalej i przybyć do Warszawy rano. Na trasie czyhali rzekomo bandyci, ale Jasza miał w kieszeni pistolet. Jadąc, wyobrażał sobie, że występuje w teatrze na Zachodzie. Damy w lożach przyglądają mu się przez lornetki. Ambasadorowie, baronowie i generałowie przychodzą za kulisy, aby mu oddać hołd. Teraz na sztucznych skrzydłach leci nad stolicami świata. Tłumy ludzi biegną ulicami, pokazując na niego, krzycząc, on zaś podczas lotu otrzymuje przez gołębia pocztowego zaproszenia od władców, książąt, kardynałów. W jego majątku na południu Włoch oczekują Emilia i Halina. On, Jasza, nie jest już sztukmistrzem, lecz boskim hipnotyzerem, który potrafi dowodzić wojskiem, uzdrawiać chorych, ujawniać kryjówki przestępców, odnajdywać zakopane skarby i podnosić zatopione statki z głębi oceanów. Został cesarzem całego świata. Drwił sobie z tego fantazjowania, ale nie mógł się od niego uwolnić. Spadało na niego jak szarańcza: sny na jawie o dziewczętach z haremu, o niewolnicach; sztuczki przeciwne naturze; napoje magiczne, uroki i inkantacje, które odsłaniały wszystkie tajemnice i używały mu niespożytych sił. W wyobraźni wyprowadzał nawet Żydów z wygnania, oddawał im ziemię Izraela, odbudowywał świątynię jerozolimską. Nagle zaczął trzaskać batem, jak gdyby chciał odegnąć demony nawiedzające jego myśli. Teraz bardziej niż kiedykolwiek musi mieć trzeźwą głowę. Przygotował wiele nowych i niebezpiecznych sztuczek do swego repertuaru. Jedną z nich to salto na linie, rzecz, której nie próbował jeszcze żaden akrobata. Najważniejszą sprawą było powzięcie decyzji w sprawie Emilii. Czy naprawdę jest gotów porzucić Esterę i udać się do Włoch z Emilią? Czy może tak okrutnie potraktować Esterę po tylu latach oddania i wierności? I czy on, Jasza, godzi się na nawrócenie, na przejście na chrześcijaństwo? Obiecał to solennie Emilii, zaprzysiągł, ale czy zamierza spełnić obietnicę? I jeszcze coś: nie mógł zrealizować swych planów co do Emilii bez większej sumy pieniędzy, potrzebował co najmniej piętnastu tysięcy rubli. Od miesięcy zastanawiał się nad możliwością dokonania rabunku, czy jednak naprawdę zdolny był stać się złodziejem? Dopiero co powiedział Chaim-Lejbowi, że ósme przykazanie jest dla niego święte... On,

Jasza, zawsze dumny był ze swej uczciwości. A jak zareagowałyby Emilia na wiadomość o jego zamiarze? Co by powiedziała Estera? I jego rodzice na tamym świecie? Ostatecznie wierzył w nieśmiertelność. Niedawno matka uratowała mu nawet życie. Posłyszał jej ostrzegawczy głos: „Cofnij się, synu, cofnij się!”. I w kilka minut później ciężki kandelabr runął na miejsce, gdzie stał przed chwilą. Na pewno byłby zginął, gdyby nie posłuchał ostrzeżenia zmarłej matki.

Odkładał decyzję do chwili obecnej. Ale dłużej już nie mógł zwlekać. Emilia czekała na decyzję. Musiał także zastanowić się, co zrobić z Wolskim, swoim impresariem, który zajmował się wszystkimi jego występami. Tenże Wolski wyciągnął go z biedy i pomógł w karierze. Nie mógł odplacić mu złym uczynkiem. Miłość Jaszy do Emilii była równie silna jak pełna pokus.

Musiał zdecydować się tej właśnie nocy, dokonać wyboru między swą religią a krzyżem, między Estera a Emilią, między uczciwością a przestępstwem (jednym tylko przestępstwem; przy bożej pomocy zwróciłby później przywłaszczony mienie). Lecz umysł jego niezdolny był do podjęcia decyzji. Zamiast zająć się głównym problemem, zwlekał, myśli mu się rozbiegały, stawały się frywolne. Jasza mógł już być ojcem dorosłych dzieci, pozostał jednak uczniakiem, który bawił się zamkami i kluczami ojca i włóczył za kuglarzami po ulicach Lublina. Nie był nawet pewien stopnia swej miłości do Emilii, nie potrafił zdecydować, czy jego uczucie jest rzeczywiście tym, co się nazywa miłością. Czy potrafiłby dochować jej wiary? Już teraz diabeł kusił go różnymi myślami o Halinie, jak będzie wyglądać, gdy dorośnie, jak zakocha się w nim i będzie rywalizować z matką o jego uczucia.

„To prawda, jestem zdeprawowany – pomyślał. – Jak to mnie ojciec przeżywał? Łobuzem”. Ostatnio ojciec ukazywał mu się co noc w snach. Gdy tylko Jasza przymknął oczy, natychmiast widział ojca. Stary człowiek moralizował, ostrzegał, doradzał.

– O czym myślisz? – spytała Magda.

– Ach, o niczym.

– Czy to prawda, że ta złodziejka Zewtel przyjeżdża do Warszawy?

Jasza drgnął.

– Kto to powiedział?

– Bolek.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– Ja o wielu rzeczach nie mówię.

– Przyjeżdża, ale co to ma wspólnego ze mną? Mąż ją porzucił i ona teraz głoduje. Szuka pracy jako służąca albo kucharka.

– Spisz z nią?

– Nie.

– W Warszawie też masz dziewczynę.

– Pleciesz.

– Wdowę imieniem Emilia. Do niej tak się spieszysz.

Jasza osłupiał. Skąd dowiedziała się o Emilii? Czyżby on się z czymś wygadał? Tak jest. Zawsze musiał się chełpić, taką już miał naturę. Opowiedział o tym nawet Zewtel.

Chwilę się wahał.

– To nie powinno cię obchodzić, Magda. Moja miłość do ciebie się nie zmienia.

– Ona chce wyjechać z tobą do Włoch.

– Co z tego, że ona chce. Równie dobrze mógłbym zapomnieć o tobie, jak o mojej matce.

Sam nie wiedział, czy mówi prawdę, czy kłamie. Magda milczała. Znów położyła mu głowę na ramieniu.

2

W środku nocy ociepliło się nagle, jak gdyby zaświeciło nocne słońce. Księżyc zasłoniły chmury, od których kłębiło się na niebie. Nagle zaczęło się błyskać i grzmieć. Błyskawice rozświetlały pola aż po horyzont. Żdźbła pszenicy pochyliły się i deszcz lunął jak fala potopu. Zanim Jasza zdołał zebrać myśli, strugi wody uderzyły w wóz jakby gradem. Brezent zerwał się z ramy. Małpa zdusiła wrzask przerażenia. Nie upłynęła minuta i rozmyło drogę. Magda trzymała się Jaszy jak nieme stworzenie. Jasza zaciął konie. Niedaleko znajdował się Maków, gdzie mogli znaleźć schronienie.

Jakimś cudem koła nie zjechały z drogi. Konie brodziły w wodzie niemal po pęciny. Jakoś udało się im dotrzeć do Makowa, Jasza nie znał tam jednak żadnej karczmy ani gospody. Wjechał na dziedzińiec bóżnicy. Deszcz ustał i niebo się rozjaśniło. Chmury odpłynęły na zachód, lśniąc na krawędziach we wschodzącym słońcu, niczym popioły dogasającego ogniska. Kałuże i rynsztoki spływały czerwienią niby krwią. Jasza pozostawił wóz z końmi na dziedzińcu, sam zaś wszedł z Magdą do domu nauki, aby się osuszyć. Nie powinien był wprowadzać chrześcijanki do domu bożego, była to teraz jednak sprawa życia i śmierci. Magda już zaczęła kaszleć i kichać.

Na zewnątrz wstawał dzień, lecz w bóżnicy panowała wciąż noc. W menorze przy pulpicie chwiał się płomyk znicza. Przy pulpicie kantora siedział stary człowiek, recytując coś z grubego modlitewnika. Jasza zauważył, że głowa starca posypana była popiołem. „Co on robi? – zastanawiał się Jasza. – Czyżbym tyle zapomniał ze swego dziedzictwa?”. Skinął głową starcowi, ten również skinął głową i położył palec na ustach, co oznaczało, że nie wolno mu teraz mówić. Magda usiadła na ławce obok pieca i Jasza odwrócił się do niej. Nie widział tu niczego, czym mogliby się wytrzeć. Będą musieli poczeekać, aż wszystko samo na nich wyschnie. Ciepło tu było. Twarz Magdy jaśniała w mroku bladą plamą, pod nią, na ziemi, utworzyła się kałuża. Jasza ukradkiem pocałował dziewczynę w czoło. Spojrzał na bimę z jej czterema kolumnami, na Arkę Przymierza, pulpit kantora, półki ze świętymi księgami. Przemoczony na wskroś, ociekający wodą i potem, usiłował w świetle znicza odczytać tekst na tablicy umocowanej na gzymsie Arki Przymierza, podtrzymywanej przez złożone lwy: Jam jest Pan... Nie będziesz miał innych bogów... Czcij ojca twego i matkę twoją... Nie cudzołóż... Nie zabijaj... Nie kradnij... Nie pożądaj...”. Było ciemno, lecz nagle bóżnicę zalało fioletowe światło jakby z lampy niebiańskiej. Jasza przypomniał sobie w tej chwili, co robił stary człowiek: recytował jeszcze wciąż modlitwy północne. Oplakiwał zniszczenie Świętyni!

Wkrótce zaczęli przybywać inni wierni, przeważnie ludzie starsi, zgarbieni, o siwych brodach i ledwie powłóczący nogami. Wielki Boże, ile to już czasu upłynęło, odkąd on, Jasza, był w świątyni? Wszystko wydawało mu się nowe: sposób, w jaki recytowali wstępne modlitwy, wkładali tałesy, całowali cyces, przymocowywali tefi-

lin, nawijali rzemyki. Wszystko to wydawało mu się obce, a jednak znajome. Magda wróciła do wozu, jakby lękając się całego tego intensywnego żydostwa. Jasza postanowił zostać jeszcze przez chwilę. Należał do tej społeczności. Jej korzenie były jego korzeniami. Na swym ciele nosił jej znamię. Rozumiał modlitwy. Jeden starzec odezwał się: – Boże, moja duszo. – Inny opowiadał niespiesznie o tym, jak Bóg doświadczył Abrahama, jak rozkazał mu złożyć swego syna Izaaka w ofierze. Trzeci zaintonował: – Kim jesteśmy? Czym jest nasze życie? Czym jest nasza pobożność? Wszyscy wielcy są niczym przed Tobą, ludzie sławni jakby nie istnieli, albowiem większość ich dzieł jest pusta, a dnie ich żywota są marnością przed Tobą. – Recytował, zawodząc i cały czas patrząc na niego, Jaszę, jak gdyby wiedział, co się z nim dzieje. Jasza odetchnął głęboko. Poczł zapach łożu, wosku i jeszcze czegoś, mieszaninę zgnilizny i amoniaku, jak podczas Jom Kippur, kiedy to jeszcze był chłopcem. Podszedł do niego niski mężczyzna z rudą brodą.

– Chcesz się modlić? – zapytał. – Przyniosę ci tefilin i tałas.

– Dziękuję, ale mój wóz czeka.

– Wóz nie ucieknie.

Jasza dał mu kopiejkę. Wychodząc, ucałował mezuzę. W przed-sionku spostrzegł beczkę pełną kartek wydartych ze świętych ksiąg. Pogrzebał w niej i wyciągnął podartą książkę. Z postrzępionych stron wionął pobożny zapach, jak gdyby, leżąc w beczce, same siebie czytały.

Po chwili Jasza znalazł gospodę. Oboje z Magdą musieli przebrać się w suchą odzież; trzeba było naprawić wóz, posmarować osie i dać koniom odpocząć. Musieli zjeść śniadanie i przespać się kilka godzin. Ponieważ podróżował z chrześcijanką, odezwał się do karczmarza po polsku, udając, że jest Polakiem. Usiedli z Magdą przy długim, nie nakrytym stole. Żydówka w chustce na głowie, o zaczerwienionych oczach i owłosionej spiczastej brodzie, podała im razowy chleb, ser i kawę z cykorią. Spojrzała na modlitewnik, który Jasza włożył do kieszeni, i spytała:

– Skąd to macie, panie?

Jasza drgnął.

– A podniosłem to koło waszej bóżnicy. Co to takiego? Święta księga?

– Proszę mi to dać, panie. Nie zrozumielibyście jej zresztą. Dla nas to świętość.

– Chciałem ją przejrzeć.

– W jaki sposób? Napisano ją po hebrajsku.

– Mam przyjaciela, księdza. Zna hebrajski.

– Książka jest podarta. Daj mi ją, panie!

– Zostaw – mruknął jej mąż z oddali po żydowsku.

– Nie chcę, żeby chodził z żydowską książką – odparta tonem agresywnym.

– Co tu napisano? – spytał Jasza. – Jak oszukiwać chrześcijan?

– Nikogo nie oszukujemy, panie, ani Żydów, ani chrześcijan. Uczciwie zarabiamy na chleb.

Otworzyły się boczne drzwi i wszedł chłopiec w czapce pokrytej strzępkami płótna i w rozpiętym szlafroku, spod którego wyzierały frędzle. Miał wąską twarz i dwa grube pejsy jak motki lnu. Widocznie dopiero co wstał, bo oczy miał jeszcze pełne snu.

– Babciu, daj mi mleka z wodą – poprosił.

– Czy obmyłeś się?

– Tak.

– Czy powiedziałeś „Dziękuję Ci”?

– Tak, powiedziałem.

I wytarł nos w rękaw.

Jasza jadł dalej i patrzył na chłopca. „Czy mogę zaprzeczyć się tego wszystkiego? – zapytał sam siebie. – Ostatecznie, to jest moje, moje... Kiedyś wyglądałem zupełnie jak ten chłopiec”. Poczł dziwne pragnienie przejrzenia jak najszybciej tekstu postrzępionego modlitewnika. Ogarnęła go fala serdeczności wobec tej babki, która wstała codziennie ze słońcem, gotowała i piekła, zmiatała dom i usługiwała gościom. Z boku drzwi wisiała puszcza na datki. Tu wrzucała zaoszczędzone grosze na pomoc dla Żydów pragnących pojechać do Ziemi Świętej, aby tam umrzeć. Atmosfera w tym domu była przepełniona szabasem, świętami, oczekiwaniem Mesjasza i przyszłego

świata. Stara kobieta krzątając się, szeptała coś bladymi wargami i kiwała głową, jak gdyby świadoma prawdy znanej tylko tym, których nie zwiódła marność rzeczy ziemskich.

3

Każdy przyjazd do Warszawy był dla Jaszy wydarzeniem. Stąd pochodziły jego zarobki. Tu mieszkał jego impresario, Mieczysław Wolski. Rozplakatowane już na murach afisze głosiły: „Pierwszego lipca teatr letni «Alhambra» prezentuje znanego artystę cyrkowego i hipnotyzera Jaszę Mazura w nowym repertuarze, który zadziwi szanowną publiczność”. Jasza miał tu mieszkanie, na ulicy Freta koło Długiej. Nawet klacze Kara i Siwa – Pył i Proch – odżyły, zbliżając się do Warszawy. Nie trzeba już było ich poganiać. Przejechawszy most Praski, wóz znalazł się w natłoku domów, pałaców, omnibusów, powozów, dorożek, sklepów, kawiarni. Powietrze pachniało świeżo upieczonym chlebem, kawą, gnojem końskim, dymem kolei i fabryk. Przed zamkiem, zajęтым przez rosyjskiego generała-gubernatora, grała orkiestra wojskowa. Widocznie obchodzono jakieś święto, gdyż z każdego balkonu powiewała rosyjska flaga. Kobiety nosiły już słomkowe kapelusze o szerokich rondach, przybrane sztucznymi owocami i kwiatami. Beztroscy młodzi ludzie w słomkowych kapeluszach i jasnych ubraniach spacerowali, kręcąc laskami. W tym gwarze gwizdały i syczały lokomotywy, czekały złącza wagonów. Odchodziły stąd pociągi do Petersburga, Moskwy, Wiednia, Berlina, Władywostoku. Gdy skończył się okres otrzeźwienia, który nastąpił po upadku powstania 1863 roku, Polska weszła w wiek uprzemysłowienia. Łódź rozrastała się w tempie amerykańskim. W Warszawie zerwano drewniane chodniki, zainstalowano kanalizację w domach, ułożono szyny dla tramwajów konnych, budowano wysokie domy oraz place i hale targowe. W teatrach rozpoczął się nowy sezon dramatyczny, komediowy, operowy i koncertowy. Wybitni aktorzy i aktorki przybywali z Paryża, Petersburga, Rzymu, a nawet z dalekiej Ameryki. Księgarnie oferowały świeżo wydane powieści, jak również książki naukowe, encyklopedie, leksykony i słowniki. Jasza odetchnął głęboko. Podróż była męcząca, miasto jednak działało

na niego ożywczo. Jeśli tutejsza atmosfera jest tak podniecająca, to o ileż bardziej podniecająca musi być atmosfera za granicą” – rozmyślał. Chciał biec natychmiast do Emilii, ale się powstrzymywał. Nie wypadało iść do niej śpiącym, nieogolonym, nieuczesanym. A także powinien naprzód zobaczyć się z Mieczysławem Wolskim. Jasza wysłał do niego telegram jeszcze z Lublina.

Dawno już nie był w Warszawie. Objeżdżał z występami prowincję. Będąc na szlaku, lękał się zawsze, czy złodzieje nie obrabują mu mieszkania. Miał tam bibliotekę, antyki i zbiór afiszy, wycinków prasowych i recenzji. Bogu dzięki, drzwi zastał zamknięte na dwa ciężkie zamki i w środku wszystko jak dawniej. Wszędzie leżały pokłady kurzu, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Magda natychmiast zabrała się do porządków. Wolski przyjechał dorożką – był to chrześcijanin o wyglądzie Żyda, czarnych oczach, orlim nosie, wysokim czole. Fantazyjny fontaż przekrzywił mu się na gorsie. Jasza otrzymywał od niego liczne oferty występów w miastach rosyjskich i polskich. Podkreślając czarnego wąsa, Wolski mówił z zapalem o tych, których utrzymanie zależy od sławy innych. Przygotował już nawet dla Jaszy program po ukończeniu występów w „Alhambrze”. Jasza uświadamiał sobie jednak, że przechwałki Wolskiego są czcze. Tylko prowincja go chciała. Nie miał ofert z Moskwy, Kijowa czy Petersburga. Na prowincji zarabiał grosze. Nawet w Warszawie nic się nie zmieniło. Właściciel „Alhambry” konsekwentnie odmawiał podniesienia mu gaży. Owszem, chwalono go, ale byle kłown z zagranicy otrzymywał więcej. W tym uporze właścicieli teatrów tkwiła jakaś tajemnica. Na nic zdawały się argumenty i spory Wolskiego. Jasza był zawsze wśród ostatnich do wypłaty. Emilia miała rację. Jak długo będzie w Polsce, tak długo traktować go będą jak trzeciorzędnego artystę.

Po wyjściu Wolskiego Jasza położył się w sypialni. Stróż miał się zająć końmi, a Magda nakarmieniem i napojeniem reszty zwierząt. Cała trójka – papuga, kruk i małpa – mieszkała w jednym pokoju. Magda, choć taka chuda, natychmiast zaczęła szorować podłogę. Po pokoleniach chłopów odziedziczyła siłę, a także usłużność. Jasza drzemał, budził się, znów zapadał w drzemkę. Dom był stary. Na niewybrukowanym podwórzu gęgały gęsi, kwakały kaczkę, piały koguty, zupełnie jak na wsi. Przez otwarte okno wpadał powiew od Wisły

i lasów Pragi. Na dole jakiś żebrak wygrywał melodię na chrypiącej katarynce i śpiewał starą warszawską piosenkę. Jasza byłby mu rzucał monetę, gdyby nie czuł się tak znużony. Śnił i myślał jednocześnie. Znów miał się wlec błotnistymi drogami w głąbi kraju? Znów dawać przedstawienia w remizach strażackich? Nie, miał już tego dość. Myśli jego wirowały w takt katarynki. Musi wyrwać się, odjechać, porzucić wszystko. Za każdą cenę musi wydostać się z tego bagna. Jeśli tego nie zrobi, to pewnego dnia będzie także wędrować z katarynką.

Dopiero co był ranek, a już zapadł zmierzch. Magda przyniosła mu talerz młodych ziemniaków z pietruszką i kwaśne mleko. Zjadł w łóżku i znów położył głowę na poduszce. Kiedy otworzył oczy, zapadła już noc. W sypialni panowały ciemności, nie mogło jednak być bardzo późno, bo słyszał szewca przybijającego ćwieki do buta. Nikt w sąsiedztwie nie zainstalował jeszcze oświetlenia gazowego. W świetle lamp naftowych kobiety reperowały, zmywały naczynia, cerowały, przyszywały łąty. Jakiś pijak kłócił się z żoną przy akompaniamencie szczekającego psa.

Jasza zawołał Magdę, ale ta widocznie wyszła. Odpowiedział mu tylko kruk, którego nauczył mówić po ludzku. Jasza wracał zawsze do Warszawy w oczekiwaniu dobrych wiadomości, lecz los, tak często hojny dla dyletantów i amatorów, dla niego był niezwykle skąpy. Nigdy mu nie pozwalał zrobić dobrego interesu. Przeciwnie, wszyscy go wykorzystywali. Jasza wiedział, że to z powodu jego postawy. Czuł się gorszy, a inni wyczuwając to, eksploatowali go. Otoczył się ludźmi niskiej kondycji i w nagrodę traktowano go jak jednego z nich. Emilia była jedynym cudem w jego życiu, jedyną nadzieją na wybawienie z pułapki, którą sam na siebie zastawił.

Poznanie ich otaczał nimb tajemniczości. Z początku nie dostyśzał jej nazwiska. Zaczął o niej myśleć, nie mógł o niej zapomnieć. Myśli kłębiły mu się samowolnie. W jakiś niewytłumaczalny sposób uświadomił sobie, że i ona myśli o nim równie silnie jak on o niej; że tęskni do niego i pragnie go. Wędrował po ulicach Warszawy jak lunatyk, szukając jej w oknach pojazdów, sklepach, kawiarniach, foyer teatralnych. Szukał jej na Marszałkowskiej, na Nowym Świecie, w alejkach Ogrodu Saskiego. Stawał przy kolumnie na placu Teatralnym i czekał. Pewnego wieczoru wyszedł z domu, przekonany, że ją

znajdzie. Przeszedł całą Marszałkowską. Kiedy zbliżył się do jakiejś wystawy sklepowej, dojrzał ją – czekającą, jak gdyby umówili się wcześniej na spotkanie – w płaszczu z futrzanym kołnierzem i z muflką; czarne oczy patrzyły wprost na niego. Zbliżył się, uśmiechnęła się znacząco i enigmatycznie. Skłonił się, podała mu rękę. A wtedy wykrzyknęła:

– Co za dziwny zbieg okoliczności!

Ale później przyznała, że czekała wówczas na niego. Miała przecucie, że posłyszał jej wezwanie.

4

Zamożniejsi mieszkańcy założyli już u siebie telefony, ale Emilia nie mogła jeszcze pozwolić sobie na taki luksus. Wraz z córką Haliną utrzymywały się z marnej renty. Z okresu kiedy żył profesor, pozostało tylko mieszkanie i stara służąca Jadwiga, która od lat już nie otrzymywała pensji.

Jasza obudził się wcześniej. Ogolił się starannie. W mieszkaniu znajdowała się drewniana balia i Magda napełniła ją, przynosząc wodę w kociołku. Namydliła Jaszę pachnącym mydłem; masując go, zauważyła chytrze;

– Kiedy się idzie odwiedzić szlachciankę, trzeba ładnie pachnieć.

– Magda, ja nie idę do żadnej szlachcianki.

– Oczywiście, oczywiście, twoja Magda jest głupia, ale potrafi wyciągać wnioski.

Przy śniadaniu Jasza nagle się rozjaśnił. Mówił tylko o wypróbowaniu swojej teorii latania i o tym, że im szybciej przeprowadzi się próbę, tym lepiej. Zamierzał również przymocować skrzydła Magdzie. Wzlecą w powietrze razem, niczym gęś z gąsiorem, i okryją się taką światową sławą jak bracia Montgolfier przeszło sto lat temu. Objął Magdę, ucałował ją i zapewnił, że bez względu na to, co mogłoby mu się przydarzyć, nigdy jej nie porzuci.

– Może będziesz musiała zostać na pewien czas sama, podczas gdy ja wyjadę za granicę, ale nie martw się, przyślę po ciebie. Proszę cię tylko o jedno: ufaj mi.

Mówiąc to patrzył Magdzie w oczy. Przyglądał jej włosy i pogłaskał skronie. Miał nad nią taką władzę, że mógł uspić ją w ciągu minuty. Gdy powiedział podczas fali upałów, że jest zimno, natychmiast dostawała dreszczy. W czasie mrozu potrafił przekonać dziewczynę, że się przegrzała, i zaraz czerwieniała na ciele, i pocila się obficie. Mógł kłuć ją igłą i nie popłynęła ani kropla krwi. Przeprowadzał na niej niezliczone eksperymenty. Wypracował także system hipnotyzowania na jawie. Mówił coś, co zapadało jej w pamięć. Wydawał rozkazy na tygodnie i miesiące wcześniej, a ona wypełniała je z niezwykłą gotowością w oznaczonym czasie. Zaczął już przygotowywać ją na okres, gdy wyjedzie z Emilią. Magda wysłuchiwała go, uśmiechając się milcząco z chłopską przebiegłością. Dostrzegała wszystkie jego matactwa, ale jednocześnie godziła się na nie, niezdolna przeciwstawić się i nawet tego nie pragnąc. Czasami z wyglądu i min przypominała mu papugę, małpę lub kruka.

Po śniadaniu włożył jasne ubranie, giemzowe buty, cylinder i związał czarny jedwabny krawat. Pocałował Magdę i wyszedł bez słowa. Zatrzymał dorożkę. Emilia mieszkała na Królewskiej, naprzeciw Ogrodu Saskiego. Po drodze kazał dorożkarzowi zatrzymać się przed kwiaciarnią, gdzie kupił bukiet róż. W innym sklepie nabył butelkę wina, funt jesiotra, puszkę sardynek. Emilia często żartowała, że przychodzi obładowany prezentami niczym święty Mikołaj w wigilię Bożego Narodzenia, ale stało się to już u niego tradycją. Wiedział doskonale, iż matce i córce ledwie starczało pieniędzy na zaspokojenie podstawowych potrzeb. A poza tym Halina miała słabe płuca. To właśnie z tego powodu jej matka chciała jechać na południe Włoch. Halina opuściła internat, ponieważ skończyły się pieniądze przeznaczone na jej naukę. Emilia sama szyla i nicowała wszystkie suknie, bo nie starczało już pieniędzy na krawców i szwaczki. Jasza, trzymając mocno paczki, aby się nie wyśliznęły, przyglądał się z dorożki miastu, obcemu a zarazem znajomemu. Kiedyś Warszawa wydawała mu się niedościgłym marzeniem. Ponad wszystko pragnął zobaczyć swoje nazwisko wydrukowane w gazecie warszawskiej lub na afiszu teatralnym. Teraz jednak próbował uwolnić się od tego miasta, które pomimo kosmopolitycznych pretensji pozostało prowincjonalne. Obecnie dopiero zaczynało się rozbudowywać. Dorożka toczyła się między stosami cegieł, kupami piasku, górami

wapna. Powietrze tego czerwcowego dnia pachniało bzem, farbą, rozkopaną ziemią i ściekami. Brygady robotników wydzierają ulicom wnętrzności, przygotowując wykopy pod fundamenty.

Na ulicy Królewskiej powietrze było czystsze. Z drzew w Ogrodzie Saskim opadały ostatnie kwiaty. Przez sztachety widać było rabaty, cieplarnie pełne egzotycznych roślin oraz kawiarnię, w której młode pary jadły drugie śniadanie pod gołym niebem. Zaczął się właśnie sezon loterii i went dobroczynnych. Niańki i bony popychały wózki z dziećmi. Chłopcy w marynarskich ubrankach toczyli koła, poganiając je pałeczkami. Malutkie dziewczynki, ubrane jak eleganckie panie, grzebały w piasku, wykopując kamyki kolorowymi łopatkami. Inne tańczyły wkoło. W parku znajdował się także teatr letni, ale Jasza nie występował w nim nigdy. Jako Żyd miał tam wstęp wzbroniony. Płacił wyższą karę za swoje żydostwo aniżeli pobożni Izraelici ze swymi brodami i pejsami. W innych częściach Europy nie przestrzegano już podobnych restrykcji, jak twierdziła Emilia. Tam artystę oceniano po prostu według jego talentu.

– Ano, zobaczymy, zobaczymy – mruknął do siebie. – Będzie, jak los zawyrokuje.

Śmiałość, którą Jasza wykazywał w teatrze, chodząc po linie lub czytając myśli, opuszczała go zawsze, gdy przychodził do Emilii. Był niepewny swojego wyglądu, niepewny, czy zachowuje się przykładnie jak na kosmopolitę, czy nie popełnia błędów gramatycznych lub w etykiecie. Może za wcześnie na składanie wizyty? Co robi, jeśli nie zastanie Emilii w domu? Czy ma zostawić kwiaty i podarki, czy tylko kwiaty? „Nie bój się tak, Jaszele – poradził sam sobie. – Ostatecznie, nikt cię nie zje... ona za tobą szaleje, ta dziewczyna. Spala ją gorączka. Nie może się ciebie wprost doczekać”. Wydał usta i gwizdnął. Jeśli chce występować na królewskich dworach, to nie może onieśmielać go zbiedniała wdowa. Któż to może wiedzieć? Może nawet hrabianki i księżniczki będą ubiegać się o jego względy? Kobiety to kobiety, w Piaskach czy w Paryżu...

Zapłacił dorożkarzowi, minął bramę, wszedł na marmurowe schody i zadzwonił do drzwi. Jadwiga otworzyła natychmiast. Była to mała, siwa kobieta w białym fartuchu i czepku, o twarzy pomarszczonej jak figa. Zapytał o panią Chrabocką. Czy jest w domu? Jadwiga przytaknęła, uśmiechnęła się znacząco, wzięła od niego kwiaty, pakunki,

laskę i kapelusz. Otworzyła drzwi do salonu. Ostatni raz przyszedł w odwiedzinie podczas fali zimna. Emilia była wówczas chora, miała szyję owiniętą. Teraz w pokoju oddychał latem. Promienie słońca przenikały przez firanki, jaśniały na dywanie i parkiecie, igrały na wazonach, ramach obrazów i klawiszach fortepianu. Fikus w donicy wypuścił młode liście. Na kanapie leżał materiał, na którym widocznie Emilia haftowała, tkwiła w nim jeszcze igła. Jasza zaczął chodzić tam i z powrotem. Jakże się to różniło od Zewtel Lejbusia Lekacza! Chociaż w rzeczywistości to było to samo. Drzwi otworzyły się i weszła Emilia. Jasza otworzył szeroko oczy i nieomal gwizdnął. Dotychczas widywał ją tylko w czerni. Nosila żałobę po profesorze Stefanie Chrabockim, a także po klęsce powstania w 1863 roku i męczennikach, których torturowano i którzy zginęli na Sybirze. Emilia czytała Schopenhauera, uwielbiała poezję Byrona, Słowackiego i Leopardiego, i ubóstwiała polskich mistyków, Norwida i Towiańskiego. Poinformowała nawet Jaszę, że jest spokrewniona z Wołowskim ze strony matki i prawnuczką słynnego frankisty Eliasza Szora. Tak jest, żydowska krew płynęła w jej żyłach, jak u większości polskiej arystokracji. Dziś ubrała się w lekką suknię barwy mlecznej kawy. Nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie: prosta, gibka, typowa polska piękność o wydatnych kościach policzkowych, słowiańskim nosie, ale czarnych żydowskich oczach pełnych dowcipu i namiętności. Włosy zaczesane z tyłu do góry oplatały warkoczem głowę jak wiankiem. Cienka w talii, o wysokich piersiach, nie wyglądała na swoje trzydzieści parę lat, lecz o dziesięć lat młodziej. Nawet meszek na górnej wardze przydawał jej urody i jakby kobiecej chłopiękości. Uśmiechała się nieśmiało, a zarazem swawolnie. Zdarzało im się w przeszłości całować i wymieniać uściski jak kochankowie. Często wyznawała Jaszy, że potrzebuje całego swego opanowania, aby mu nie ulec. Pragnęła jednak wziąć z nim ślub w kościele i zacząć wspólne życie na czystych podstawach. Aby jej zrobić przyjemność, obiecał, że przejdzie na chrześcijaństwo.

– Dziękuję za kwiaty – powiedziała i wyciągnęła rękę, wprawdzie nie małą, ale białą i delikatną. Podniósł ją do ust i pocałował przytrzymując przez chwilę w swojej dłoni. Owionęły ich zapachy bzu i późnej wiosny.

– Kiedy pan przyjechałeś? – zapytała. – Spodziewałam się pana wczoraj.

– Byłem zanadto zmęczony.

– Halina wciąż się o pana dopytuje. W „Kurierze Warszawskim” była wczoraj jakaś wzmianka o panu.

– Tak, Wolski mi ją pokazał.

– Salto na linie?

– Tak.

– Boże wielki, czego to ludzie nie wymyślą – zawołała ze zdziwieniem i żalem. – Ano, jest to chyba jakiś dar. Dobrze pan wyglądasz! – Zmieniła ton. – Widocznie Lublin dobrze panu robi.

– Wypoczywam tam.

– Z tymi wszystkimi kobietami?

Nie odpowiedział.

– Nawet mnie nie pocałowałeś – odezwała się.

I otworzyła ramiona.

5

Trwali w pocałunku, jak gdyby rywalizując ze sobą o to, kto pierwszy zaczerpnie oddechu. Nagle oderwała się od niego. Zawsze każała mu obiecywać, że będzie nad sobą panował. Już cztery lata żyła bez mężczyzny, lepiej jednak cierpieć niż dopuścić się rozwiązłości. Zawsze mówiła: „Bóg widzi wszystko. Stale są tu z nami dusze zmarłych i patrzą na postęпки swoich bliskich”. Emilia wyznawała swoją własną religię. Dogmaty katolickie były dla niej tylko zbiorem przepisów. Przeczytała mistyczne dzieła Swedenborga i Jakuba Boehmego. Często dyskutowała z Jaszą o jasnowidztwie, przeczuciach, czytaniu myśli i komunikowaniu się z duchami zmarłych. Po śmierci Stefana Chrabockiego urzędowała przez pewien czas w swoim salonie seanse i rzekomo wymieniała pozdrowienia z Chrabockim za pomocą wirującego stolika. Później uświadomiła sobie, że medium, kobieta, była oszustką. W jakiś dziwny sposób mistycyzm pomieszał się u Emilii ze sceptycyzmem i niezmaconym poczuciem humoru.

Wyśmiewała się z Jadwigi i sennika egipskiego, który służąca trzymała pod poduszką, a tymczasem sama wierzyła w sny. Po śmierci Chrabockiego kilku jego kolegów proponowało Emilii małżeństwo, ale zmarły mąż ukazał się jej we śnie i nalegał, aby żadnego z nich nie przyjęła. Raz zmaterializował się nawet przed nią, kiedy szła o zmroku po schodach. Oznajmiła Jaszy, że kocha go, ponieważ tak bardzo podobny jest z charakteru do Chrabockiego i ponieważ dostała znak, że Chrabocki popiera ten związek. Teraz ujęła Jaszę za obie ręce, zaprowadziła do krzesła i posadziła jak niegrzeczne dziecko.

– Proszę usiąść i czekać – rzekła.

– Jak długo mam czekać?

– To zależy od pana.

Usiadła naprzeciwko na szezlongu. Oderwała się od Jaszy z wielkim wysiłkiem. Siedziała, zarumieniona, jak gdyby zdumiona swoją żądzą.

Zaczęli wymieniać urywane zdania, jakich używają bliscy przyjaciele, którzy rozstali się, a teraz usiłują powiązać zerwane nici. Halina chorowała dwa tygodnie temu. Ona, Emilia, również miała grypę. – Pisałam panu o tym, prawda? Widocznie zapomniałam... Tak, wszystko jest teraz w porządku... Halina? Poszła czytać do parku. Wciąż siedzi w książkach, ale cóż to za ramoty! Boże, co się stało z literaturą! Pospolita, tandetna... Prawda, jak zimno było w maju? Śnieg nawet... Teatr! Nie, nie byliśmy nigdzie. Poza tym, że cena biletów jest bardzo wygórowana, to jeszcze sztuki są tak absurdalne... Wszystkie tłumaczone z francuskiego, i to źle tłumaczone. Wieczny trójkąt... Ale czy nie wolałbyś pan mówić o sobie? Gdzie się podziwiałeś przez te wszystkie tygodnie? Kiedy pan wyjeżdżasz, wszystko staje się nierealne. Życie zdaje mi się snem. Kiedy jednak przyjdzie list, świat znów nabiera sensu. No i nagle wpada Halina, podniecona: pisano o panu w „Kurierze”... Co? Jakaś taka wzmianka. Halina jest przekonana, że każdy, którego nazwisko ukazuje się w gazecie, to półbóg, nawet jeżeli daną osobę po prostu przejechał omnibus... A jak pan się ma? Dobrze pan wygląda. Chyba nie brakowało panu nas. Co ja właściwie wiem o panu? Zawsze byłeś i nadal jesteś zagadką. Im więcej pan mówisz o sobie, tym mniej cię rozumiem. Masz pan kobiety w całej Polsce. Włóczyz się po kraju krytym wozem

jak Cygan. To doprawdy zabawne. Ktoś z pańskim talentem, a taki zacofany! Często myślę, że twoje zachowanie to jeden wielki żart z samego siebie i ze świata... Co takiego? Na pewno nie potrafiłabym niczego powiedzieć o nas. Wszystkie nasze plany wiszą w powietrzu. Obawiam się, że wszystko będzie się wlec jak dotychczas, aż się oboje zestarzejemy i posiwiejemy...

– Przeszedłem do pani i już się nie rozstaniemy! – powiedział zdumiony własnymi słowami. Do tej chwili nie podjął był przecież żadnej decyzji.

– Co takiego! Na to właśnie czekałam. To chciałam usłyszeć!

Oczy jej zwilgotniały. Odwróciła głowę i zobaczył ją z profilu. Po chwili wstała, aby polecić Jadwidze, żeby podała kawę. Służąca już ją zaparzyła, choć nikt jej nie kazał. Sama ją zmeła w młynku zgodnie z polską tradycją. Aromat kawy przenikał do salonu. Jasza pozostał sam. – Ano, wszystko zależy od losu – mruknął do siebie. Wstrząsnął nim dreszcz. Tymi kilkoma słowami wyrzeczonymi do Emilii przypieczętował jak gdyby swój los. A co się teraz stanie z Esterą? I z Magdą? Skąd weźmie potrzebne pieniądze? I czy rzeczywiście gotów jest zmienić wiarę? „Nie mogę żyć bez niej!” – tłumaczył sobie. Ogarnęła go nagle niecierpliwość więźnia oczekującego zwolnienia, każda godzina zdawała się wiecznością. Wstał. Serce miał ciężkie, stopy wydawały się dziwnie lekkie. „W tej chwili potrafiłbym wykonać nie jedno, ale trzy salta na linie! Jakże mogłem tak długo zwlekać?” Jasza podskoczył do okna, odgarnął zasłony i spojrzął na bujnie kwitnące kasztanowce w Ogrodzie Saskim, na gimnazjalistów, elegantów, guwernantki i pary spacerujące po alejach. Na przykład ten młody człowiek o lnianych włosach i jego dziewczyna w słomkowym kapeluszu z wisienkami! Stąpali jak dwa ptaki, zatrzymywali się, robili następny krok, poruszali się, stojąc w miejscu, patrzyli na siebie, wdychali swoją woń, grali w gry znane tylko kochankom. Zdawało się, że chcą rzucić się w jakąś walkę czy taniec zmysłów. Ale cóż on w niej widzi? A jakie błękitne jest dzisiaj niebo! Bładoniebieskie jak zasłona, która wisi w świątyni podczas Groźnych Dni.

Jasza poczuł ból zwątpienia przy tym porównaniu. Ano, Bóg to Bóg, czy się modli do niego w synagodze, czy w kościele. Emilia wróciła. Podeszedł do niej.

– Kiedy Jadwiga parzy kawę, to w całym mieszkaniu pachnie. Także kiedy gotuje.

– Co się z nią stanie? – zapytał. – Czy zabierzemy ją ze sobą do Włoch?

Emilia zastanowiła się przez chwilę.

– Czy już jesteśmy na tym etapie?

– Już się zdecydowałem.

– No, będziemy potrzebować służącej. Ale to wszystko tylko czcza gadanina.

– Nie, Emilio, to tak, jakbyś już była moją żoną.

6

U drzwi zadźwięczał dzwonek. Emilia przeprosiła Jaszę i znów pozostawiła go samego. Siedział cicho, jak gdyby się ukrywał i obawiał ujawnić swą obecność komuś, kto go szukał. Skompromitował już Emilię, ukrywała go jednak wciąż przed swą rodziną. Stał się jakby kimś, kto widzi, lecz sam jest niewidzialny. Siedział tak i wpatrywał się w meble, w dywany. Wahadło szafkowego zegara poruszało się powoli. Złote błyski słoneczne odbijały się tęczowo od kryształów żyrandola, od albumu oprawionego w czerwony aksamit. Z sąsiedztwa dolatywały dźwięki akordów fortepianowych. Zawsze podziwiał czystość tego mieszkania, jego zamożny porządek. Wszystko stało na swoim miejscu. Nigdzie nie było śladu kurzu. Zdawało się, że ci, którzy tu mieszkali, nie znali brudu ani niczego zbędnego, żadnych przykrych zapachów, żadnych niepokojących myśli.

Jasza nadstawił uszu. Emilia miała kilku dalekich krewnych, mieszkających w Warszawie. Często wpadali nie zaproszeni. Czasem Jasza musiał wychodzić drzwiami kuchennymi. Nasłuchując, próbował ocenić swoje położenie. Do urzeczywistnienia swoich planów potrzebował pieniędzy, co najmniej piętnastu tysięcy rubli. Taką sumę mógł zdobyć tylko w jeden sposób. Czy był gotów na taki krok? Romansując z tyloma kobietami, przeobraził się w człowieka, który żyje chwilą, kieruje się tylko impulsem i natchnieniem. Snuł plany, lecz wszystko pozostawało płynne. Mówił o miłości, nie potrafiłby

jednak sam sobie wyjaśnić, co chciał przez to powiedzieć ani jak to rozumiała Emilia. Popołniając zaś różne grzechy, odczuwał zawsze rękę Opatrzności. Poruszały nim jakieś ukryte siły, nawet podczas występów. Czy mógł spodziewać się, że Bóg poprowadzi go do kradzieży i odstępstwa? Słuchając dźwięków fortepianu, słyszał jednocześnie swoje myśli. Zwykle zanim cokolwiek zrobił, odzywał się w nim jakiś głos, mówił wyraźnie, rozkazywał surowo, proponował wszystkie szczegóły. Tym razem jednak doświadczał uczucia wyczekiwania. Coś innego miało się zdarzyć, coś jeszcze należało zmienić. Miał w notesie listę banków i adresy bogaczy, którzy przechowywali pieniądze w kasach pancernych, i jak dotąd nie skorzystał jeszcze z tych możliwości. Udało mu się już usprawiedliwić zamierzony czyn, przysięgając, że zwróci wszystko z procentami, gdy tylko zdobędzie sławę za granicą, lecz nie uspokoił tym sumienia. Pozostał strach, obrzydzenie i pogarda dla samego siebie. Pochodził z rodziny ludzi honoru. Dziadkowie, zarówno ze strony ojca, jak i matki, byli znani ze swej uczciwości. Pradziadek gonił kiedyś jakiegoś kupca aż do Łęczna, aby mu zwrócić zapomniane dziesięć groszy...

Drzwi otworzyły się i na progu stanęła Halina: jasna, wysoka na swoje czternaście lat, o blond warkoczach, jasnoniebieskich oczach, prostym nosie, pełnych ustach i przezroczystej, bladej cerze osób dotkniętych anemią i słabymi płucami. Wyrosła podczas jego krótkiej nieobecności i zdawała się tego wstydić. Patrzała na Jaszę uradowaną i zmieszana zarazem. Halina wrodziła się w ojca, miała umysł naukowca. Marzyła o tym, aby wszystko rozumieć: każdą sztuczkę Jaszy, każde słowo wypowiedziane przez niego do matki w jej obecności. Czytała namiętnie, zbierała owady, umiała grać w szachy, pisać wiersze. Już teraz uczyła się włoskiego. Przez chwilę zdawała się wahać. Nagle rzuciła się do Jaszy w dziecinnych podskokach i padła mu w ramiona.

– Wuj Jasza!

Ucałowała go i pozwoliła się pocałować.

Natychmiast zasypała go pytaniami. Kiedy przyjechał? Czy także i tym razem podróżował krytym wozem? Czy widział w lesie dzikie zwierzęta? Czy napadli go rabusie? Jak się miewa małpka? Kruk? Papuga? A co z pawiami u niego w Lublinie na podwórku? I z wężem? Z żółwiem? Czy naprawdę wykona salto na linie, jak to ogło-

szono w gazetach? Czy to możliwe? Czy tęsknił za nimi, za nią i mamą? Wydawała się niemal dorosła, ale paplała jak dziecko. Wyczuwało się jednak jakąś sztuczność obok figlarności.

– Wybujalaś jak drzewo! – powiedział Jasza.

– Wszyscy mówią o moim wzroście! – Wydeła usta z dziecinnym oburzeniem. – Jak gdyby to była moja wina. Leżę w łóżku i czuję, że rosnę. Jakiś diabełek ciągnie mnie za nogi. Wcale nie chcę rosnać. Wolalabym pozostać małą na zawsze. Co mam robić, wuju Jaszo? Czy istnieje jakieś ćwiczenie sprawiające, że pozostaje się małym? Niech mi wuj powie! – I pocałowała go w czoło.

„Tyle miłości! Tyle miłości!” – zadumał się Jasza. Głośno powiedział: – Tak, jest sposób.

– Jaki?

– Wsadzimy cię do szafki od zegara i zamkniemy drzwiczki. Nie będziesz mogła wyrosnąć poza obudowę.

Halina rozchmurzyła się natychmiast.

– On ma na wszystko odpowiedź! Jakże szybko pracuje jego umysł! Wcale nie musi myśleć! Wujku Jaszo, jak pracuje twój umysł?

– Czemu nie podniesiesz przykrywki i nie zajrzysz do środka? Jest dokładnie taki jak mechanizm zegara.

– Jeszcze jeden zegar? Tylko o tym teraz myślicie: o zegarach. Czy wujcio pracuje nad nową sztuczką z zegarem? Czytał wuj „Kurier”? Wuj jest sławny! Cała Warszawa go podziwia. Dlaczego wujka nie było tak długo? Byłam chora i wciąż wuja wzywałam. Śniłam także o wuju. Mama gniewała się na mnie, bo tyle o wuju mówiłam. Jest strasznie zazdrosna! – powiedziała Halina i zarumieniła się z powodu własnych słów.

Właśnie weszła Emilia.

– Widzisz, wuj Jasza znów jest u nas. Nie potrafię zliczyć, ile razy pytała o pana.

– Nie mów mu, mamó, nie mów. Zrobi się zarozumiały. Wydaje mu się, że ponieważ jest wielkim artystą, a my skromnymi, nic nie znaczącymi osobami, to może nami rządzić. Pan Bóg jest od wuja potężniejszy. Potrafi pokazać jeszcze lepsze sztuczki.

Emilia szybko spoważniała.

– Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremnie. To nie temat do żartów.

– Ja nie żartuję, mamó.

– Takie powoływanie się na Boga w najgłupszej rozmowie to ostatnia moda.

Halina wydawała się przez chwilę pogrążona w myślach.

– Mamó, umieram z głodu.

– Hm.

– Tak, jeśli nie zjem czegoś za dziesięć minut, to umrę.

– Jak ty się zachowujesz? Jak sześciolatnie dziecko. Powiedz Jadwidze, żeby ci dała coś do jedzenia.

– A mama nie jest głodna?

– Nie, jakoś udaje mi się przeżyć od jednego posiłku do drugiego.

– Ale mama prawie nic nie je. Szklanka kakao to całe śniadanie mamy. A wuj?

– Zjadłbym słonia.

– No to chodźmy, zjemy go razem.

7

Jasza zasiadł do stołu z matką i córką, i wszyscy zabrali się do drugiego śniadania, jedząc przysmaki, przyniesione przez Jaszę: je-siotra, sardynki, ser szwajcarski. Jadwiga wniosła kawę ze śmietanką. Halina pałaszowała z apetytem, chwając i smakując każdy kęs.

– Świetnie pachnie! Rozpływa się w ustach! – Świeże bułeczki chrupały jej w zębach.

Emilia posilała się powoli, jak dama. Jasza ze swej strony jadł ze smakiem. Bardzo lubił te lekkie posiłki spożywane z Emilią i Haliną. Z Esterą nie miał o czym rozmawiać. Nie znała się na niczym poza gospodarstwem domowym i krawiectwem. Tu rozmowa toczyła się gładko. Mówiono o hipnozie. Emilia często ostrzegała Jaszę, aby nie rozprawiał na ten temat w obecności Haliny, ale trudno mu było tego uniknąć. Gazety reklamowały go jako hipnotyzera, a Halina, zbyt sprytna i ciekawa, nie dawała się zbyć. Poza tym czytała książki

dla dorosłych. Profesor Chrabocki pozostawił dużą bibliotekę. Jego koledzy uniwersyteccy oraz dawni studenci posyłali Emilii podręczniki i luźne kartki z czasopism naukowych. Halina wszystko przeglądała. Słyszała o Mesmerze, znała jego teorie, jego próby, czytała o Charcocie i Janecie. Polskie gazety drukowały artykuły o hipnotyzerze Feldmanie, który wywołał sensację w różnych polskich salonach. Pozwolono mu nawet demonstrować swoje umiejętności w szpitalach i klinikach prywatnych. Miliony razy Halina zadawała Jaszy te same pytania:

– Jak może jedna osoba przekazać swoją wolę innej? Jak można uśpić kogoś, patrząc na niego? Jak można sprawić, aby ktoś drżał z zimna w największy upał albo w przegrzanym pokoju?

– Sam nie znam odpowiedzi – odparł Jasza. – To najprawdziwsza prawda.

– Ale wuj sam to robił?

– Czy pająk wie, jak snuje sieć?

– E, teraz porównuje się z pająkiem! Nie znoszę pająków, brzydzę się ich! A ciebie, wuju, ubóstwiam.

– Za dużo mówisz, Halinko – przerwała Emilia.

– Chcę znać prawdę.

– Istna córka swego ojca. Chce tylko prawdy.

– Mamo, a w jakimż celu się rodzimy? Dlaczego pisze się książki? Chodzi o prawdę. Mamo, chcę prosić mamę o wielką łaskę.

– Wiem z góry, o co chodzi, i odpowiadam: nie!

– Mamo, błagam cię na klęczkach! Niech się mama zlituje.

– Nie mam litości. Nie!

Halina chciała, aby mama pozwoliła Jaszy zademonstrować swoje umiejętności hipnotyczne teraz, tu, u nich. Paliła się nawet do tego, aby ją zahipnotyzował. Ale Emilia uparcie odmawiała spełnienia prośby córki. Z takimi sprawami nie ma żartów. Emilia przeczytała gdzieś o hipnotyzerze, który nie zdołał obudzić swego medium. Ofiara pozostawała w transie przez wiele dni.

– Idź do teatru, Halinko, tam zobaczysz, jak to się robi – rzekł Jasza.

– Prawdę powiedziawszy, waham się, czy ją zabrać, taka hołota tam chodzi.

– To co ja mam robić? Siedzieć w kuchni i skubać kurczęta?

– Jesteś jeszcze dzieckiem.

– To niech wujek zahipnotyzuje mamę.

– Nie życzę sobie żadnych seansów w moim domu – powiedziała ostro Emilia.

Jasza milczał. „I tak obie są już zahipnotyzowane – pomyślał. – Miłość opiera się wyłącznie na hipnotyzmie. Zahipnotyzowałem Emilię, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem. Dlatego czekała wtedy wieczorem na Marszałkowskiej. Wszystkie są zahipnotyzowane: Estera, Magda, Zewtel. Posiadam moc, moc straszliwą. Ale co to jest? I jak daleko sięga? Czy potrafiłbym zahipnotyzować dyrektora banku, aby otworzył przede mną skarbiec?”

On sam po raz pierwszy usłyszał słowo hipnoza zaledwie kilka lat temu. Spróbował i natychmiast odniósł sukces. Nakazał pewnemu mężczyźnie zasnąć, i ten od razu zapadł w głęboki sen. Kazał jakiejś kobiecie rozebrać się, i zaczęła zdejmować suknię. Powiedział dziewczynie, że nie poczuje bólu, a ona, choć ją ukłuł szpilką w ramię, nie krzyknęła, nie pokazała się też krew. Od tego czasu Jasza był świadkiem wielu pokazów urządzanych przez hipnotyzerów, kilku nawet przez samego Feldmana, ale nie rozumiał, co to za moc i jak działa. Czasami zdawało mu się, że zarówno hipnotyzer, jak i hipnotyzowany po prostu zabawiają się wesoło; jednakże w grę nie wchodziło udawanie. Nie można symulować potu podczas zimnej pogody ani hamować przyływu krwi, gdy wbija się komuś igłę. Może to właśnie nazywano kiedyś czarną magią.

– Och, mamusiu, taka mamusia uparta! – zareplikowała Halina, jedząc sardynkę na bułce. – Wujku Jaszo, proszę mi powiedzieć, co to za moc, zanim umrę z ciekawości!

– To taka siła. Co to jest elektryczność?

– Właśnie, co to jest elektryczność?

– Nikt nie wie. Wysyła się sygnały stąd z Warszawy, a elektryczność przenosi je w ciągu jednej sekundy do Petersburga czy Moskwy. Sygnały wędrują ponad polami, lasami, przebywają setki mil, a wszystko to trwa sekundę. Mamy też telefon, można za pomocą drutów

prowadzić rozmowę z drugą osobą. Nadejdzie czas, kiedy będzie można z Warszawy rozmawiać z Paryżem, tak jak ja rozmawiam teraz z tobą.

– Ale jak to działa? Ach, mam, tyle jest rzeczy do nauczenia się! Niektórzy są tacy mądrzy! W jaki sposób zyskali tę mądrość? To jednak zawsze mężczyźni. Dlaczego kobiety się nie kształcą?

– W Anglii jest kobieta doktor – rzekł Jasza.

– Naprawdę? To zabawne. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu!

– Co w tym śmiesznego? – spytała Emilia. – Kobiety to też ludzie.

– Oczywiście. Kobieta doktor! Jak ona się ubiera? Jak George Sand?

– Co ty wiesz o George Sand? Zamknę przed tobą bibliotekę.

– Niech mamusia tego nie robi. Kocham mamę, kocham strasznie, a mama jest dla mnie taka surowa. Co ja mam poza książkami? Te dziewczęta, które znam, to nudziary. Wuj Jasza rzadko do nas przychodzi. Bawi się z nami w chowanego. W książkach mogę znaleźć zapomnienie. A może byście się pobrali? – Wyrzuciła z siebie nagle Halina zdumiona własnymi słowami. Zbladła.

Emilia spłonęła rumieńcem po korzonki włosów.

– Zwariowałaś czy co?

– Ma rację. Niedługo się pobierzemy – wtrącił Jasza. – Wszystko już postanowione. Cała nasza trójka jedzie do Włoch.

Halina, zawstydzona, zwiesiła głowę. Zaczęła bawić się końcem warkocza, jak gdyby licząc włosy. Emilia spuściła oczy. Siedziała bezradna, zawstydzona, mile zaskoczona słowami Jaszy. Dziewczynka gadała bez przerwy, ale tym razem jej paplanina ułatwiła sytuację. W tej chwili Jasza zadeklarował się oficjalnie. Emilia podniosła wzrok.

– Halinko, idź do swojego pokoju.

Rozdział piąty

1

Zwykle Jasza rozpoczynał próby na dwa tygodnie przed premierą. W tym roku, chociaż przygotował nowy, trudny repertuar, zwlekał z próbami z dnia na dzień. Właściciel „Alhambry” odmówił podniesienia mu gaży. Impresario Wolski starał się po cichu o kontrakt z innym teatrem letnim, „Palace”. Często w ciągu dnia, gdy Jasza siedział w kawiarni Lourse'a, popijając kawę i przeglądając czasopisma, nawiedzało go dziwne przeczucie, że w tym sezonie nie wystąpi. Lękał się tego ostrzeżenia i próbował wygnać je z myśli, ułagodzić, wymazać – ale powracało. Czy miał się rozchorować? Czy też, niech Bóg broni, umrzeć? A może to coś zupełnie innego? Kładł ręce na czole, pocierał głowę, kości policzkowe, osnuwał się nieprzeniknioną ciemnością. Wplątał się w zbyt wiele matni. Sam się wpędził w dylemat. Kochał Emilię i pragnął jej. Marzył nawet o Halinie. Jakże mógł jednak zachować się niegodziwie wobec Estery? Przez tyle lat okazywała mu rzadkie oddanie. Nie odstępowała go w trudnych sytuacjach, pomagała we wszystkich kryzysach; jej tolerancja była z rodzaju tej, jaką pobożni przypisują jedynie Bogu. Jakże mógł odpłacić jej za to wszystko kopniakiem? Jasza wiedział, że nie przeżyłaby tego ciosu, zwiędłaby i zgasła jak świeca. Wielokrotnie widział osoby umierające ze złamanym sercem po prostu dlatego, że nie miały już żadnego celu w życiu. Niektórzy nie chorowali nawet przed śmiercią. Szybko i nie tłumacząc się odprawia swoje czary Anioł Śmierci.

Od pewnego czasu starał się przygotować Magdę na swój wyjazd. Ale już i tak zdradzała niepokój. Za każdym razem, kiedy powracał od Emilii, Magda patrzyła na niego z niemym wyrzutem. Przestała prawie odzywać się do niego i zamknęła w sobie jak ostryga w skorupce. W łóżku była zimna, daleka, milcząca. Dawniej w lecie zni-

kały z jej twarzy krosty, w tym roku jednak miała pełno wyprysków. Wysypka rozprzestrzeniła się na szyję i częściowo na piersi. Zaczynały też się przydarzać jej wypadki. Talerze wypadały jej z rąk. Garnki wywracały się na gorącym piecu. Oparzyła sobie stopę, ukłuła się w palec, omal nie straciła oka. W takim stanie trudno wymagać od niej, aby wykonywała salta, podawała mu kije i piłki do żonglowania czy obracała beczkę stopami. Nawet gdyby Jaszy udało się wystąpić w obecnym sezonie, to musiałby prawdopodobnie zaangażować w ostatniej chwili nową asystentkę. Tak, ale co się stanie z biedną Elżbietą? Wiadomość o porzuceniu przez niego Magdy mogłaby ją zabić.

Istniało częściowe rozwiązanie tej żalosalnej sytuacji: pieniądze. Gdybym mógł dać Esterze dziesięć tysięcy rubli, złagodziłoby to nieco cios. Gotówka na pewno ugłaskałaby Magdę i Elżbietę. Poza tym potrzebował dużej sumy pieniędzy dla siebie, Emilii i Haliny. Emilia zamierzała kupić willę na południu Włoch, gdzie klimat służyłby słabym płucom Haliny. Jasza nie mógłby od razu rozpocząć występów. Najpierw musiałby nauczyć się języka, zaangażować impresaria, nawiązać kontakty. Nie stać by go było na sprzedawanie tanio swych usług, jak to czynił w Polsce. Musiałby zacząć na samym szczycie. Ale w tym celu potrzebował rezerwy w wysokości co najmniej trzydziestu tysięcy lirów. Emilia wyznała mu coś, o czym już właściwie wiedział. Nie posiadała niczego poza górą długów, które będzie musiała spłacić przed wyjazdem z miasta.

Normalnie Jasza nie palił. Odzwyczaił się od fajki w przekonaniu, że szkodzi na serce i oczy, i źle wpływa na sen. Teraz jednak zaczął palić papierosy rosyjskie. Pociągał więc papierosa, popijał czarną kawę ze spodka i przeglądał jakieś czasopismo. Dym drażnił mu nozdrza, kawa podniebienie, artykuł w czasopiśmie nie miał sensu. Entuzjasmowano się tam jakąś aktorką paryską, niejaką Fifi, u której stóp leżała cała Francja. Autor sugerował, że Fifi pochodzi z półświatka. „Dlaczego cała Francja miałaby gloryfikować kokotę? – zastanawiał się Jasza. – Czy to ma być Francja? Czy to jest ta zachodnia Europa, o której Emilia mówi z takim nabożeństwem? Czy to ma być ta kultura, sztuka, estetyzm, o których gazety piszą z takim zapalem?”. Odłożył czasopismo, zabrał je natychmiast pan o siwych wąsach. Jasza zgasił papierosa w fusach. Wszystkie jego rozważania i rozmyślenia

prowadziły do jednego wniosku: musi dostać w swoje ręce dużą sumę pieniędzy, jeśli nie legalnie, to drogą kradzieży. Kiedy miałby popełnić to przestępstwo? Gdzie? Jak? Dziwne, że choć od miesiący zastanawiał się nad tym, nigdy nie wszedł nawet do banku ani nie zaznajomił się z procedurą bankową; nie ustalił nawet, gdzie banki przechowują pieniądze, gdy są zamknięte, ani typu sejfów i zamków. Zwlekał, wciąż zwlekał. Kiedykolwiek przechodził obok banku, przyśpieszał kroku, odwracając głowę. Co innego otwierać zamek na scenie czy przed bandą z Piasków, a co innego wkraść się do budynku pilnowanego przez uzbrojone straże. Do tego trzeba się urodzić złodziejem.

Jasza zastukał łyżką w spodek, aby przywołać kelnera, ten jednak albo nie usłyszał, albo udawał, że nie słyszy. W kawiarni było dość pełno. Nikt prawie nie siedział sam jak on. Na ogół tworzone grupki, kółka, gromadki; mężczyźni w żakietach, spodniach w paski, z szerokimi fontaziami. Jedni nosili brody spiczaste, inni łopatkowate; niektórzy mieli wąsy zwisające, drudzy podkreścone; kobiety w powłóczystych sukniach na głowach miały kapelusze o wielkich rondach przyozdobione kwiatami, owocami, szpilkami i piórami. Patrioci, których po powstaniu Rosjanie posłali na Sybir w kibitkach, umierali setkami. Ginęli z powodu szkorbutu, suchot, beri-beri, głównie jednak z nudy i tęsknoty za ojczyzną. Bywalcy kawiarni widocznie jednak pogodzili się z rosyjskim najeźdźcą. Rozmawiali, wykrzykiwali, żartowali i śmiali się wesoło. Kobiety chichocząc padały sobie w objęcia. Ulicą przejechał karawan, ale ludzie siedzący w kawiarni nie zwrócili nań uwagi, jak gdyby śmierć ich nie dotyczyła. „O czym oni gadają z takim zapalem? – zastanawiał się Jasza. – Dlaczego tak im oczy błyszczą? A ten stary z siwą kozią bródką i omszałymi workami pod oczami, dlaczego przypiął sobie różę do klapy?”. Na oko Jasza był im równy, jednak dzieliła ich jakaś bariera. Co to takiego? Nigdy nie znalazł na to jasnej odpowiedzi. Z jego ambicją i żądzą życia sąsiadował smutek, poczucie marności wszystkiego, winy, której nie można odkupić ani zapomnieć. Jaki sens ma życie, skoro człowiek nie wie, dlaczego się urodził ani dlaczego umiera. Jakie znaczenie miały piękne słowa o pozytywizmie, reformie przemysłowej i postępie, skoro śmierć niweczyła wszystko? Pomimo swojej żywotności Jasza stale znajdował się na krawędzi melancholii. Gdy

tylko tracił ochotę na nowe sztuczki i nowe miłości, wątpliwości osaczały go jak szarańcza. Czy urodził się tylko po to, by wykonać kilka salt i oszukać pewną liczbę kobiet? Z drugiej strony, czy on, Jasza, potrafi czcić Boga, którego ktoś wymyślił? Czy potrafiłby siedzieć jak ów Żyd z głową posypaną popiołem i lamentować nad świątynią zniszczoną dwa tysiące lat temu? I czy potrafi uklęknąć i przeżegnać się przed owym Jezusem z Nazaretu, który podobno zrodził się z Ducha Świętego i był nie byle kim, bo jedynym synem Boga?

Kelner stanął przy stoliku.

– Pan sobie życzy?

– Zapłacić – rzekł Jasza.

Te słowa wydały mu się dwuznaczne, jak gdyby miały znaczyć: zapłacić za oszukańcze życie.

2

W pierwszym akcie sztuki mąż zaprasza Adama Powalskiego na lato do swej posiadłości, ale ten się wymawia. Odślania przy tym tajemnicę – ma ukochaną, młodą żonę starego arystokraty. Mąż jest nieugięty. Ukochana może zaczekać. On zaś życzy sobie, aby podczas wakacji Powalski uczył jego córkę gry na fortepianie, a żonie dawał lekcje języka angielskiego (francuski właśnie wychodził z mody).

W drugim akcie Adam Powalski uwodzi zarówno matkę, jak i córkę. Aby pozbyć się męża, cała trójka protagonistów wmawia mu, że cierpi na artretyzm i powinien pojechać do Piszczan na kąpiele błotne.

W trzecim akcie mąż odkrywa oszustwo. „Nie potrzebowalem jechać do Piszczan, aby tarzać się w błocie – wykrzykuje. – Mam bagno we własnym domu!” – i wyzywa Adama Powalskiego na pojedynkę. Tymczasem jednak zjawia się stary arystokrata, zdradzony mąż ukochanej Powalskiego, i zabiera go z powrotem do swego majątku. Sztuka kończy się sceną, w której Adam Powalski słucha wykładu starego arystokraty na temat niebezpieczeństw związanych z intrygami miłosnymi.

Farsę adaptowano z francuskiego. W Warszawie niewiele grano sztuk w lecie, ale ta pod tytułem *Dylemat Powalskiego* przyciągała publiczność nawet w najgorętsze dni. Śmiech rozlegał się już przy podniesieniu kurtyny i nie ustawał aż do końca trzeciego aktu. Kobiety tłumili chichoty, chusteczkami ocierając łzy. Od czasu do czasu rozlegał się jak wystrzał i przeradzał się w ciche rzenie śmiech jakby nieludzki. To jeden rogacz śmiał się z drugiego. Klepał się po kolanie i zaczął zsuwać z krzesła. Żona cuciała go i usiłowała posadzić prosto w fotelu. Emilia uśmiechnęła się i poruszyła wachlarzem. Oświetlenie gazowe wzmagalo upał. Jasza z trudem zachowywał uprzejmy wyraz twarzy. Widział setki takich fars. Mąż zawsze głupio zarozumiał, żona niewierna, kochanek przebiegły. Jasza przestał się uśmiechać i ściągnął brwi. Kto tu z kogo kpił? Ta sama hałastrą istniała wszędzie. Ci ludzie tańczyli na ślubach i zawodzili na pogrzebach, przysięgali wierność przy ołtarzu i szargali instytucję małżeństwa, szlochali nad opuszczoną fałszywą sierotką i zarzynali się w wojnach, pogromach i rewolucjach. Trzymał dłoń Emilii, ale palił go gniew. Nie mógł ani porzucić Estery, ani nawrócić się, ani stać się nagle złodziejem z powodu Emilii. Spojrzał na nią ukradkiem. Śmiała się mniej od innych, prawdopodobnie dlatego, aby nie wydać się wulgarną, lecz i ona zdawała się bawić przemyślnymi błazeństwami Powalskiego i dwuznacznymi powiedzonkami. Któż to mógł wiedzieć? Pewnie i ją pociągał. Jasza był niski, a ten błazen wysoki i miał szerokie bary. We Włoszech Jasza będzie latami jak niemy, nie znając żadnego języka, tymczasem Emilia porozumie się po francusku i szybko nauczy włoskiego. Gdy on będzie wędrował z występami, ryzykując co dzień życiem, ona będzie miała salon, będzie zapraszać gości, szukać partii dla Haliny, może nawet znajdzie sobie włoskiego Powalskiego. Wszystkie są takie same. Każda jest jak pajak!

„Nie, nie! – protestował w duchu. – Nie dam się schwytać w pułapkę. Jutro ucieknę. Rzucę wszystko, Emilię, Wolskiego, «Alhambrę», magię, Magdę. Dość długo byłem sztukmistrzem! Zbyt często chodziłem po linie!”. Nagle przypomniał sobie nową sztuczkę, którą zamierzał pokazać: salto na linie. Widzowie będą rozpierać się w miękkich fotelach, podczas gdy on, dochodzący do czterdziestki, będzie fikał kozły na linie. A jeśli spadnie i zostanie kaleką? Posa-

dzą go na progu, aby zebrał, i nikt z jego admiratorów nie zatrzyma się, aby mu rzucić grosz do kapelusza.

Odsunął dłoń od ręki Emilii. Poszukała jej, ale Jasza odwrócił się od niej w ciemności, zdziwiony własną buntowniczością. Te myśli nie były nowe. Z tymi problemami zmagał się, zanim poznał Emilię. Pragnął kobiet, lecz nienawidził ich, jak pijak nienawidzi alkoholu. A kiedy planował nowe sztuczki, prześladował go lęk, że dawne znajdują się poza zasięgiem jego możliwości i przyczynią się do jego przedwczesnej śmierci. Obarczył się zbyt wielką odpowiedzialnością, jeszcze nim poznał Emilię. Utrzymywał Magdę, Elżbietę i Bolka. Płacił czynsz za mieszkanie w Warszawie. Miesiącami wędrował po prowincji, zatrzymując się w podłych hotelach, występując w lodowatych remizach strażackich, podróżując niebezpiecznymi drogami. A co miał z tego? Najpodlejszy parobek cieszył się większym spokojem i miał mniej zmartwień. Estera często się skarżyła, że pracuje tylko dla diabła.

W jakiś szczególny sposób farsa sprzyjała rozmyśleniom Jaszy. Jak długo będzie tak dryfował? Ile jeszcze weźmie na siebie ciężarów? Na ile jeszcze niebezpieczeństw i katastrof będzie się narażał? Czuł odrazę do aktorów, do publiczności, do Emilii, do samego siebie. Te ważne damy i ci ważni panowie nigdy go nie przyjęli do swojego towarzystwa, a i on ich ignorował. W sposób przemyślny łączyli oni religię z materializmem, stan małżeński z cudzołóstwem, miłość chrześcijańską z ziemską nienawiścią. Lecz on, Jasza, pozostał duchem osaczonym przez demony. Namiętności smagały go biczem, nigdy nie przestał odczuwać żalu, wstydu i lęku przed śmiercią. Dręczył się nocami, licząc swoje lata. Jak długo jeszcze pozostanie młody? Starość wisiała nad nim jak katastrofa. Cóż mogło być bardziej bezużyteczne od starzejącego się magika? Czasami leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć, przypominał sobie dawno zapomniane ustępy z *Pięcioksięgu*, modlitwy, mądre przysłowia babki, surowe nauki moralne ojca. Rozbrzmiewały w nim tony pieśni śpiewanej na Jom Kippur:

*Do czego może dążyć człowiek,
Gdy ogień wygasi w nim śmierć...*

Ogarnęły go myśli o skrusze. Może jednak Bóg istniał? Może

wszystkie święte słowa głośiły prawdę? Trudno wręcz uwierzyć, że świat sam się stworzył albo po prostu wyłonił się z mgły. Może naprawdę miał nadejść Dzień Sądu i gdzieś czekała waga, na której będzie się ważyć dobre i złe uczynki? Jeśli tak, to każda minuta była cenna. Jeśli tak, to zgotował dla siebie nie jedno, ale dwa piekła. Jedno na tym świecie, drugie na tamtym!

Jakie jednak mógł teraz podjąć konkretne kroki? Zapuścić brodę i pejsy? Włożyć tałas i tefilin, i modlić się trzy razy dziennie? Skąd wiadomo, że całą prawdę można znaleźć w żydowskim piśmie świętym? A może trzeba jej szukać u chrześcijan, muzułmanów czy w innej jeszcze religii? Oni też mieli święte księgi, proroków, różne legendy o cudach i objawieniach. Czuł, jak walczą w nim siły dobra i zła. Po chwili jał śnić na jawie o latających aparatach, nowych miłostkach, nowych przygodach, podróżach, skarbach, odkryciach, haremach.

Kurtyna opadła po trzecim akcie. Rozległy się ogłuszające oklaski. Mężczyźni krzyczeli: – Brawo! Brawo! – Ktoś wniósł na scenę dwa bukiety. Aktorzy klaskali, kłaniali się, uśmiechali, spoglądali na łoże zajęte przez bogaczy. „Czyżby to był cel stworzenia? – zadał sobie pytanie Jasza. – Czy to jest właśnie wola Boga? Może lepiej popełnić samobójstwo?”.

– Co się stało? – spytała Emilia. – Wydajesz się pan dzisiaj w złym nastroju.

– E, nic, nic.

3

Z teatru do domu Emilii na Królewskiej było niedaleko, jednakże Jasza wziął dorożkę. Kazał jechać powoli. W teatrze panował upał, na dworze chłodne powiewy dolatywały od Wisły i lasów. Latarnie gazowe rzucały niewyraźny blask. Niebo było rozgwieżdżone. Wystarczyło podnieść oczy ku niebu, by doznać ukojenia. Jasza niewiele znał się na astronomii, ale przeczytał sporo laickich książek na ten temat. Oglądał nawet przez teleskop pierścienie Saturna i góry na Księżycu. Gdziekolwiek należało szukać prawdy, jedno uznać trzeba za pewne: niebo jest bezkresne. Światło potrzebowało tysięcy lat,

aby przebyć odległość od gwiazd do naszych oczu. Gwiazdy stale mrugające i drżące na niebie to słońca otoczone planetami, które prawdopodobnie stanowiły światy same w sobie. Ta blada smuga, tam wysoko, to może Droga Mleczna, pasmo złożone z wielu milionów ciał niebieskich. Jasza nigdy nie przepuścił w „Kurierze Warszawskim” artykułów o astronomii czy innych dziedzinach nauki. Uczeni bezustannie dokonywali nowych odkryć. Kosmosu nie mierzyło się już w milach, lecz w latach świetlnych. Wynaleziono mechanizm, który analizował składniki chemiczne najdalszych gwiazd. Budowano coraz większe teleskopy, które odkrywały tajemnice przestrzeni kosmicznej. Przepowiadano dokładnie każde zaćmienie Księżyca i Słońca oraz pojawienie się każdej komety. „Gdybym się był bardziej przykładał do nauki niż do magii – myślał Jasza. – Teraz jest już za późno”.

Dorożka jechała ulicą wzdłuż Ogrodu Saskiego. Jasza odetchnął głęboko. W mroku park wydawał się pełen tajemniczości. W głębi płonęły małe płomyki. Wonie niesły się z zieleni. Jasza podniósł dłoń Emilii w rękawiczce i pocałował w nadgarstek. Znów poczuł dla niej miłość. Pragnął jej ciała. Twarz miała skrytą w mroku, oczy błyszczały jak dwa klejnoty, lśniły złotem, ogniem, obietnicą nocną. W drodze do teatru kupił jej różę, która pachniała teraz upajająco. Pochylił się do niej i wydało mu się, że czuje zapach wszechświata. Jeśli grudka ziemi i trochę wody może stworzyć taką woń, świat nie może być zły – zdecydował. – Muszę przestać rozmyślać o tych wszystkich głupstwach”.

– Co pan powiedział, mój drogi?

– Powiedziałem, że kocham panią i że nie mogę się doczekać chwili, kiedy będziesz moją.

Milczała przez chwilę. Jej kolano dotknęło jego kolana poprzez suknię. Coś, jakby prąd elektryczny, przeniknęło przez jedwab. Ogarnęła go przemożna żądza. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Mnie jest trudniej niż tobie. – Po raz pierwszy odkąd się poznali, użyła formy „ty”. Ledwie wyszeptała to słowo. Usłyszał je bardziej umysłem niż uszami.

Siedzieli bez ruchu, koń szedł stępą. Dorożkarz zgarbił się, jak gdyby drzemał. Oboje zdawali się wsłuchiwać w namiętność prze-

pływającą z jej kolan do jego i z powrotem. Ciała ich rozmawiały ze sobą w swym własnym języku bez słów. „Muszę cię mieć!” – mówiło jedno kolano do drugiego. Jaszę nękało złowieszcze milczenie, jak gdyby stapał po linie. Nagle Emilia pochyliła do niego głowę. Rondo słomkowego kapelusza utworzyło dach nad jego głową. Wargi jej dotknęły jego ucha.

– Chcę urodzić twoje dziecko – szepnęła.

Objął ją, wpił się w jej wargi. Usta jego piły, piły. Zdawało mu się, że przestał oddychać. Kiedyś Estera wciąż mówiła o dziecku, ale lata już minęły, odkąd wspomniała o tym po raz ostatni. Magda również wielokrotnie żądała dziecka, nie brał jej jednak na serio. Jak gdyby zapomniał o tym składniku życia. Lecz Emilia nie zapomniała. Była jeszcze dość młoda na to, aby począć i urodzić. „Może to właśnie jest przyczyną mojej rozterki – zamyślił się. – Nie mam potomka”.

– Tak, syna – odezwał się.

– Kiedy?

Znów usta ich się zwały. Chłonęli się w milczeniu, zwierzęco. Nagle koń stanął. Dorożkarz się zbudził.

– Hetta!

Zatrzymali się przed domem Emilii i Jasza pomógł jej wysiąść. Nie zadzwoniła natychmiast, stała z nim na chodniku przed bramą. Nie mówili nic.

– Już późno. – Pociągnęła za sznur dzwonka.

Jasza odgadł po krokach, że to nie stróż, lecz jego żona szła otworzyć bramę. Na dziedzińcu panował mrok. Emilia weszła, Jasza wsunął się za nią. Zrobił to zręcznie i spontanicznie. Nawet Emilia się nie zorientowała. Stróżka podreptała z powrotem do swojej komórki. W ciemności ujął Emilię za ramię. Drgnęła.

– Kto to?

– To ja.

– Boże wielki, coś ty zrobił? – Zachichotała w ciemności na myśl o jego fantastycznej zręczności i odwadze.

Stali, jak gdyby zastanawiając się nad czymś w milczeniu.

– Nie, tak nie można – szepnęła.

– Ja tylko chcę cię pocałować.

– W jaki sposób wejdiesz do mieszkania? Jadwiga otworzy drzwi.

– Sam otworzę – odparł.

Wszedł za nią na schody. Kilkakrotnie przystawali, aby się całować. Przy drzwiach uczynił ruch ręką i otworzyły się bezszelestnie. W korytarzu było ciemno. Z pokoi emanował spokój śródnocy. Wszedł do salonu ciągnąc za sobą Emilię. Zdawała się opierać. Zmagali się w milczeniu. Poprowadził ją do kanapy, a ona szła, jak gdyby przestała nad sobą panować.

– Nie chcę rozpoczynać wspólnego życia w grzechu – szepnęła.

– Nie.

Chciał ją rozebrać, z jedwabnej sukni zaczęły sypać się iskry i trzaski. Te ogniki – wiedział, że to elektryczność statyczna – zaskoczyły go. Emilia też się zdziwiła. Chwyciła go za oba nadgarstki i ścisnęła tak mocno, że go zabolalo.

– Jak wyjdiesz?

– Przez okno.

– Halina może się obudzić. – Nagle odsunęła się i powiedziała:

– Nie, musisz wyjść!

Rozdział szósty

1

Następnego dnia Jasza spał długo. Drzemał aż do pierwszej po południu. Magda, która zachowała swoje wiejskie obyczaje, nie pojmowała, jak można leżeć w łóżku do południa. Od dawna jednak przyzwyczała się do faktu, że Jasza nie był taki jak inni. Potrafił jeść więcej i pościć dłużej, potrafił czuwać w nocy i przespać cały dzień. Obudziwszy się z głębokiego snu, mówił do niej, jak gdyby wcześniej udawał, że śpi. Czoło i żyły na skroniach wskazywały, że przemyślał, jak na jawie. Któż to mógł wiedzieć? Może tak właśnie wymyślał nowe sztuczki? Magda chodziła na palcach. Podała mu kaszę owsianą z ziemniakami i grzybami. Zjadł i znów zasnął.

Magda mruczała do siebie w gwarze chłopskiej:

– Wychrap swoje grzechy, ty wieprzku, ty szelmo. Wyczerpał się do cna z tą parszywą hrabiną.

Magda знаła tylko jedno lekarstwo na wszelkie zmartwienia – pracę. Jasza bardzo niszczył ubrania i wszystko trzeba było naprawiać. Gubił guziki, szwy mu pękały, nosił koszulę jeden dzień, po czym wyrzucał ją, jak gdyby oblaży ją wszy. Wciąż musiała coś podnosić z ziemi, prać, pucować, szyć. Należało się również zająć zwierzętami: końmi w stajni, małpą, krukiem i papugą. Była dla niego wszystkim – żoną, służącą, asystentką na estradzie – a co z tego miała? Nic, skórkę od chleba. Właściwie, to on sam nic nie miał. Wszyscy go okradali, oszukiwali, okpiwali. Choć w teatrze jest sprytny, potrafi hipnotyzować i czytać myśli, czytać książki lub gazety, to jednak okazuje się głupi, gdy chodzi o sprawy praktyczne. A także rujnuje sobie zdrowie. Nie powinien włączyć się co noc. Wprawdzie był zdrów, zdarzało mu się jednak czuć się słabym jak mucha, zemdleć i leżeć jak w transie.

Magda prała, szorowała, czyściła, odkurzała. Sąsiadki wpadały pożyczyć cebulę, ząbek czosnku, kapkę mleka, kawałek słoniny do podsmażenia cebuli. Magda nikomu nie odmawiała. Była przecież zamożna w porównaniu z tymi biedakami. Poza tym cieszyła się złą opinią i musiała starać się o względy sąsiadów. Oficjalnie zameldowano ją jako służącą. Kiedy sąsiadki poróżniły się z nią o coś, przezywały ją ladacznicą i ścierwem, i sugerowały, że powinna złożyć podanie o żółtą książeczkę prostytutki. Pijani mężczyźni dokuczali jej, kiedy schodziła do sklepu lub do studni. Młodzi krzyczeli: – Żydowska dziwka!

Dzwon kościoła Świętego Jana wybił godzinę drugą. Magda weszła do alkowy, Jasza już nie spał, siedział w łóżku i wpatrywał się w jeden punkt.

– Wypałeś się?

– Tak, byłem zmęczony.

– Kiedy zaczynamy próby? Premiera jest za tydzień.

– Tak, wiem.

– Rozlepiono już wszędzie afisze. Twoje nazwisko wypisano olbrzymimi literami.

– Niech idą do wszystkich diabłów!

Jasza chciał się wykąpać. Magda natychmiast zaczęła grzać wodę. Namydliła go w drewnianej balii, opłukała i wymasowała. Jak każda kobieta pragnęła dziecka. Była gotowa urodzić Jaszy nieślubne. A Jasza nawet tego ją pozbawił. Sam chciał być dzieckiem. Magda kąpała go, hołubiła, pieściła. Krzywdził ją bardziej niż najgorszy wróg, ale po spędzeniu z nim kilku godzin, kiedy okazywał, że jej potrzebuje, kochała go jeszcze goręcej.

Spytał nagle:

– Czy masz jakąś suknię na lato?

Rozpłakała się natychmiast.

– Teraz sobie przypomniałeś?

– Dlaczego się nie domagałeś? Wiesz, że łatwo zapominać.

– Ja się nie naprzykrzam. Zostawiam to twojej nowej pani.

– Kupię ci niedługo całą garderobę. Powiedziałem ci, że jesteś zawsze w moim sercu. Cokolwiek się zdarzy, czekaj na mnie.

- Dobrze, będę czekać.
- Rozbierz się. Wykąpiemy się razem.

Magda udawała zawstydzoną taką propozycją, on jednak przytrzymał ją i rozebrał. Nie tyle wstydziła się swej nagości, co wychudzonego ciała. Zebra sterczące, pierś płaska, kolana spiczaste, ramiona chude jak patyki. Wysypka rozprzestrzeniła się z twarzy na plecy. Stała przed nim niczym zawstydzony szkielet. Wyszedł z bali i wsadził ją do niej. Zanurzył w wodzie, namydlił, bawił się z nią czule. Łechtał ją tak długo, aż się roześmiała. Potem zaniósł ją do alkowy i zaciągnął zasłony. Brał ją tyle razy i tak długo, że lęk ścisnął jej serce. Jasne, iż był czarownikiem o mocy diabelskiej.

Ostatnio jej unikał. Całymi dniami nie słyszała jego głosu. Teraz rozmawiał z nią jak dawniej. Pytał ją o zwyczaje wiejskie, a ona opisywała różne obrzędy dożynkowe. Mówiła o duszkach kryjących się w zbożu i chowających się przed sierpami żniwiarzy i cepami młócących. Opowiadała o słomianej kukle, którą chłopcy topili w rzece, o drzewie, do którego modlili się starzy chłopcy o deszcz wbrew zakazowi księży, o drewnianym kogucie trzymanym gdzieś na strychu wójta i oblewanym wodą w czas suszy jako talizman przynoszący deszcz. Słuchał jej, zadając wciąż nowe pytania.

- Czy wierzysz w Boga? – zagadał.
- Tak, wierzę.
- Więc dlaczego stworzył to wszystko? Słuchaj, w moich spodniach jest dziesięć rubli. Weź je i idź do krawcowej.
- Nie chciałabym grzebać w twoich kieszeniach.
- Bierz, bierz, póki tam jeszcze są.

Wyszła do drugiego pokoju, gdzie powiesił spodnie, i wzięła dziesięć rubli. Kiedy wróciła, znów spał. Miała ochotę pocałować go w czoło, ale nie chciała go obudzić. Stojąc w drzwiach, wpatrywała się w niego z bolesną świadomością, że jakkolwiek długo by go znała, nigdy go nie zrozumie. Zawsze był i pozostanie dla niej zagadką, duszą i ciałem. Może dlatego właśnie tak drżała i tuliła się do niego. Wreszcie poszła sprzątnąć po kąpieli. W tym samym domu, koło drugiej bramy, mieszkała krawcowa. Magda splunęła na banknot i wsunęła za dekolt. Nieoczekiwanie dzień okazał się szczęśliwy.

Przespał cały ten letni dzień. Spadł deszcz, ale niebo znów się rozjaśniło. Otworzył oczy. Alkowa tonęła w półmroku. Poczł zapach jedzenia gotowanego w kuchni. Magda smażyła kotlety z ziemniakami i kwaśną kapustą. Od rana nic nie jadł poza kaszą owsianą i obudził się zgłodniały. Ubrał się szybko i wszedł do kuchni. Pocałował Magdę i zjadł to, co było gotowe: chleb z mleczem śledzia. Z patelni wziął półsurowy kotlet. Magda skarciła go dobrodusznie, po czym skonstatowała:

– Gdyby każdy dzień mógł być taki.

W tej chwili posłyszeli skrobanie do drzwi. Klamka szczęknęła. Jasza otworzył drzwi. Na progu stała dziewczynka owinięta w wielką chustę. Widocznie go znała, bo powiedziała:

– Panie Jasza, jakaś pani czeka na dole przy bramie.

– Jaka pani?

– Nazywa się Zewtel.

– Dziękuję ci. Powiedz, że zaraz schodzę. – I dał dziecku dwa grosze. Ledwo zamknął drzwi, Magda chwyciła go za obie ręce.

– Nie! Nie pójdziesz! Kolacja stygnie.

– Nie mogę pozwolić, by tam czekała.

– Wiem, kto to jest... to ta ladacznica z Piasków!

Trzymała go z taką siłą, że musiał się wyrwać. Natychmiast twarz jej się wykrzywiła, włosy zjeżyły, oczy rzuciły zielone, kocie błyski. Odepchnął ją, omal nie wpadła do beczki z wodą. Zawsze tak było. Jak tylko chciał okazać komuś dobroć, ten usiłował go sobie podporządkować. Zamknął drzwi i słyszał, jak Magda płacze sycząc niby wąż i krzyczy coś za nim. Współczuł jej, ale nie mógł pozwolić, aby Zewtel czekała na niego na ulicy. Zszedł ze schodów, czując zapachy dochodzące z innych mieszkań. Dzieci płakały, chorzy wzdychali, dziewczęta śpiewały o miłości. Gdzieś na dachu miauczały koty. Zatrzymał się na chwilę w mroku i zastanowił nad dalszym postępowaniem.

„Dam jej coś i odeślę – postanowił. – Moje życie jest już i tak dość skomplikowane”. W tej chwili przypomniał sobie, że umówił

się z Emilią. Właśnie dziś miał zjeść u niej kolację. Pożegnał ją tymi słowami poprzedniego wieczoru, zanim wyszedł od niej oknem. Jakże mogłem zapomnieć? – dziwił się. – Boże, zapomniałem o wszystkim! Obiecałem napisać do Estery natychmiast po przybyciu do Warszawy. Musi być teraz półprzytomna ze zmartwienia. Co się ze mną dzieje? Chory jestem, czy co?”. Oparł się o poręcz, jak gdyby tu właśnie zamierzał rozliczyć się z życiem. Stracił cały dzień, śpiąc i marząc. Tak jakby przeskoczył jakiś okres czasu. Tyle miał do zrobienia i do przemyślenia, że nie mógł pozwolić sobie na dłuższe medytowanie o czymkolwiek. Powinien planować swój pierwszy występ, a tymczasem nie odbył nawet próby. Wciąż myślał o Emilii, nie powziął jednak jeszcze żadnej decyzji w tej sprawie. „Nie mogę się na nic zdecydować – powiedział do siebie – ot, w czym sęk”. To, co zdarzyło się wczoraj – zmiana nastroju Emilii w ostatniej chwili – było dla niego ciosem. Oparła się jego siłą hipnotycznej. Zanim odszedł, pocałowała go i raz jeszcze wyznała swą wielką miłość, lecz w głosie jej zabrzmiała nuta triumfu. „Może to i lepiej, że zapomniałem o zaproszeniu na kolację – pomyślał. – Dlaczego ma myśleć, że uganiam się za nią?”. Nagle zastanowił się: „A jeżeli to jest koniec?”. Może w tej chwili właśnie przestała go kochać lub stała się jego wrogiem?

Opadły go absurdalne myśli: bawił się w wewnętrzną grę przypuszczeń i domysłów jak w czasach uczniowskich, gdy zastanawiał się, czy jego ojciec jest diabłem, nauczyciel demonem, wychowawcą wilkołakiem, a wszystko inne po prostu złudzeniem. Nie opuściły go ówczesne skłonności i idiosynkrazje. Gdy nikogo nie było w pobliżu, nie schodził ze schodów, lecz skakał po nich jak ptak i wodził paznokciem palca wskazującego po tynkowanej ścianie. Bał się także ciemności, on, który założywszy się, spędził kiedyś noc na cmentarzu. Wciąż jeszcze wynurzały się z mroków jakieś kształty, przerażające twarze o rozwianych grzywach, spiczastych dziobach, dołach zamiast oczu. Zawsze czuł, że tylko bardzo wątła bariera oddziela go od tych ciemnych postaci, rojących się dokoła niego, pomagających mu i przeszkadzających, płatających różne figle. On, Jasza, musiał bezustannie z nimi walczyć, inaczej spadłby z liny, stracił mowę, zachorował lub stał się impotentem.

Zszedł na dół i spostrzegł Zewtel. Stała przed bramą, pod latarnią, otulona w chustkę. Latarnia rzucała żółty blask na jej twarz. Wyglą-

dała na to, czym była rzeczywiście: prowincjuską, która właśnie przyjechała do Warszawy. Upięła włosy w dwie kukielki po obu stronach głowy, chcąc widocznie wydać się młodsza. Emanowała od niej jakaś tymczasowość właściwa tym, którzy odcięli się od swoich korzeni i czują się obco nawet w stosunku do samych siebie.

– Więc jesteś – odezwał się Jasza.

Zewtel drgnęła.

– Myślałam, że już nie zejdziesz.

Zrobiła ruch, jakby go chciała pocałować, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Obok nich przeszła kobieta z wiadrem wody ze studni, wzdychając i mrucząc do siebie. Potrąciła Zewtel, woda prysnęła na jej zapinane na guziki buty.

– A, do diabła z nią! – Zewtel unosiła kolejno oba buciki i wycierała je rąbkiem chustki.

– Kiedy przyjechałaś?

Zastanowiła się nad tym pytaniem, jak gdyby go nie rozumiała. Wyglądało na to, że długa podróż wywołała chaos w jej myślach.

– Wyruszyłam i jestem. Coś ty myślał, że wzięłam od ciebie pieniądze na drogę za nic?

– Była taka możliwość.

– Piaski to nie miasto, to trupiarnia. Sprzedałam wszystko, co miałam. Oszukano mnie. Czego można się spodziewać po złodziejach? Dobrze, że się stamtąd żywa wydostałam.

– Gdzie mieszkasz?

– U kobiety, która zajmuje się wynajdywaniem pracy dla służących. Obiecała mi dobre miejsce, ale jak dotąd niczego nie znalazła. W tej chwili sprawy tak się mają, że więcej jest służących niż pań. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Kolacja na mnie czeka.

– Jaszele, przeszłam piekło, żeby cię znaleźć. Nikt nie znał ulicy ani numeru domu. Jak można zobaczyć numer w ciemności? O mało nie umarłam, zanim znalazłam tamtą dziewczynkę, która cię zawołała. Nie chciałam wchodzić na górę. Wiem, że w mieszkaniu jest tamta. Dwa koty w jednym worku.

– Właśnie skończyła gotować kolację. Może byś poczekała jeszcze pół godziny?

– Chodź teraz ze mną Jaszele. Gdzie ja mogę czekać? Co chwilę zjawia się jakiś pijak. Wydaje im się, że każda dziewczyna to jedna z tych. Kupimy coś do jedzenia. Wiem, wiem, jesteś ważną osobą, warszawskim sztukmistrzem, a ja prostą dziewczyną ze wsi, ale, jak to się mówi, nie jesteśmy sobie całkiem obcy. Wszyscy cię pozdrawiają: Ślepy Mechł, Bejrysz Wysoker, Chaim-Lejb.

– Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Niepotrzebne mi twoje podziękowania. Rozmawiam z tobą, a ciebie wcale tu nie ma. Czyżbyś już zapomniał? Jaszele, sprawa tak wygląda – zmieniła ton. – Poszłam do pośredniczki, a ona mówi: „Przyjechałaś w złą porę. Wszyscy szukają pracy jako służący, tymczasem wszystkie panie wyjechały na wieś”. Biorę swój koszyk i zbieram się do wyjścia, a ona woła mnie z powrotem. „Dokąd lecisz, dokąd?”. Okazuje się, że pożyczają dziewczętom pieniądze na procent. No więc, pościeliła mi na podłodze, położyłam się spać. Koło mnie chrapały trzy kucharki. Jedna tak hałasowała, że nie zamknęłam oczu przez całą noc, po prostu leżałam i płakałam. Ostatecznie za Lejbusia byłam panią siebie. Rano właśnie wychodziłam, gdy zjawiał się jakiś mężczyzna, goguś z zegarkiem na łańcuszku i ze spinkami w mankietach. „Kto ty jesteś?” – pyta. Więc mu wszystko mówię. „Sprawa jest taka, że mąż mnie opuścił. Nie wiem, dokąd wyjechał”. A on dalej pyta i mówi: „Wiem, gdzie jest twój mąż!”. „Gdzie?” – krzyczę. Nu, żeby skrócić tę historię powiem ci, że ten człowiek pochodzi z Ameryki, tylko to jest inna Ameryka. Bądź co bądź, Lejbuś tam jest. Kiedy to usłyszałam, rozplakałam się, jak gdyby to był Jom Kippur. „Co tak rozpaczasz? – on pyta. – Szkoda twoich pięknych oczu”. On mówi takie śmieszne rzeczy, że można pęknąć, i rzuca pieniędzmi, i wszystkich częstuje czekoladą i chałwą. „Jedź ze mną – powiada – zaprowadzę cię do twojego męża. Albo cię przyjmie z powrotem, albo się z tobą rozwiedzie...”. Wraca do Ameryki za parę tygodni i pożycz mi pieniędzy na bilet okrętowy. Ale coś się boję. – I Zewtel nagle zamilkła.

Jasza gwizdnął.

– To taki ptaszek, co?

– Znasz go?

– Nie potrzebuję go znać. Sama chyba wiesz, co to jest alfons. Zawlecze cię Pan Bóg wie dokąd i wpakuje do burdelu.

– Ależ on tak ładnie się wyraża.

– Zna twego męża tak, jak ja znam twoją prababkę.

Skierowali się w stronę ulicy Długiej. Zewtel ścisnęła brzeg chustki.

– Co mam robić? Muszę znaleźć pracę. Ulokował mnie u swojej siostry. Spędziłam tam dzisiejszą noc.

– U jego siostry, co? Ona jest taką siostrą jak ja twoim wujecznym dziadkiem. – Jasza był zdumiony, że tak szybko wpadł w ton i gwarę Zewtel. – Na pewno jakaś bajzelmama, z którą dzieli zyski. Sprzeda cię gdzieś w Buenos Aires czy gdzie indziej. Zgnijesz tam za życia.

– Co ty mówisz? On nawet wymienił to miasto. Gdzie ono jest? W Ameryce?

– Gdziekolwiek jest, to nie ma znaczenia. Ci ludzie przyjeżdżają tutaj, aby handlować ludzkim ciałem, kobietami... to handlarze żywym towarem. Czekają tylko na takie kretyńki jak ty. Pełno o tym w gazetach. Gdzie ta siostra mieszka?

– Na Niskiej.

– No, to idźmy tam i zobaczymy. Dlaczego miałby ofiarowywać ci pożyczkę na przejazd? Czy nie rozumiesz, co to za człowiek?

Zewtel zatrzymała się.

– Tak, i dlatego przyszedłam do ciebie. Tylko że kiedy leży się na podłodze i pluskwy zjadają cię żywcem, to się nie ma wyboru. U jego siostry jest czysto. Mam tam łóżko i pościel. I wyżywienie. Chciałam jej zapłacić, ale powiedziała: „Nie martw się, załatwimy to później”.

– Wystarczy. Rzuć to, jeśli nie chcesz skończyć jako dziwka w Buenos Aires.

– O czym ty mówisz? Ja byłam porządną dziewczyną. Gdyby tylko Lejbuś mnie doceniał, byłabym mu dobrą żoną. On jednak więcej czasu spędzał za kratkami niż w domu. Trzy tygodnie po ślubie już był w więzieniu. Później całkiem uciekł. Co miałam robić? Ostatecznie, jestem człowiekiem. Całe Piaski za mną latały. Jego najlepsi przyjaciele. Ale ja nie chciałam się marnować z nimi. Tęskniłam za

tobą, Jaszele, choć nie chcę ci się naprzykrzać; mam swoją dumę, jak to się mówi, noszę cię jednak w sercu. Tęskniłam za tobą po twoim wyjeździe. A teraz, kiedy idę z tobą, czuję się, jakbym miała skrzydła. Nawet mnie nie pocałowałeś. – Wydeła usta z wyrzutem.

– Nie mogłem tam przed domem. Wszyscy siedzą w oknach i wyglądają.

– Pocałuj mnie. Jestem wciąż tą samą Zewtel.

I rozchyliła chustkę.

3

„Tego tylko brakowało!” – pomyślał Jasza. Dziwne, ale zapomniał o Zewtel i o tym, że dał jej pieniądze na drogę do Warszawy. Zupełnie zapomniał o jej istnieniu. Sam się zdumiał, do jakiego stopnia pogmatwał swoje sprawy życiowe, a jednak odczuwał jakąś perwersyjną przyjemność z tego powodu, jak gdyby jego życie było książką, w której sytuacja staje się coraz bardziej napięta, aż w końcu nie można się doczekać odwrócenia strony. Jeszcze niedawno chciało mu się jeść, teraz zaś już nie czuł głodu. Noc była ciepła, nawet trochę wilgotna, zimny pot wystąpił mu jednak na plecach, jak gdyby po chorobie wyszedł za wcześnie. Musiał powstrzymać się od drżenia. Rozejrzał się za dorożką, ale fiakrzy nie przyjeżdżali na Freta, popchnął więc Zewtel w kierunku ulicy Franciszkańskiej. „Pozbędę się jej i pójdę do Emilii” – postanowił. Emilia nie będzie wiedziała, co myśleć. Po raz pierwszy złamał daną jej obietnicę. Obawiał się, czy nie poczuje się obrażona. Wszystko wisiało teraz na włosku. Żałował również, że zawiódł Magdę, i nagle uświadomił sobie, że zaszła w nim zmiana. Był czas, kiedy miał jednocześnie pół tuzina romansów bez żadnych kłopotów. Oszukiwał wszystkie, nie zastanawiając się nad tym, i oswobadzał się z więzów, kiedy chciał, bez najlżejszego wyrzutu sumienia. Teraz rozmyślał nad nic nie znaczącymi drobiazgi, wiecznie usiłował postępować właściwie. „Świętym się staję, czy co?” – zapytywał sam siebie. Doprawdy, nie warto dyskutować z Emilią o Zewtel i Magdzie, jednakże jakaś zadra tkwiąca w myśli, która nie dawała mu spokoju, kazała mu zostać z Zewtel.

Dla jakiegoś powodu chciał „zająć się” tym alfonssem i jego rzekomą siostrą.

Ulica Freta była ciemna i wąska. Ale Franciszkańską oświetlały latarnie gazowe i lampy w sklepach, wciąż jeszcze otwartych wbrew przepisom. Tu kupcy handlowali skórą i wyrobami tekstylnymi, modlitewnikami i piórami. Handlowano nawet w mieszkaniach na piętrze, a przez okna widać było, że mieszczą się tu też rozmaite fabryki i warsztaty. Zwijano nici, klejono papierowe torby, szyto bieliznę i parasole, robiono trykotażę. Z podwórzy dolatywał odgłos piłowania i kucia oraz stukot maszyn. Jakby to był sam środek dnia pracy. Piekarnie pracowały pełną parą, a kominy wyrzucały dym i popiół. Z szerokich, pełnych pomyj rynsztoków unosił się znajomy fetor, który przywodził na pamięć Piaski czy Lublin. Młodzi ludzie w długich chałatach, o potarganych pejsach, szli z księgami talmudycznymi pod pachą. W okolicy znajdowała się jesiwa oraz kilka szkół chasydzkich. Nieliczne przejeżdżające dorożki załadowane były paczkami, które skrywały całkowicie pasażerów. Jasza znalazł wolną dorożkę dopiero na rogu Nalewek. Zewtel zataczała się jak pijana, ogłuszona hałasem i zmożona tłokiem. Wsiadła do dorożki, zaczepiając o coś frędzlami chustki. Usiadłszy, chwyciła Jaszę za rękaw. Kiedy dorożka skręcała za róg, Zewtel zdawała się przechylać wraz z nią.

– Gdyby mi ktoś powiedział, że będę dzisiaj jechać z tobą dorożką, pomyślałabym, że to żart.

– Ja też się tego nie spodziewałem.

– Jasno tu jak w dzień. Można by groch łuskać.

Ścisnęła ramię Jaszy i przyciągnęła go do siebie, jak gdyby jasno oświetlona ulica obudziła w niej ponownie miłość.

Na Gęsiej znów ogarnęły ich ciemności. Przejechał karawan, za którym nie podążał żaden żałobnik, widać zmarłemu pisane było zejść do grobu w mroku. „Pewno to ktoś taki jak ja” – pomyślał Jasza. Nie opodal Dzikiej dziewczyny uliczne zaczepiały przechodniów. Jasza wskazał na nie.

– Ot, co on chce z ciebie zrobić.

Na Niskiej panowała prawie zupełna ciemność. Zakopcone kłose nielicznych latarni ledwie przepuszczały światło. Rynsztokami

płynęło błoto, jak gdyby to nie było lato, lecz tuż po święcie Sukot, podczas jesiennych deszczów. Tu mieściły się składy drewna i kilka zakładów kamieniarskich. Dom, w którym zamieszkała Zewtel, znajdował się niedaleko Smoczej i cmentarza żydowskiego. Weszli przez furtkę w drewnianym płocie. Schody pięły się na zewnątrz domu. Jasza i Zewtel weszli do różowej kuchni oświetlonej lampą naftową z papierowym abażurem przybranym frędzlami. Wszystko wyłożono tu papierem: kuchnię, kredens, półki na talerze. Na krześle siedziała kobieta. Miała gęste jasne włosy, żółte oczy, zakrzywiony nos i spiczastą brodę. Stopy w czerwonych domowych pantoflach oparła sobie na stołeczku. Obok drzemał kot. Kobieta trzymała w ręku szklankę, a na niej skarpetkę męską, którą cerowała. Podniosła oczy na pół zdziwiona.

– Pani Milc, to jest ten człowiek z Lublina, o którym pani mówiłam, ten sztukmistrz.

Pani Milc wbiła igłę w skarpetkę.

– Cały czas mówi o panu. Sztukmistrz zrobił to, sztukmistrz zrobił tamto. Nie wyglądasz pan na magika.

– A na kogo wyglądam?

– Na muzykanta.

– Kiedyś piłowałem skrzypce.

– Ach tak? Nu, co za różnica, co się robi, byle zdobyć, wiesz pan co? – I potarła kciukiem o dłoń. Jasza natychmiast podchwycił jej sposób mówienia.

– Nie kłamie pani. Pieniądz to złodziej.

– Patrzcie na nią, ledwo przyjechała do Warszawy, już wszędzie łązi. – Pani Milc wskazała na Zewtel. – Jak go znalazłaś? Bałam się, że nie trafi. Dlaczego wprowadziłeś się pan na Freta? – zwróciła się do Jaszy. – Tam mieszkają tylko goje.

– Goje nie zagląдают do cudzych garnków.

– Jeśli przykryjesz garnek, nawet Żyd nie będzie mógł doń zajrzeć.

– Żyd podniósłby przykrywę i powąchał.

Oczy żółtej kobiety zabłysły.

– Jak żyję i oddycham, to niezły spryciarz – mruknęła na wpół do Zewtel, na wpół do siebie. – Proszę usiąść. Zewtel, przynieś krzesło.

– Gdzie jest pani brat? – spytała Zewtel.

Kobieta uniosła żółte brwi.

– Co takiego? Chcesz podpisać z nim umowę?

– Ten pan chce z nim mówić.

– Ubiera się w pokoju od tyłu. Musi wyjść za chwilę. Dlaczego nie zdejmiesz chustki, przecież to lato, nie zima.

Zewtel po chwili wahania zdjęła chustkę.

– Będzie musiał wziąć dorożkę. Czekają na niego pewni kupcy – powiedziała pani Milc jakby do siebie.

– Czym on handluje, bydłem? – zapytał Jasza, zdumiony własnymi słowami.

– Dlaczego akurat bydłem? Tam, skąd pochodzi, roi się od bydła.

– On handluje brylantami – wtrąciła Zewtel.

– Ja też jestem ekspertem od brylantów – pochwalił się Jasza. – Popatrzcie na to. – Pokazał pierścień z wielkim brylantem, który nosił na małym palcu. Kobieta spojrzała ze zdumieniem, po czym na jej twarzy odmalował się wyrzut i gorzki uśmiech pojawił się na wargach.

– Mój brat jest bardzo zajęty. Nie ma czasu na cczą gadaninę.

– Chcę znać fakty – rzekł Jasza, zdziwiony własną bezczelnością.

Otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna. Był wysoki, potężnej budowy, miał jasne włosy w tym samym odcieniu co kobieta, nos szeroki, grube wargi, okrągłą rozszczepioną brodę, wypukłe oczy. Blizna w kształcie sierpa szpeciła mu czoło. Nie miał na sobie surduta, tylko spodnie i krochmaloną koszulę bez kołnierza, na nogach nie zapięte lakierki. Spod rozchełstanej koszuli wyzierała szeroka pierś porośnięta blond włosami. Jasza natychmiast zorientował się, co to za ptaszek. Na twarzy mężczyzny igrał uśmiech, uśmiech podsłuchiwacza, znającego całą rozmowę. Tchnął dobroduszością, przebiegłością, pewnością siebie – olbrzym, który wie, że jest niezwyciężony. Spostrzegłszy go, kobieta powiedziała:

– Herman, to jest ten sztukmistrz, przyjaciel Zewtel.

– Sztukmistrz? Aha, to on – rzekł Herman przyjaźnie, z błyskiem w oczach. – Dobry wieczór panu. – I uścisnął rękę Jaszy. Był to raczej pokaz siły niż uścisk dłoni. Jasza włączył się natychmiast w na-

strój rywalizacji i ścisnął, jak mógł najsilniej. Zewtel usiadła na brzegu metalowego łóżka, na którym spała. Wreszcie Herman rozluźnił uchwyt.

– Skąd pan jesteś? – zapytał Jasza.

Wyłupiaste oczy Hermana zaśmiały się.

– A skąd nie jestem? Z całego świata. Warszawa to Warszawa, a Łódź to Łódź! Znają mnie w Berlinie, nie jestem też obcy w Londynie.

– Gdzie pan teraz mieszkasz?

– Jak to jest napisane w Piśmie świętym: „Niebo jest moim krzesłem, ziemia podnóżkiem”.

– To i Pismo święte pan znasz.

– Ach, pan też je zna?

– Studiowałem je kiedyś.

– Gdzie? W jesziwie?

– Nie, w szkole z nauczycielem.

– Ja też kiedyś studiowałem *Talmud*, Boże dopomóż – rzekł Herman uprzejmie, tonem konfidencyjnym. – Ale to było bardzo, bardzo dawno temu. Lubię jeść, a w jesziwie można zęby posłać do składu. Przemyślałem sprawę i zdecydowałem, że to nie dla mnie. Pojechałem do Berlina studiować medycynę, tylko że plusquamperfectum ich gramatyki nie wchodziło mi do głowy. Bardziej mi się podobały niemieckie dziewczęta. Więc pojechałem do Antwerpii i zostałem szlifierzem diamentów, po czym zorientowałem się, że pieniądze tkwią nie w szlifowaniu, lecz w sprzedawaniu. Lubię grę w kości i wierzę w stare przysłowie: „Zjeść nigdy nie zaszkodzi”. Tak czy owak, znalazłem się w Argentynie. Ostatnio bardzo wielu Żydów tam jedzie. Przyjeżdżają z tobołkiem na plecach i nagle stają się biznesmenami. Nazywamy ich *quentinikami*, po niemiecku to *Hausierer*, w Nowym Jorku domokrażcy, co to za różnica, psiakrew! Ta pośredniczka, jak ona się nazywa, ma syna w Buenos Aires, a ten przesłał jej pozdrowienia. Spotkałem Zewtel w kantorze. Kim ona jest dla pana, siostrą?

– Nie, nie jest siostrą.

– Dla mnie to ona może być pańską ciotką.

– Herman, musisz iść – przerwała żółta kobieta – czekają na ciebie kupcy.

– Niech czekają. Dość się ich naczekałem. Tam, skąd pochodzę, nikt się nie spieszy. Hiszpan mówi zawsze *maniana*, jutro; jest leniwy i chce, ażeby wszystko mu przynieść do domu. Są tam stepy, nazywają je *pampas*, gdzie pasie się bydło. Kiedy *gaucho*, jak oni mówią, robi się głodny, to on jest zbyt leniwy, aby zabić młodego wołu; bierze topór i wykrawa sobie befszytk z żywego zwierzęcia. Piecze go razem ze skórą, bo mu się nawet nie chce jej ściągnąć. Twierdzi, że tak mu lepiej smakuje. Tamtejsi Żydzi nie są leniwi, więc zarabiają *peso*, tak się tam nazywają pieniądze. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że za wielu przyjechało tam mężczyzn, a za mało córek Ewy. Tymczasem bez kobiety mężczyzna jest tylko półciałem, jak powiada *Talmud*. Dziewczyny są tam na wagę złota. Nie mówię tego w złym sensie. Wychodzą za mąż i już. Jeśli małżeństwo się nie uda, to sprawa przegrana, bo rozwód nie wchodzi w rachubę. Jeśliś ożenił się z wężem, to musisz żyć z nim, tak chcą księża. Co więc robi mężczyzna? Wkłada buty i wynosi się. I tak kręci się koło fortuny. Lepiej, żeby twoja siostra, zamiast zostać służącą i prać czyjeś kalesony, pojechała ze mną i poszukała tam tego, czego chce.

– To nie moja siostra.

– No to co? W Buenos Aires nie pytamy o rodowody. Powiadamy, że genealogia nadaje się tylko na nagrobki. Kiedy się tam przyjeżdża, to tak jakby się na nowo urodziło. Jakie sztuczki pan robisz?

– Różne.

– Grasz pan w karty?

– Czasami.

– Na statku nie ma nic innego do roboty. Można by oszaleć, gdyby nie karty. Gorąco jak w piecu, a gdy się przekracza... jak to się nazywa, równik, to można się udusić. Słońce wisi dokładnie nad głową. W nocy jest jeszcze goręcej. Na pokładzie można się upiec. Co więc pozostaje? Karty. W drodze tu jakiś gość próbował mnie oszukać. Popatrzałem na niego i powiedziałem: „Bracie, co tam ci wystaje z rękawa? Piąty as?”. Omal nie skoczył na mnie, ale ja się

tak łatwo nie stracham. W moim kraju wszyscy noszą broń. Jeśli przechytrzysz, to mogą cię podziurawić jak sito. Więc i ja, tak jak wszyscy, noszę broń. Może chciałbyś popatrzeć na rewolwer argentyński?

– Czemu nie? Ja też mam rewolwer.

– Na co to panu potrzebne, do sztuczek?

– Może.

– Bądź co bądź, ów gość zobaczył, że nie ma do czynienia z dzieckiem. Próbował naznaczyć karty, ale go złapałem na tym. Zewtel mówiła, że znasz pan sztuczki karciane. Jakie?

– Nie oszustwa.

– To jakie?

– Przynieś pan talię, to pokażę.

– Herman, musisz iść – odezwała się pani Milc niecierpliwie.

– Poczekaj, nie poganiaj mnie, moje interesy nie uciekną, a jeśli uciekną, to gwizdź na to. Wiesz pan co? Chodźmy do drugiego pokoju i zjedzmy coś.

– Nie jestem głodny – skłamał Jasza.

– Nie potrzeba być głodnym. Powiadają, że apetyt przychodzi w miarę jedzenia. Tu w Polsce nie umiecie jeść jak należy. Kluski i rosół z kury, rosół z kury i kluski. A co to są kluski? Sama woda. Tylko brzuch nadyma. Hiszpan pałaszuje trzyfuntowy befsztyk, co mu tworzy szpik w kościach. Przychodzisz do domu Hiszpana, a ten leży w środku dnia i śpi jak kłoda. Gorąco tam jak w piekle i muchy wysysają ci krew niczym pijawki. W lecie życie rozpoczyna się nocą. U nas jak kto ma pieniądze tylko na jedzenie albo na dziwkę, to wybiera dziwkę. Ale jakoś nikt nie głoduje. Lubisz pan wódkę?

– Czasami.

– No to chodź, wypijemy kieliszek. Rejca, przynieś nam coś – zwrócił się Herman do żółtawej kobiety. – Hiszpan uwielbia magików. Duszę by sprzedał za dobrą sztuczkę.

Umeblowanie bawialni składało się ze stołu przykrytego ceratą, sofy i szafy. Z sufitu zwieszała się lampa naftowa, która prawie już zgasła, toteż Herman podkręcił knot. Po pokoju rozrzucone były walizki oklejone nalepkami i stosy pudeł. Na krześle wisiał surdut i le-

zał sztywny kołnierzyk, i laska ze srebrną gałką. W powietrzu unosił się zapach obcych krajów i odległych łądów. Dwie fotografie, mężczyzny o białej brodzie i kobiety w peruce, widniały na ścianie.

– Proszę usiąść – rzekł Herman. – Moja siostra zaraz przyniesie coś dobrego do jedzenia. Stać ją na lepsze mieszkanie, ale przyzwyczaiła się do tego miejsca i nie chce się wyprowadzić. W moim kraju domy nie są takie duże i wszystko dzieje się na dziedzińcu. Nazywa się *patio*. Hiszpan nie cierpi chodzić po schodach. Siedzi przed domem z rodziną i pije coś w rodzaju herbaty, *maté*. Każdy pociąga łyk przez tę samą słomkę; przechodzi z ust do ust. Zanim się człowiek przyzwyczai do smaku, to tak jakby się piło stęchlą wodę z mleczkiem lukrecji, ale do wszystkiego się można przyzwyczaić. Na przykład w Ameryce Północnej żuje się tabakę. Jedno trzeba zrozumieć, świat jest wszędzie ten sam. W Buenos Aires też nie jedzą ludzi. Popatrz na mnie, nikt mnie nie zjadł.

– Może pan kogoś zjadłeś.

– Co? A to dobre! Sprytnyś pan. Kto ma olej w głowie, ten spija całą śmietankę. Pan jest z Piasków?

– Nie, z Lublina.

– Zewtel mówiła, że pochodzisz pan z Piasków.

– Sam pan jesteś złodziejem.

Herman wybuchnął śmiechem.

– Oho, cwaniak z pana. Nie każdy z Piasków jest złodziejem, jak nie każdy z Chełma głupcem. To tylko ploty. Z drugiej strony, któż nie kradnie? Moja matka, niech spoczywa w pokoju, zwykła mawiać: „Droga uczciwa nie jest drogą łatwą”. Wszystko można robić, byle wiedzieć jak. Próbowałem już wszystkiego, jak mnie tu pan widzisz. Zewtel powiada, że potrafisz otworzyć każdy zamek.

– To prawda.

– Nie miałbym do tego cierpliwości. Po co bawić się z zamkiem, kiedy można wyważyć drzwi? Na czym wiszą drzwi? Tylko na zawiasach. Ale to już należy do przeszłości. Stałem się, jak to mówią, wzorem obywatela. Mam żonę i dzieci. Zewtel opowiedziała mi całą swoją historię. O mężu, który ją porzucił, i o wszystkim innym. Jeśli się rozwiedzie, to będzie mogła poślubić najbogatszego człowieka w Ameryce Południowej.

– Kto by jej dał rozwód, pan?

– A co to jest rozwód? Świstek papieru. Wszystko, mój drogi, jest tylko papierkiem, nawet pieniądze. Mam na myśli wielkie pieniądze, nie drobne. Ci, którzy władają piórem, piszą. Mojżesz był mężczyzną. Dlatego napisał, że mężczyzna może mieć dziesięć żon, ale jeżeli kobieta spojrzy na innego mężczyznę, należy ją ukamienować. Gdyby kobieta trzymała pióro, napisałaby coś dokładnie odwrotnego. Rozumiesz mnie pan? Na ulicy Stawki mieszka pisarz, jeden z naszych, jeśli dostanie dziesięć rubli, to napisze dobry dokument rozwodowy, podpisany przez świadka, absolutnie legalny. Nu, ja nikogo do niczego nie zmuszam. Gotów byłem pożyczyć jej na bilet okrętowy...

Jasza nagle uniósł brwi.

– Panie Herman, nie jestem głupcem. Proszę zostawić Zewtel w spokoju. To nie ten rodzaj towaru.

– Co? Możesz ją pan sobie zabrać natychmiast. Już mnie kosztowała parę rubli, ale skreślę to jako wydatek na cel dobroczynny.

– Nie potrzebujemy łaski. Ile was kosztowała? Zapłacę za wszystko.

– Proszę się uspokoić, nie irytować się. Jest herbata.

5

Wypili herbatę i zjedli ciasteczka i bułki maślane. Pani Milc i Zewtel przysiadły do stołu. Herman pił herbatę z konfiturą, jadł bułkę maślaną i od czasu do czasu pociągał grube cygaro, leżące na spodku. Poczęstował Jaszę cygarem, ale ten odmówił.

– W całej Warszawie nie dostanie pan takiego cygara – poskarżył się Herman. – Prawdziwe hawańskie. Żadne tam namiastki, tylko prawdziwy towar z Kuby. Ktoś przywiózł je stamtąd specjalnie dla mnie. W Berlinie trzeba by zapłacić dwie marki za sztukę. Lubię wszystko w pierwszorzędnym gatunku, tylko że za wszystko trzeba płacić, a jak się płaci, to już się przepłaca. Co to jest cygaro hawańskie? Liście, nie żadne złoto. A co to jest przystojna dziewczyna? Ciało i krew. Hiszpan jest zazdrosny. Uśmiechniesz się do jego żony, a on wyciąga nóż, choć dwie ulice dalej trzyma kochankę i ma z nią

dzieci. Po jakimś czasie robi się z niej megiera, więc musi poszukać sobie czegoś świeższego. Czytam tu polskie gazety i zaśmiewam się. Co za bzdury wypisują! Dziewczyna wychodzi wieczorem po dzbanek mleka, podjeżdża powóz i dziewczynę porywają. Później zawożą ją do Buenos Aires i sprzedają na targu jak ciele. Ja tu jestem od tygodni i jeszcze takiego powozu nie widziałem. Jak można przewieźć dziewczynę przez granicę? A co będzie na statku? Bzdura, głupota. Prawdą jest, że wyjeżdżają z własnej nieprzymuszonej woli. Idziesz do takiej dzielnicy i spotykasz tam kobiety ze wszystkich stron świata. Chcesz czarną, jest czarna, chcesz białą, dostajesz białą. Potrzebujesz Litwinki z Wilna lub Ajszyszek, to nie musisz jej szukać, albo jeżeli zachciało ci się towaru z Warszawy, to będziesz usatysfakcjonowany. Co do mnie, nie chodzę tam. Na co mi to? Mam żonę i dzieci. Ale gazety potrzebują czytelników. Jest tak, jak mówiłem, wszystko zależy od tego, kto trzyma pióro. Powiem panu coś: mężowie sami wysyłają żony do tej dzielnicy. Wiesz pan dlaczego? Bo są zbyt leniwi, żeby sami się wziąć do roboty. No i co z pana sztuczkami? Tu jest talia.

– Jak raz zaczniesz z kartami, to już nie wyjdiesz – powiedziała żółtawa kobieta.

– Jutro też jest dzień.

Herman zaczął tasować karty i Jasza natychmiast się zorientował, że ma do czynienia z szulerem. Karty fruwały w palcach Hermana, jak gdyby obdarzone były własnym życiem. „Więc to taki z ciebie ptaszek – pomyślał Jasza. – No, to ci zaraz pokażemy, że są sprytniejsi od ciebie”.

Jasza pozwolił mu pokazać kilka sztuk: z trzema kartami, z czterema siódmkami, z podmienioną kartą. Kiwał przy tym głową i cmokał: „ck, ck, ck...” Omal nie powiedział, że umiał te sztuczki już wtedy, kiedy był małą dziewczynką.

Przypomniał sobie, że robi się późno i że jeżeli chce się zobaczyć z Emilią, to powinien natychmiast wyjść; a jednak siedział dalej. „Skoro jest taka cnotliwa, to niech czeka!” – mówił mu inny wewnętrzny, złośliwy głos. Jasza zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że najgorszym jego wrogiem była nuda. Wszystkie głupstwa, jakie popełnił, pochodziły z chęci ucieczki przed nią. Doskwierała mu porzą-

dnie. Z jej powodu obarczył się rozmaitymi ciężarami. Teraz jednak nie czuł się znudzony. Wziął talię od Hermana. Fakt, że Herman narażał kupców na czekanie, aby spędzić z nim czas, wskazywał na to, że cierpi na tę samą chorobę co Jasza. Była to choroba, która wiązała podziemie przestępcze z przyzwoitymi ludźmi: grających w karty w spelunce złodziejskiej z graczami w Monte Carlo, alfonsa z Buenos Aires z salonowym donżuanem, rzeźmieszka z rewolucjonistą-terrorystą. Jasza tasując karty, znaczył je paznokciem.

– Weź pan kartę – powiedział do Hermana.

Herman wybrał króla trefl.

Jasza zręcznie zgiął kartę.

– Włóż pan z powrotem i potasuj.

Herman posłuchał.

– Teraz wyjmę panu króla trefl.

I wyjął palcami króla trefl.

– Pozwól pan popatrzeć na swoje paznokcie.

Jasza pokazywał jakąś nową sztuczkę, a następnie Herman swoją. Wyglądało na to, że zna wszystkie. Żółte oczy lśniły mu chytryścią eksperta, który udaje amatora. Nie miał w domu jednej talii, miał ich dziesiątki.

– Zdaje się, że masz pan kartę w rękawie – zauważył Jasza.

– Karty fascynowały mnie kiedyś. Ale to już się skończyło. Stara historia!

– Nie grasz już pan?

– Tylko czasami w sześćdziesiąt sześć z moją seniorą.

– Mimo to chciałbym coś panu pokazać.

I Jasza znów wziął talię do ręki.

– Proszę wybrać kolor.

Teraz Jasza pokazał kilka sztuczek, których Herman chyba nie znał. Spojrzał na Jaszę z pytającym uśmiechem. Zmarszczył czoło, chwycił się za nos i trzymał go chwilę w swej wielkiej dłoni porośniętej żółtymi włoskami. Pani Milc otworzyła szeroko oczy, jakby nie wierząc, że ktoś może zakasować Hermana. Zewtel mrugnęła do Jaszy, pokazując mu koniuszek języka. Posłała mu całusa.

– Słuchaj, Rejco, nie masz tam marchewki? – spytał Herman.

– Dlaczego marchewki, a nie rzodkiewki? – odparła sarkastycznie.

Dochodziła już jedenasta wieczór, ale mężczyźni nie przestawali pokazywać sobie sztuczek karcianych. Czasami potrzebowali do swych kuglarstw spodków, filiżanek, pudełek, kawałków tektury, jak również pierścionka, zegarka, doniczki. Kobiety przynosiły potrzebne sprzęty. Hermanowi zrobiło się gorąco. Zaczął ocierać pot z czoła.

– Razem moglibyśmy czegoś dokonać.

– Na przykład?

– Moglibyśmy podbić świat.

Rejca przyniosła wódkę i mężczyźni stuknęli się kieliszkami, mówiąc kosmopolitycznym zwyczajem: *prosit!*. Dla Zewtel i dla siebie Rejca naląła słodkiej wódki. Zjedli placki jajeczne, chleb razowy i ser szwajcarski. Herman zaczął mówić tonem klanowej zażyłości.

– Zobaczyłem twoją Zewtel u pośredniczki. Ładna i sprytna z niej kobieta, ale skąd mogę wiedzieć, co jest co? Powiada, że mąż zostawił ją i poszedł sobie; pomyślałem: „Niech sobie idzie w pokój. Pomogę jej jakoś”. Dopiero później opowiedziała mi o panu. Wspomniała o magiku, tyle że magik magikowi nierówny. Ci, co włączają się po podwórzach z katarynką, też nazywają siebie magikami. Ale pan, panie Jasza, jest artystą! Pierwszorzędnym! Klasa. Ja jednak jako o parę lat starszy powiadam, że niewiele pan tu zdziałasz. Przy swojej zręczności powinieneś pan być w Berlinie, Paryżu, nawet w Nowym Jorku. Londyn to też niezłe miasto. Anglik uwielbia być oszukany i jeszcze płaci za tę przyjemność. U nas w Ameryce Południowej byłbyś pan bogiem. Zewtel twierdzi, że potrafisz uspić ludzi, jak to się nazywa, magnetyzm? Co to w ogóle jest? Słyszałem, tak, słyszałem o tym.

– Hipnotyzm.

– Zna się pan na tym?

– Trochę.

– Gdzieś to widziałem. Osobnik rzeczywiście zasypia?

– Jak kłoda.

– To znaczy, że mógłbyś uspić Rotszylda i zabrać mu pieniądze?

– Jestem sztukmistrzem, nie przestępcą!

– Tak, oczywiście, mimo to... Jak to pan robisz?

– Narzucam swą wolę.

– Ale jak? Nu, pewno, świat jest wielki. Wciąż pojawia się coś nowego. Kiedyś miałem kobietę, robiła wszystko, co sobie życzyłem. Jeżeli chciałem, żeby się rozchorowała, to chorowała. Jeżeli chciałem, aby wyzdrowiała, to zdrowiała. Kiedy zapragnąłem, aby umarła, zamknęła oczy.

– O, to za wiele – odezwał się po chwili Jasza.

– To święta prawda.

– Herman, gadasz głupstwa! – rzekła Rejca.

– Przeszkadzała mi. Miłość to piękna rzecz, ale za wiele miłości to niezdrowo. Owinęła się wokół mnie jak wąż, aż w końcu zacząłem się dusić. Była starsza ode mnie o parę lat i drżała ze strachu, że ją porzucę. Kiedyś szedłem ulicą, a ona uczepiła się mnie, jak zwykle. Czułem, że się duszę, i powiedziałem: „Tak dłużej być nie może”. „Więc czego chcesz? Żeby umarła?”, zapytała. „Po prostu zostaw mnie”, odpowiedziałem. „Tego nie potrafię, ale jeśli chcesz, to padnę trupem”. Z początku bałem się, tak mnie jednak rozwścieczyła, że poczułem, iż chodzi tu o moje albo jej życie. Zacząłem myśleć, że...

– Nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej! Nie chcę słyszeć ani słowa! – Rejca zasłoniła dłońmi uszy.

Przez chwilę panowała cisza. Słyszać było, jak knot lampy wsysa naftę. Jasza spojrział na zegarek.

– Ludzie, jestem ugotowany!

– Późno jest?

– W Pińczowie dnieje. Ano, muszę lecieć. Zewtel, zostań przez kilka dni. Zapłacę za wszystko – obiecał Jasza. – Nie doznasz tu krzywdy.

– Oczywiście, załatwimy co trzeba – rzekła Rejca.

– Dokąd pan lecisze? Dokąd? – spytał Herman. – Tutaj wszystkich ogarnia panika, gdy tylko zrobi się trochę późno. Czego się boją? W Buenos Aires nie kładziemy się spać całą noc. Zimą i latem. Kiedy

idziemy do teatru, sztuka kończy się około pierwszej w nocy. Nie wracamy potem do domu, tylko idziemy do kawiarni albo restauracji i naprzód jemy befszytk, a potem zaczyna się prawdziwe picie. Świata, zanim się wróci do domu.

– Kiedy śpicie? – zapytała Zewtel.

– Komu potrzebny jest sen? Dwie godziny na dobę wystarczą zupełnie.

Jasza wstał, aby się pożegnać. Podziękował za gościnę. Rejca spojrzała na niego pytająco, z rozmysłem. Wydawało się nawet, że dawała mu jakiś znak. Na chwilę położyła palec na ustach.

– Proszę o nas nie zapominać – odezwała się – nie zjadamy tu ludzi.

– Kiedy pan przyjdiesz? – spytał Herman. – Muszę z panem o czymś porozmawiać. Powinniśmy zawrzeć coś jakby umowę.

– Wpadnę jeszcze.

– Proszę nie zapomnieć.

Rejca wzięła lampę, aby poświecić Jaszy na schodach. Zewtel szła obok. Wzięła go pod ramię. Jaszę ogarnęła dziecinna radość. Lubił rozmawiać po żydowsku, pokazywać sztuczki, zdjąwszy marynarkę. Atmosfera tutejsza przypominała Piaski, tyle że była bardziej podniecająca. Jasne, że Herman to handlarz żywym towarem, a Rejca jest jego współpracowniczką. Trudno to było zrozumieć, ale w ciągu tych kilku godzin od poznania go Herman zachowywał się jak człowiek oddany Jaszy. Zdaje się, że Rejca również spoglądała na niego łaskawie. Któż mógł wiedzieć, jakie rozkosze miłosne mogła taka kobieta dać mężczyźnie, jakie dziwaczne słowa szeptałaby w namiętym uniesieniu? Przez chwilę lampa naftowa oświetliła podwórze ze stosami kłód i drewna. Po czym drzwi na górze zamknęły się i znów zapanowały ciemności. Zewtel przytuliła się do Jaszy.

– Czy mogłabym dokądś pójść z tobą?

– Dokąd? Nie dzisiaj.

– Jaszele, kocham cię.

– Czekał i ufaj mi. Rób wszystko, cokolwiek ci powiem.

– Chcę iść z tobą.

– Będiesz ze mną. Zabiorę cię, kiedy wyjadę za granicę. Wy-

wdzięczę się każdemu, kto był dla mnie dobry. Ale bądź gotowa na wszystko i nie zadawaj pytań. Jeśli ci powiem, żebyś stanęła na głowie, to stań na głowie. Rozumiesz?

– Tak.

– Będiesz robiła, co każę?

– Tak, wszystko.

– Idź z powrotem na górę.

– Dokąd idziesz?

– Muszę dzisiaj załatwić jeszcze jeden drobiazg.

6

Ulica Niska opustoszała. Nie było mowy o dorożce. Ruszył na przód dziwnie lekkim krokiem. Na ulicy panował mrok. Nad drewnianymi domami o krzywych dachach wisiało przedmiejskie niebo gęsto usiane gwiazdami. Jasza spojrzał w górę. „Co tam wysoko myślą o takim człowieku jak ja?” Przeszedł całą Niską i wyszedł na Dziką. Powiedział Zewtel, że ma do załatwienia jeszcze jeden drobiazg. Ale jaki? Przespał cały dzień i teraz czuł się wypoczęty i pełen sił, jakby to był ranek. Ogarnęło go dziwne pragnienie zobaczenia Emilii. Toż to czyste szaleństwo. Na pewno śpi o tej porze. Poza tym brama jest zamknięta. Jednakże fakt, że poprzedniej nocy wyszedł od niej przez okno, uświadomił mu znowu, iż drzwi i bramy są dla niego bez znaczenia. W jej mieszkaniu jest balkon. Mógł wspiąć się nań w ciągu minuty. Emilia skarżyła się, że źle sypia. Usłyszałaby go. Ponadto nakazałaby jej swoją wolę, aby go oczekiwała i otworzyła drzwi balkonowe (o ile już nie są otwarte). Przeczuwał, że dziś nie stawiałaby mu oporu. Jak gdyby włożył jakimś cudem siedmiomilowe buty, bo w tej chwili znajdował się na Dzikiej, a za kilka minut szedł już ulicą Rymarską. Zerknął na bank. Kolumny zdawały się strzec budynku niczym olbrzymi strażnicy. Brama zamknięta, wszystkie okna ciemne. Niedaleko znajdował się podziemny skarbiec, w którym trzymano pieniądze. Ale gdzie? Budynek był ogromny jak miasto. Taka robota wymagałaby długiej nocy zimowej. Wtem Jasza przypomniał sobie, co służąca Emilii, Jadwiga, mówiła mu o pewnym starym ziemianinie,

niejakim Kazimierzu Zaruskim, który wiele lat temu sprzedał swój majątek i trzymał pieniądze w żelaznej kasie w swoim mieszkaniu na Marszałkowskiej, w pobliżu Próżnej. Mieszkał sam z głuchą służącą, przyjaciółką Jadwigą. Kiedy Jadwiga wspomniała mu o tym, Jasza nie zapisał nawet adresu tego człowieka. Takie myśli nie przychodziły mu do głowy, zwłaszcza w stosunku do rodziny, którą odwiedzała Jadwiga. Teraz przypomniało mu się to wszystko. „Muszę coś zrobić – powiedział do siebie – dzisiaj czuję w sobie moc”. Z Niskiej na Królewską było dość daleko, ale Jasza przebył tych kilka wiorst w dwadzieścia minut. Warszawa spała, tylko gdzieś nocny stróż sprawdzał zamek lub stukał kijem po chodniku, jak gdyby chciał się upewnić, że nikt nie kopie tunelu pod ziemią.

„Wciąż pilnują, ale niczego nie da się upilnować – pomyślał Jasza. – Ani ich kobiet, ani majątku. Któż to mógł wiedzieć? Możliwe, że czasami nawet Estera nie jest mi wierna?”. Myśli jego błąkały się. A gdyby wkradł się do sypialni Emilii i zastał ją z kochankiem? Takie rzeczy się zdarzają. Stał teraz pod jej oknem i patrzył w górę. Pomysł wdrapania się na balkon, który jeszcze kilka minut temu uważał nie tylko za wykonalny, lecz także za najzupełniej słuszny, teraz gdy tak stał, wydawał się czystym absurdem. Zawsze istniała możliwość, że Emilia się obudzi i biorąc go za włamywacza, podniesie alarm. Mogłaby go usłyszeć Jadwiga albo nawet Halina. Z pewnością Emilia nigdy by mu nie przebaczyła. Czasy rycerzy dawno minęły. Panował prozaiczny wiek dziewiętnasty. Jasza rozkazał w myśli Emilii, aby się obudziła i podeszła do okna, widocznie jednak nie opanował jeszcze tego aspektu hipnotyzmu. Nawet gdyby miał się okazać skuteczny, zajęłoby to wiele czasu.

Ruszył Marszałkowską w kierunku Próżnej. „Skoro rzecz jest nieunikniona – powiedział do siebie – to czemu nie dzisiaj? Najwidoczniej sprawa została z góry przesądzona. Jak to się nazywa? Predestynacja? Jeżeli, jak twierdzą filozofowie, wszystko ma swoją przyczynę i człowiek to tylko maszyna, to jest tak, jak gdyby wszystko zostało z góry zapisane”. Doszedł do Próżnej. Jeden tylko dom był tu zamieszkały; po drugiej stronie ulicy stawiano nowy budynek, leżały tam stosy cegieł, góry piasku i wapna. Dom zamieszkały składał się ze sklepu włókienniczego i dwóch mieszkań nad nim, obu z balkonami. Oczywiście mieszkanie ziemianina musiało znajdować się od frontu,

ale które z tych dwóch? Jasza poczuł nagle z całą pewnością, że to z prawej. Okna z lewej strony zasłonięte były częściowo storami, częściowo firankami; te z prawej miały podniszczone story, pasujące do mieszkania skąpca. „No, teraz albo nigdy – nalegał jakiś wewnętrzny głos. – Do roboty, skoro już tu jesteś. Ostatecznie, nie może zabrać swoich pieniędzy do grobu. Noc nie będzie trwała wiecznie” – ostrzegał głos tonem niemal kaznodziejskim.

Wejście na balkon nie sprawiło mu trudności. Żelazna sztaba wystawała poza drzwi sklepu włókienniczego, a balkon opierał się na głowach trzech posągów. Cały dom pokrywały rozmaite figury i dekoracje. Jasza postawił stopę na sztabie, uchwycił się kolana jednej z bogiń i niebawem zawisł na krawędzi balkonu. Podciągnął się do góry, nie czując ciężaru ciała. Przez chwilę stał na balkonie, śmiejąc się. Niemożliwe okazało się tak łatwo możliwe. Trudniejsze było otwarcie drzwi balkonowych; zamknięto je od wewnątrz. Szarpnął gwałtownie i wytrychem, który zawsze nosił przy sobie, zdjął łańcuch. Wiedział, że mniej niebezpieczny jest krótki łoskot od przeciągającego się hałasu. Przez chwilę stał cicho, nasłuchując, czy nikt nie krzyknie. Po czym wszedł do środka i wciągnął w nozdrza stęchłe powietrze – jasne, że w tym domu rzadko otwierano okna.

Tak, to musi być tutaj, uradował się. Czuje się pleśń i zgniliznę. Wewnątrz nie było zupełnie ciemno dzięki światłu latarni ulicznej. Nie odczuwał strachu. A jednak serce mu biło jak młotem. Przez chwilę stał nieruchomo, zdziwiony, że myśl tak szybko przedzierzgnęła się w czyn. Niesamowite, ale kasa, którą opisała mu Jadwiga, znajdowała się tuż koło niego. Długa i czarna niczym trumna. Moce rządzące losem człowieka zaprowadziły go prosto do skarbu Zaruskiego.

7

„Musi mi się udać – powtarzał sobie. – Skoro już zacząłem, to muszę doprowadzić rzecz do końca”. Nastawił uszu i słuchał. Gdzieś w przyległych pokojach spał Kazimierz Zaruski i jego głucha służąca. Nic nie słyszał. „Co robić, gdyby się obudzili?” – zapytał sam siebie, ale nie potrafił odpowiedzieć. Położył rękę na kasie i poczuł

chłód metalu. Szybko znalazł dziurkę od klucza. Obmacał ją palcem, by zapoznać się z zarysem i typem zamka. Po czym sięgnął do kieszeni po wytrych, który miał przed chwilą w ręce, ale tam go nie było. Widocznie włożył wytrych do innej kieszeni. Jął szukać po kieszeniach, wytrych jednak znikł. „Gdzie ja go podziałem? Zaczyna się pech!” Znow poszukał. „Czyżbym go upuścił na ziemię? Jeżeli tak, to upadł bezszelestnie. Klucz musi być gdzieś blisko, ale się schował”. Znow szukał po kieszeniach, i jeszcze, i jeszcze. „Najważniejsze nie dać się ponieść panice – ostrzegł sam siebie. – Po prostu wyobraź sobie, że masz występ”. Teraz szukał spokojnie, z rozmysłem, daremnie – wytrych znikł. „Demony?” – szepnął pół żartem, pół serio. Zrobiło mu się gorąco. Już miał się spocić, lecz udało mu się powstrzymać wydzielanie potu, odczuł jednak przegrzanie ciała. „Ano, muszę znaleźć coś innego”. Ukląkł i rozwiązał sznurowadło. Miało metalowe końcówki i kiedyś Jasza otworzył zamek taką właśnie końcówką. Jednak nie, nie dość twarda, by otworzyć żelazną kasę” – zdecydował w trakcie rozwiązywania sznurowadła. Prawdopodobnie w kuchni znalazłby korkociąg albo pogrzebacz, ale szukanie po omacku drogi do kuchni równałoby się samobójstwu. „Nie, muszę znaleźć wytrych!” Pochylił się i teraz dopiero uświadomił sobie, że na podłodze leży dywan. Przesunął dłoń po nim. Czyżby igrały z nim jakieś duchy? A czy istniało coś takiego jak duchy? Nagle błysnęła mu myśl: klucz od kasy z pewnością stary trzyma pod poduszką, gdy śpi. Jasza wiedział, jakim ryzykiem groziło wyciągnięcie klucza spod poduszki starego ziemianina. Mógłby się obudzić. A skąd Jasza miał pewność, że klucz rzeczywiście tam się znajduje? W mieszkaniu jest wiele innych miejsc nadających się na skrytki. Teraz jednak był pewny, że klucz leży pod poduszką Zaruskiego. Widział go nawet: płaską główkę, a pod nią ząbki. „Czy ja śnię? Czy rozum tracę?” – zastanawiał się. Lecz niewidzialne siły, które od lat nim rządziły, rozkazały mu udać się do sypialni. „Tak będzie łatwiej – podpowiadały – oto drzwi”.

Jasza uniósł się na palcach. „Żeby tylko drzwi nie skrzypiały”, błagał. Były na pół uchylone. Przeszedł przez nie i znalazł się w sypialni, bardziej mrocznej niż tamten pokój, nie potrafił bowiem umiejscowić okna, mógł tylko zgadywać. Po chwili jednak oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności. Z gęstych mroków wyłonił się zarys łóżka, pościeli, głowa na poduszce – łysa głowa z oczodołami zamiast

oczu, jak u szkieletu. Jasza zamarł. Czy stary oddycha? Nie słyszał jego oddechu. Czy nie śpi? Czy teraz właśnie wyzionął ducha? A może udawał zmarłego? Może leżał tak, gotów zerwać się i rzucić na niego? Niektórzy starzy ludzie bywają niezmiernie silni. Wtedy właśnie starzec nagle zachrapał. Jasza podszedł bliżej do łóżka. Posłyszał brzęk metalu i domyślił się co to takiego: wytrych. Prawdopodobnie zaczepił się o guzik i teraz spadł na podłogę. Czy obudziło to starego?

Jasza stał przez chwilę gotów do ucieczki przy byle hałasie. „Nie mógłbym go zabić! Nie jestem mordercą”. Ale stary znów zapadł w głęboki sen. Jasza pochylił się, by podnieść wytrych, nie może przecież pozostawić za sobą śladów; wytrych znów jednak znikł. Ten kawałek drutu bawił się z nim w chowanego. „Ano, widać to jedna z pechowych nocy. Złe moce wybrały sobie mnie”. Jakiś wewnętrzny głos prosił go, aby uciekał, skoro opuściło go szczęście, mimo to zbliżył się do łóżka. „Spróbuj zabrać mu jego klucz” – powiedział do siebie z uporem.

Przesunął ręką po poduszce i niechcący dotknął twarzy starego. Cofnął rękę jak oparzony. Skąpiec westchnął, jak gdyby tylko udawał, że śpi. Jasza zawahał się. Czekał na atak, gotów chwycić Zaruskiego za gardło i udusić. Ale nie, stary spał, z jego nozdrzy wydobywał się wysoki, piskliwy dźwięk. Widocznie coś mu się śniło. Teraz Jasza widział trochę lepiej. Wsunął rękę pod poduszkę, przekonany, że dotknie klucza. Klucza jednak nie było. Podniósł trochę głowę starego wraz z poduszką, na której spoczywała, lecz klucza nie znalazł. Tym razem instynkt go zawiódł. Pozostawało tylko jedno wyjście. „Uciekaj!” – radził mu jakiś głos. Nic się nie udawało! Znów zaczął szukać wytrycha na podłodze, chociaż wiedział, że naraża się na niebezpieczeństwo. „Postawiłem ostatniego złotego rubla i wyrzuciłem asa”, pomyślał, przypominając sobie stare żydowskie przysłowie. Przyszło mu to powiedzenie na myśl tak jak cytaty z Pisma świętego i wspomnienia z lekcji w chederze, które nawiedzały go w środku nocy. Nagle oblał się potem od stóp do głów. Jak gdyby ktoś chlusnął na niego wiadro wody. Było mu gorąco i wilgotno, jak w łaźni parowej. Nadal jednak szukał wytrycha. „Może powinieneś po prostu udusić tego starego łajdaka” – podpowiedziało coś, co było częściowo wewnątrz niego, częściowo zaś na zewnątrz, jakaś jego część, która nie miała ostatniego słowa, ale zwykła mu dawać złe rady i płać okru-

ne figle właśnie wtedy, gdy potrzebował pełni swoich władz umysłowych.

No, sprawa przegrana. „Teraz już pójdę”, mruknął. Podniósł się i wycofał przez uchylone drzwi. Jak tu jasno w porównaniu z sypialnią! Widział każdy przedmiot. Nawet obrazy na ścianach – ramy, nie płótno. Wyrosła przed nim komoda, dojrzał na niej nożyczki. „Tego mi właśnie potrzeba!” Wziął nożyczki i podszedł do kasy. Światło z ulicy padało teraz na dziurkę od klucza. Zaczął grzebać w niej nożyczkami, spokojny znów, wsłuchany w wewnętrzny mechanizm zamku. Co to za rodzaj zamka? Nie angielski. Czubek nożyczek był za szeroki, nie mógł więc wsunąć go dość głęboko. Jasne, że zamek nie jest skomplikowany, ale ma w sobie coś, z czym Jasza nie mógł sobie dać rady. Jak dziecinna zagadka, która jeśli nie zostanie rozwiązana od razu, godzinami potrafi zwodzić. Potrzebował narzędzia, które sięgnęłoby do samego wnętrza zamka.

Nagle błysnęła mu nowa myśl. Wyjął z kieszeni notatnik, wydarł kilka kartek i skręcił je w sztywny stożek. Takie narzędzie nie nadało się do otwarcia zamka, ale mogło wejść bardzo głęboko w jego trzewia. Stożek nie miał jednak zwartości i sprężystości metalu. Jasza przekonał się, że nic mu to nie mogło dać. „Ano, będę musiał wrócić kiedy indziej. Nie mogę czekać aż do świtu!” Zerknął na drzwi wiodące na balkon. Klęska! Fiasko! Po raz pierwszy w życiu! To straszna noc. Ogarnęła go trwoga. Wiedział, był głęboko przekonany, że nieszczęścia nie ograniczą się do tej jednej nocy. Ten wróg, który czał się w nim od lat, którego Jasza odpędzał siłą i przebiegłością, zaklęciami i zaklinaniami, jakich każdy musi nauczyć się sam, teraz wziął górę. Jasza czuł jego obecność – jakiś dybuk, szatan, nieubłagany przeciwnik, który przeszkadzał mu podczas żonglowania, spychał z liny, czynił bezsilnym. Drżąc, otworzył drzwi balkonowe. Dreszcz przebiegł po jego spoconym ciele. Jak gdyby nastąpiła nagle zima.

8

Właśnie miał zejść, gdy posłyszał głosy na dole. Ktoś mówił po rosyjsku. Bez wątplenia przechodził patrol. Szybko cofnął głowę. Może

ktoś go widział, gdy się wdrapywał? Może patrol czeka na niego? Stał w ciemności i nasłuchiwał. Jeśli wiedzą o mnie, to wpadłem”. Ale nie, nikt nie mógł go zobaczyć. Rozejrzył się dookoła, zanim zaczął się wspinać. Patrol przechodził przypadkiem. Wciąż jednak nie mógł sobie wybaczyć żalosego niepowodzenia. „Może powinienem jeszcze poszukać wytrycha?” – pomyślał. Wrócił do sypialni jak gracz, który stracił wszystko i nie boi się już ryzyka. Zatrzymał się przerażony w otwartych drzwiach. Stary leżał w łóżku z twarzą zalaną krwią. Krew była na poduszce, na kołdrze, na koszuli starego. „Boże wielki, co się stało? Czyżby go ktoś zabił? Czyżbym miał takiego pecha, że usiłowałem obrabować dom, w którym popełniono morderstwo? – pomyślał Jasza. – Przecież niedawno słyszałem, jak stary oddycha! Czy kryje się tu gdzieś morderca?”. Jasza stał obezwładniony lękiem. Nagle się roześmiał. To wcale nie była krew, tylko blask wschodzącego słońca. Okno wychodziło na wschód.

Znów zaczął szukać klucza, ale na podłodze panowała wciąż noc. Ciemność spowijała wszystko. Jasza macał bezradnie dokoła. Ogarnęło go znużenie; poczuł słabość w kolanach, głowa go bolała. Choć nie spał, umysł jego począł snuć sny – fantazyjne, umykające wątki, które rozsnuwały się, gdy tylko po nie sięgał. No, teraz już przepadło. Stary może się lada sekunda obudzić. Powróciło podejrzenie, że skąpiec chytrze udaje sen. Właśnie Jasza miał wstać, gdy palce napotykały wytrych. Przynajmniej żaden ślad po nim nie zostanie. Cicho wycofał się do frontowego pokoju, do którego również już zajrzało światło dnia. Ściany stały się papierowszare. W powietrzu unosiły się popielate pyłki. Zbliżył się do kasy na chwiejnych nogach, włożył wytrych do dziurki od klucza i zaczął nim poruszać. Jednakże nie miał już w sobie ani woli, ani siły, ani ambicji. Umysł miał ociążał od senności. Nie potrafił już otworzyć tego przestarzałego zamka. Mechanizm był prosty, zmontowany prawdopodobnie przez zwykłego ślusarza. „Gdybym miał wosk, mógłbym przynajmniej zrobić odcisk tego urządzenia”. Stał tak, wyjąłowiony z namiętności, niepewny, co go bardziej zaskoczyło – jego poprzednia chciwość czy obecna obojętność. Jeszcze chwilę grzebał w zamku. Posłyszał parsknięcie i uświadomił sobie, że pochodzi z jego własnego nosa. Wytrych zaczepił się o coś, nie mógł go obrócić ani w jedną, ani w drugą

stronę. Z rezygnacją pomyślał, że będzie go musiał zostawić tu, gdy jednym ruchem udało mu się go uwolnić.

Wyszedł na balkon. Patrol znikł. Ulica ziała pustką. Chociaż paliły się jeszcze latarnie, ciemność zalegająca nad dachami domów nie była już ciemnością nocy, lecz raczej pomroką zachmurzonego nieba lub cieniem świtu. Powietrze tchnęło chłodem i wilgocią. Ptaki zaczynały świergotać. „Teraz jest odpowiednia chwila” – powiedział do siebie z niejaką stanowczością i z poczuciem, że te słowa miały znaczenie podwójne. Zaczął schodzić, lecz zabrakło mu zwykłej pewności w stopach. Chciał je oprzeć na ramionach posągu, nie dosięgły ich jednak. Przez chwilę zwisał z krawędzi balkonu, czując, że ogarnia go senność, kiedy tak wisi w powietrzu. Nagle zahaczył stopę o wgłębienie w murze. „Tylko nie skacz”, ostrzegł sam siebie, ale w momencie, kiedy przyszło mu to na myśl, zeskoczył i natychmiast zorientował się, że wylądował zbyt gwałtownie na lewej nodze. „Tego mi tylko brakowało na tydzień przed premierą!” Stał na chodniku, badając stopę, i wtedy dopiero poczuł ból. Jednocześnie posłyszał krzyk. Głos był starczy, charczący i zaniepokojony. Czyżby właściciel domu? Spojrzał w górę, ale krzyki dochodziły z ulicy. Dostrzegł stróża nocnego o białej brodzie biegnącego ku niemu i wymachującego grubą pałką. Rozległ się gwizd. Widocznie stróż spostrzegł Jaszę, gdy schodził z balkonu. Jasza zapomniał o kontuzjowanej nodze; pobiegł szybko i bez trudu. Policja mogła zjawić się lada chwila. Nie wiedział, w jakim kierunku ucieka. Sądząc z szybkości, z jaką biegł, w nogę nic mu się nie stało, jednakże nagle poczuł szarpnięcie w niej i przenikliwy ból poniżej kostki, wokół palców. Pewnie zerwał ścięgno albo złamał kość.

„Gdzie teraz jestem?” Biegł ulicą Próżną i dotarł na plac Grzybowski. Nie słyszał już ani krzyków, ani gwizdka, musiał się jednak gdzieś schronić, policja bowiem mogła zbliżyć się z innej strony. Pośpieszył w kierunku Gnojnej. Tu rynsztoki spływały błotem i gnojem. Poza tym panowały ciemności, jak gdyby słońce jeszcze nie wzeszło w tej okolicy. Światło latarni raziło go i Jasza potknął się o dyszel wozu. Ta część miasta była plątaniną placów przeładunkowych, targowych i piekarni. Wszędzie unosił się zapach dymu, oleju, tłuszczów. Omal nie przejechał go wóz z mięsem. Konie minęły Jaszę tak blisko, że poczuł zaduch z ich pysków. Woźnica go sklął.

Jakiś stróż machnął na niego miotłą w słusznym oburzeniu. Jasza wszedł na chodnik i spostrzegł dziedziniec synagogi. Brama stała otworem. Jakiś starszy Żyd wszedł do środka, trzymając pod pachą torbę z tałesem. Jasza wbiegł na dziedziniec. „Tu nie będą szukać!”

Przeszedł obok synagogi, która wyglądała na zamkniętą (nie widać było żadnych świateł przez sklepienie okna), i dotarł do domu nauki. Na dziedzińcu stały skrzynki pełne kartek wydartych ze świętych ksiąg. Wszystko przenikał zapach moczu. Jasza otworzył drzwi do budynku, który wyglądał na szkołę i przytułek jednocześnie. Chwiejny płomień jedynego znicza przy pulpicie kantora oświetlał szeregi mężczyzn leżących na ławkach: jedni bosy, drudzy mieli stare zdarte buty, inni okryci łachmanami, jeszcze inni półnaczy. Zalatywało łojem, kurzem i woskiem. „Nie, tutaj nie będą szukać” – powtórzył do siebie. Skierował się do pustej ławki i usiadł. Siedział w osłupieniu, opierając wygodnie kontuzjowaną stopę. Do butów i spodni przylgnęły mu bryzgi gnoju. Byłby je strzepnął, ale oznaczałoby to zbezczeszczenie świętego miejsca. Przez chwilę przysłuchiwał się chrapaniu żebraków, wciąż nie wierząc w to, co się stało. Skierował wzrok ku drzwiom, nasłuchując kroków policji zbliżającej się, by go zaarrestować. Wydawało mu się, że słyszy stukot kopyt zbliżającego się konnego policjanta, choć wiedział, że to tylko jego wyobraźnia.

Wreszcie rozległ się zachrypnięty głos:

– Wstawać, wstawać! Wstawać, leniwe cielska!

To nadszedł szames. Postacie zaczęły się podnosić, siadać, przeciągać, ziewać. Szames potarł zapałkę, która na chwilę oświetliła jego rudą brodę. Podeszedł do stołu i zapalił lampę naftową.

I wtedy właśnie Jasza uświadomił sobie, jaki rodzaj zamka miała kasa pancerna Zaruskiego i jak można było ją otworzyć.

9

Jeden po drugim wraki ludzkie wychodziły, szurając nogami. Powoli zbierali się wierni. W świetle wczesnego ranka światło lampy naftowej zdawało się blade. Wewnątrz nie było ani jasno, ani ciemno; panowało coś w rodzaju mroku przed świtem. Niektórzy wierni

rozpoczęli już recytowanie wstępnych modlitw, inni po prostu chodzili tam i z powrotem. Mgliste postacie przypominały Jaszy twierdzenie, że w nocy modlą się w synagodze zmarli. Te cienie poruszały się chwiejnym krokiem. Zawodziły jakąś nieziemską pieśń. „Kim są? Dlaczego wstają tak wcześnie? – zastanawiał się Jasza. – Kiedy śpią?”. Siedział, jak człowiek, który otrzymał cios w głowę, wie jednak, że zmysły mu otępiały. Nie spał, lecz coś w nim spało głębokim snem północy. Odpoczął, po czym obejrzał lewą stopę. Przeszywał ją ból, przenikliwy jak cios nożem, odczuwał też ból szarpiący, który zaczynał się przy wielkim palcu i przenikał poza kostkę aż do kolana. Jasza przypominał sobie Magdę. Co jej powie, gdy wróci do domu? W ciągu lat wspólnego życia często zdarzało mu się być dla niej okrutnym, teraz jednak czuł, że cierpienie jej będzie większe niż kiedykolwiek. Był pewien, że jeśli stopa jest uszkodzona, to nie będzie mógł wystąpić na premierze, ale starał się o tym nie myśleć. Spoglądał w przestrzeń, gdzieś w stronę gzymsu Arki Przymierza, rozpoznając tablicę z dziesięciorgiem przykazań. Przypominał sobie, że zaledwie ubiegłego wieczoru (a może to wciąż ten sam dzień?) powiedział Hermanowi, że jest sztukmistrzem, nie złodziejem. I wkrótce potem poszedł dokonać włamania. Poczł się ospały i zakłopotany, niezdolny zrozumieć własne postępowanie. Mężczyźni włożyli tałesy i tefilin, przymocowali rzemyki i nakryli głowy, on zaś przyglądał im się ze zdziwieniem, jak gdyby był gojem, który nigdy tego przedtem nie widział. Pierwszy minjan już się zeszedł na modły. Młodzi ludzie z pejsami, w jarmułkach, owiązani pasami zasiedli przy stołach, aby studiować *Talmud*. Kiwali głowami, gestykulowali, stroili miny. Przez długą chwilę zebrani wierni milczeli. Recytowali bezgłośnie Osiemnaście Błogosławieństw. Wkrótce kantor zaintonował je wysokim głosem. Każde słowo wydawało się Jaszy dziwnie obce, ale i dziwnie znajome. „Błogosławiony bądź, o Boże nasz i Boże naszych przodków, Boże Abrahama, Boże Jakuba i Boże Izaaka... Który obdarzasz dobrą łaską i przyjmujesz wszystko... Podtrzymujesz żyjących łaską, wskrzeszasz zmarłych w miłosierdziu wielkim, podpierasz upadających, uzdrawiasz chorych, uwalniasz uwięzionych i dochowujesz wiary tym, którzy śpią w pyle”.

Jasza tłumaczył słowa hebrajskie i rozważał każde z nich. „Czy tak jest naprawdę? – pytał sam siebie. – Czy Bóg jest istotnie tak dob-

ry?”. Zbyt był słaby, aby sam sobie odpowiedzieć. Przez chwilę nie słyszał kantora. Trochę drzemał, chociaż oczy miał otwarte. Niebawem zbudził się, słysząc, że kantor mówi: – „I do Jeruzalem, miasta Twego, wróć w swym miłosierdziu i bądź w nim, jako rzekłeś...”.

„No, mówią to już od dwóch tysięcy lat – pomyślał Jasza – a tymczasem Jeruzalem wciąż jest pustkowieciem. Z pewnością będą to powtarzać przez następne dwa tysiące lat, nie, dziesięć tysięcy”.

Zbliżył się rudobrody szames.

– Jeśli chce pan się modlić, przyniosę panu tałas i tefilin. To będzie kosztować kopiejkę.

Jasza chciał odmówić, natychmiast jednak sięgnął do kieszeni i wyjął monetę. Szames zamierzał wydać resztę, ale Jasza powiedział:

– Proszę sobie zatrzymać.

– Dziękuję.

Jasza poczuł ochotę do ucieczki. Nie nosił tefilin od Bóg wie ilu lat. Nigdy nie włożył tałasu. Zanim jednak spróbował wstać, szames był już z powrotem, niosąc tałas i tefilin. Podał mu również modlitechnik.

– Czy powinno się odmówić Kadisz?

– Kadisz? Nie.

Nie miał siły wstać. Jak gdyby pozbawiono go wszelkiej mocy. Ponadto bał się. Może policja czeka na niego na zewnątrz? Woreczek z tałosem leżał obok niego na ławce. Powoli, z rozmysłem, Jasza wyjął tałas. Palcami namacał zawinięte węń tefilin. Wydawało mu się, że wszyscy na niego patrzą i czekają, co zrobi. W oszołomieniu, w którym był pogrążony, wydawało mu się, że wszystko zależy od tego, co teraz zrobi z tałosem i tefilin. Jeśli nie użyje ich właściwie, będzie to dowód, że kryje się przed policją... Zaczął wkładać tałas. Szukał miejsca, gdzie powinna znajdować się atara, haft i pasek oznaczający część wkładaną na głowę, nie mógł znaleźć jednak ani haftu, ani paska. Zaplątał się we frędzlach tałasu. Jedna z nich uderzyła go nawet w oko. Ogarnął go młodzieńczy wstyd i lęk. Śmieli się z niego. Całe zgromadzenie chichotało za jego plecami. Włożył tałas, jak umiał najlepiej, lecz zsunął mu się z ramion. Wyjął tefilin, ale nie potrafił zdecydować, które przeznaczone było na głowę, a które na ramię. I które należało włożyć najpierw? Poszukał instrukcji w mod-

litewniku, druk jednak zamazywał mu się przed oczami, tańczyły przed nimi skrzące się ogniki. „Obym tylko nie zemdlał” – ostrzegł sam siebie. Zrobiło mu się niedobrze. Zaczął prosić Boga: „Ojcze na niebie, zmiłuj się nade mną! Wszystko, co chcesz, byle nie to!”. Otrząsnął się z uczucia omdlenia. Wyjął chustkę do nosa i splunął w nią. Iskry nadal latały mu przed oczami, wznosiły się i opadały ruchem wahadłowym. Jedne były czerwone, inne zielone, jeszcze inne niebieskie. W uszach mu brzęczało, jak gdyby rozdzwoniły się dzwony. Jakiś stary człowiek podszedł do niego i powiedział:

– Pomogę panu. Proszę zdjąć rękaw. Z lewego ramienia, nie z prawego...

„Która ręka jest lewa?” – zapytał siebie Jasza. Zaczął ściągać rękaw z lewego ramienia i taśes znów się ześliznął. Wokoło niego zebrała się grupka ludzi. „Gdyby to Emilia widziała!” – pomyślał nagle. Nie był teraz sztukmistrzem Jasza, lecz niezaradnym prostakiem, któremu pomagają inni, czyniąc z niego obiekt swojej pogardy. „Ano, przyszła na mnie kara boska!” – powiedział do siebie pełen niepokoj.

Ogarnęła go skrucha i pokora. Teraz dopiero uświadomił sobie, czego usiłował dokonać i że Niebiosy mu przeszkodziły. Doznał jakby objawienia. Pozwolił ludziom robić z nim, co im się podobało, jak ktoś, kto doznał złamania i pozwala innym się bandażować. Stary człowiek okręcił ramię Jaszy rzemykiem. Wyrecytował błogosławieństwo i Jasza powtórzył je za nim jak mały chłopczyk. Kazał Jaszy schylić głowę i zawiązał właściwie tefilin. Okręcił rzemykami palce Jaszy tak, by tworzyły hebrajski znak *szadaj*.

– Dawno chyba się pan nie modlił – zauważył jakiś młody człowiek.

– Bardzo dawno.

– No, nigdy nie jest za późno.

I ta sama grupa Żydów, która przed chwilą przyglądała mu się z ciekawością, szacunkiem i życzliwością. Jasza wyraźnie czuł miłość płynącą ku niemu od nich. „To Żydzi, moi bracia – powiedział do siebie. – Wiedzą, że jestem grzesznikiem, a jednak mi przebaczą”. Znów poczuł wstyd, nie dlatego, że okazał niezdarność, ale dlatego,

że zdradził to braterstwo, zbrukał, gotów był je odrzucić. „Co się ze mną dzieje? Ostatecznie jestem potomkiem pokoleń pobożnych Żydów. Mój pradziadek był prześladowany za wiarę”. Przypomniał sobie swojego ojca, który na łożu śmierci wezwał go do siebie i powiedział: „Obiecuj, że pozostaniesz Żydem”. I ujął rękę Jaszy i trzymał ją aż do chwili śmierci. Jakże mogłem o tym zapomnieć? Jak mogłem?”.

Kółko Żydów rozproszyło się i Jasza stał sam, w tałasie i tefilin, trzymając w ręce modlitewnik. W lewej stopie czuł silny, rwący ból, ale nadał się modlił, tłumacząc sobie hebrajskie słowa: „Błogosławiony niech będzie, który rzekł i stał się świat, błogosławiony niech będzie, który uczynił początek. Błogosławiony niech będzie, który mówi i czyni. Błogosławiony niech będzie, który wyrokuje i wykonuje. Błogosławiony niech będzie, który jest miłosierny na ziemi i nagradza dobrze tych, którzy go się boją”.

Dziwne, ale wierzył teraz w te słowa: Bóg stworzył świat. Współczuje tym, których stworzył. Nagradza tych, którzy się go boją.

Recytując te słowa, Jasza zastanawiał się nad swym losem. Latami unikał synagogi. Nagle w ciągu kilku dni dwukrotnie zablądził do domu modlitwy; pierwszy raz na drodze, gdy zaskoczyła go burza, a teraz po raz drugi. Latami otwierał z łatwością najbardziej skomplikowane zamki, teraz zaś zwykły zamek, z którym byle kasiarz uporałby się w ciągu minuty, zapędził go w kozi róg. Setki razy skakał z dużych wysokości bez szwanku, a tym razem doznał kontuzji, skacząc z niskiego balkonu. Oczywiście, że ci w niebie nie zamierzali pozwolić, aby wszedł na drogę przestępstw, opuścił Esterę, przeszedł na chrześcijaństwo. Może to jego zmarli rodzice wstawili się za nim. Jasza znów podniósł oczy na gzyms świętej Arki. Złamał lub zamierzał złamać każde z dziesięciorga przykazań! Jak niewiele brakowało, by udusił starego Zaruskiego! Pożądał nawet Haliny, motał już sieć, w którą miała wpaść. Sięgnął dna nieprawości. Jak do tego doszło? I kiedy? Miał z natury dobre serce. W zimie sypał ptakom okruchy. Rzadko przeszedł obok żebraka, nie dając mu jałmużny. Nienawidził z całej duszy oszustów, bankrutów, szarlatanów. Zawsze szczyił się swoją uczciwością i etyką.

Stał tak na ugiętych kolanach, przerażony rozmiarem swego upodlenia oraz – co było może jeszcze gorsze – brakiem intuicji. Szarpał się, dręczył i nie dostrzegał samej istoty problemu. Wpychał innych

w błoto, a nie widział – udawał, że nie widzi – jak sam pograża się w nie coraz głębiej. Tylko słaba nić powstrzymywała go od upadku w bezdenną przepaść. Lecz moce, miłosierne wobec człowieka, sprzyścięły się, aby stał teraz w tałesie i filakteriach, z modlitewnikiem w rękę, pośród uczciwych Żydów. Zaintonował teraz: „Słuchaj, Izraelu” i zakrył oczy dłonią. Wyrecytował Osiemnaście Błogosławieństw, rozważając każde słowo. Wróciła dawno zapomniana dziecięca pobożność, wiara, której niepotrzebne są dowody, lęk przed Bogiem, wyrzuty z powodu popełnionych niegodziwości. Czego się nauczył ze świeckich ksiąg? Że świat sam się stworzył. Że słońce, księżyc, ziemia, zwierzęta i człowiek wyłonili się z mgły. A skąd się wzięła mgła? I w jaki sposób mogła stworzyć człowieka z płucami, sercem, żołądkiem, mózgiem? Uczeni drwili z wiernych, którzy przypisują wszystko Bogu, ale sami przypisują wszelką mądrość i moc niewidzącej przyrodzie, nieświadomej swego własnego istnienia. Jasza czuł, że z tefilin płynie blask, przenika mu do mózgu, gdzie otwiera skrytki, rozświetla mroczne zakamarki, rozplątuje supły. Wszystkie modlitwy mówiły to samo: jest Bóg który widzi, który słyszy, który lituje się nad człowiekiem, który powstrzymuje swój gniew, który wybacza grzechy, który chce, aby ludzie okazywali skruchę, który karze złe uczynki, a dobre nagradza, na tym świecie i, co więcej, na tamtym.

Tak, istniały inne światy, Jasza zawsze to przeczuwał. Niemal je widział.

„Muszę być Żydem! – powiedział do siebie. – Żydem, jak wszyscy inni!”.

Rozdział siódmy

1

Kiedy Jasza wyszedł znowu na dwór, ulica Gnojna zalana była słońcem, pełna załadowanych fur i koni, zamiejskich kupców i faktorów, handlarzy i handlarek głośno zachwalających rozmaite towary. „Wędzone śledzie!” – wołali. „Świeże bajgele!”, „Gotowane jajka na gorąco!”, „Groszek z fasolką cukrową!”, „Placki ziemniaczane!”. Z bram wyjeżdżały wozy wiozące drewno, mąkę, skrzynki, beczki, towary przykryte płachtami, matami i workami. Sklepy sprzedawały olej, ocet, szare mydło, smar do osi. Jasza stanął u bramy synagogi i patrzył przed siebie. Ci sami Żydzi, którzy przed chwilą tak się żarliwie modlili i śpiewali „Niech będzie na wieki błogosławione wielkie imię, amen”, rozproszyli się po swoich sklepach, fabrykach i warsztatach. Jedni są pracodawcami, inni pracownikami, niektórzy majstrami, inni znów wyrobnikami. Jaszy wydało się, że ulica i synagoga zaprzeczały sobie wzajemnie. Jeśli jedna jest prawdziwa, to druga na pewno fałszywa. Rozumiał, że podpowiada mu głos zła, lecz pobożność, która go ogarnęła, gdy stał w tałesie i filakteriach w domu modlitwy, słabła i powoli się ulatniała. Postanowił dziś pościć jak w Jom Kippur, jednak trzeba było zaspokoić głód, który go dręczył. Bolała go noga. W skroniach huczało. Znów wzięły górę jego dawne pretensje do religii. „Po co to całe podniecenie? – pytał jakiś wewnętrzny głos. – Jaki jest dowód na istnienie Boga, który wysłuchuje twoich modlitw? Na świecie istnieje mnóstwo religii, przy czym jedna zaprzecza drugiej. To prawda, że nie potrafiłeś otworzyć kasy Zaruskiego i w dodatku uszkodziłeś sobie stopę, ale czego to dowodzi? Że jesteś zdenerwowany, wyczerpany, lekkomyślny...”. Jasza przypomniał sobie, że podczas modłów powziął różne postanowienia i złożył bardzo surowe śluby, jednakże w ciągu tych kilku minut, kiedy tak stał, wszystkie się zdematerializowały. Czy napraw-

dę potrafiłby żyć jak jego ojciec? Czy mógłby porzucić swoje sztuki magiczne, romantyczne przygody, gazety, książki i modne ubrania? Śluby, które złożył w bóżnicy, brzmiały teraz przesadnie, jak słowa szeptane kobiecie w ogniu namiętności. Podniósł oczy ku blademu niebu. Jeśli chcesz, bym ci służył, o Boże, objaw się, uczyn cud, niech usłyszę Twój głos, daj mi jakiś znak” – powiedział półszepem. W tym momencie spostrzegł zbliżającego się kalekę – niskiego mężczyznę z przechyloną na bok głową, która zdawała się odrywać od szyi. Jego wykrzywione ręce również wyglądały tak, jakby bliskie były wyłamania się z przegubów, gdy zbierał jałmużnę, a nogi – jak gdyby jedynym ich celem było coraz bardziej się wykrzywiać. Broda miała ten sam pokręcony wygląd, zdawała się oddzielać od twarzy. Każdy palec zginał się w inną stronę, niby próbując zerwać niewidzialny owoc z niewidzialnego drzewa. Poruszał się w jakichś niesamowitych podrygach, stawiając jedną stopę przed sobą, a drugą wlokąc za sobą. Skręcony język zwisał mu z krzywych ust, wysuwając się między krzywymi zębami. Jasza wyjął srebrną monetę i próbował włożyć ją do ręki żebraka, ale przeszkadzały mu dziwne kontorsje tego człowieka. „Jeszcze jeden sztukmistrz!” – pomyślał, i poczuł wstręt i pragnienie ucieczki. Chciał jak najszybciej rzucić tamtemu monetę, kaleka jednak miał widocznie inny plan – usiłował, podsuwając się bliżej, dotknąć Jaszy jak trędowaty zdecydowany zarazić kogoś swą chorobą. Iskry zapaliły się znów przed oczami Jaszy, jak gdyby znajdowały się tam stale i czekały tylko sposobności, aby się ujawnić. Rzucił monetę do stóp żebraka. Chciał uciec, lecz nogi zaczęły mu drżeć i dygotać, zdając się naśladować ruchy kaleki.

Zauważył jadłodajnię i wszedł do środka. Podłoga była posypana trocinami. Mimo wczesnej godziny stołownicy już jedli: rosół z kury z kluskami, naleśniki, faszerowaną gęsią szyjkę, cynaderki, duszoną marchewkę. Zapach jedzenia przyprawił Jaszę o mdłości. „Nie powinienś jeść tych potraw z samego rana”, przestrzegł sam siebie. Odwrócił się, jak gdyby chciał wyjść, ale drogę zagrodziła mu tęga kobieta.

– Nie uciekaj, młody człowieku, nikt cię tu nie ugryzie; u nas mięso jest świeże i ściśle koszerne.

„Jaki może być związek między Bogiem i zabijaniem?” – dziwił

się Jasza. Kobieta wysunęła krzesło, usiadł więc przy długim stole, przy którym siedzieli inni stołownicy.

– Kieliszek wódki i placek jajeczny – zaproponowała. – Albo siekana wątróbka z białym chlebem? Rosół z kury z kaszą gryczaną?

– Proszę przynieść cokolwiek.

– Ach tak? Na pewno pana nie otruję.

Przyniosła butelkę wódki, szklanek i koszyk z plackami jajecznymi. Jasza wziął butelkę, ale ręka mu drżała i rozlał trochę wódki na obrus. Kilku jego towarzyszy przy stole zaczęło krzyczeć, ni to ostrzegawczo, ni to żartobliwie. Byli to Żydzi z prowincji ubrani w połatane chałaty i porozpinaną bielizną spłowiałą od słońca. Jeden miał gęste czarne bokobrody sięgające do oczu, inny brodę czerwoną jak dzwonki koguta. Nieco dalej siedział Żyd w cycesie i jarmułce. Przypominał Jaszy nauczyciela, który pierwszy objaśniał mu *Pięć ksiąg*. „Może to właśnie on? – pomyślał. – Nie, na pewno już nie żyje. Może jego syn?”. Niedawno czuł się szczęśliwy w towarzystwie pobożnych Żydów, ale teraz, siedząc między nimi, był zażenowany. „Czy odmawia się nad wódką błogosławieństwo?” – zastanowił się. Poruszył wargami. Pociągnął łyk ze szklanki, poczuł ostrą gorycz; zamroczyło go. Gardło paliło. Wziął placek, nie potrafił jednak ułamać ani kawałka. „Co się ze mną dzieje? Jestem chory? Co to jest?” Czuł w sobie wrogość i wstyd. Kiedy właścicielka przyniosła mu wątróbkę i biały chleb, wiedział, że powinien odprawić ablucje, lecz nie było tu żadnych urządzeń do mycia. Odgryzł kawałek chleba, a wtedy mężczyzna w cycesie zapytał:

– A co z ablucjami?

– Już to zrobił – odpowiedział sarkastycznie człowiek z czarną brodą.

Jasza siedział w milczeniu zaskoczony tym, że jego poprzednie ciepłe uczucia przekształciły się w zirytowanie, dumę i pragnienie samotności. Odwrócił się od tamtych, którzy wkrótce zaczęli rozmawiać o własnych sprawach. Dyskutowali o wszystkim jednocześnie: o handlu, chasydyzmie, cudach. „Tyle cudów, a mimo to tyle biedy, chorób, epidemii” – rozważał Jasza. Jadł rosół z kury z kaszą, odganiając muchy. Stopa nadal go bolała. Dokuczała mu opuchlizna.

„Co mam teraz robić? – spytał sam siebie. – Pójść do doktora? Jak

może doktor pomóc? Znają tylko jeden sposób: położyć gips. Jodyną sam mogę posmarować. Ale jeżeli nie nastąpi poprawa? Trudno, żebyś wykonywał salta na linie z taką nogą”. Im bardziej się Jasza zastanawiał nad sytuacją, tym wydawała się poważniejsza. Był prawie bez grosza, a jak miał zarabiać z taką kontuzją! Co powiedzieć Emilii? Pewnie jest półprzytomna z niepokoju z powodu jego wczorajszej nieobecności. A jak się wytłumaczyć Magdzie po powrocie do domu? Co jej powiedzieć o tym, gdzie spędził noc? Co wart jest mężczyzna, którego egzystencja, a nawet miłość zależy całkowicie od jego stopy? Nadeszła pora, by się zabić.

Zapłacił rachunek i wyszedł. Znów zobaczył kalekę. Nadal mიაł się i skręcał, jak gdyby chciał przebić głową niewidzialny mur. „Czy on się nigdy nie zmęczy? – pomyślał Jasza. – Jak może litościwy Bóg pozwolić, aby ludzka istota cierpiała takie męki?”. Zapragnął zobaczyć się z Emilią. Tęsknił za jej towarzystwem, potrzebował rozmowy z nią. Ale nie mógł iść do niej w takim stanie, brudny i nieogolony, z mankietami spodni uwalanymi gnojem. Zawołał dorożkę i kazał się wieźć na Freta. Oparł głowę o ścianę pojazdu i usiłował się zdrzemnąć. „Wyobrażam sobie, że nie żyję i jadę na swój własny pogrzeb” – myślał. Przez zamknięte powieki widział światło dzienne, tu różowe, ówdzie chłodne i cieniste. Słuchał odgłosów niosących się z ulicy i wdychał ostre zapachy. Musiał trzymać się oburącz, aby nie spaść. „Nie, muszę się zmienić. To nie jest życie! – powiedział do siebie. – Nie mam już ani chwili spokoju. Muszę porzucić sztukmistrzostwo i kobiety. Jeden Bóg, jedna żona, jak wszyscy...”.

Od czasu do czasu otwierał trochę oczy, aby zobaczyć, gdzie jest. Przejeżdżali placem, na którym stał bank; budynek wczoraj wydawał się tak nieruchomy i groźny, a teraz roił się od żołnierzy i cywilów. Wjechał wóz z pieniędzmi eskortowanymi przez uzbrojonych strażników siedzących na zewnątrz. Kiedy Jasza znów spojrział przez przykryte powieki, ujrzał nową synagogę na Tłomackiem, gdzie reformowani Żydzi modlili się, a rabini wygłaszali kazania po polsku zamiast po żydowsku.

„Oni też są pobożni – rozmyślał Jasza – ale nie pozwoliliby biedakom odprawiać tu modłów”. Za następnym spojrzeniem dostrzegł stary polski arsenał przerobiony przez Rosjan na więzienie. Za jego kratami siedzieli odpowiednicy Jaszy. Wsiadł na Freta i wszedł na

schody prowadzące do mieszkania. Po raz pierwszy poczuł cały rozmiar kontuzji. Musiał opierać się ze wszystkich sił na zdrowej nodze i wlec drugą. Za każdym uniesieniem stopy czuł ostry ból gdzieś w okolicy pięty. Zastukał do drzwi, ale Magda nie otworzyła. Zapukał głośniejsze. Aż tak się gniewała? Może się zabiła? Uderzył pięścią i odczekał. Nie miał ze sobą klucza, przysunął więc ucho do drzwi; posłyszał skrzeczenie papugi. Nagle przypomniał sobie wytrych, pewnie tkwił nadal w kieszeni. Czuł wstręt do tego przedmiotu, który go tak upokorzył. Wyjął go mimo to i otworzył drzwi. Wewnątrz nie było nikogo. Nie mógł się zorientować, czy ktoś spał w noc w posłanych teraz łózkach. Jasza wszedł do pokoju, w którym trzymał zwierzęta. Jego pojawienie się podnieciło je. Zdawało się, że każde chce mu coś powiedzieć w swoim własnym języku. We wszystkich klatkach stało jedzenie i woda, nie były więc ani głodne, ani spragnione. Przez otwarte okna wpadało słońce i świeże powietrze. Jasza! Jasza! Jasza?”, zaskrzeczała papuga, po czym kłapnęła zakrzywionym dziobem i popatrzyła pytająco z jakąś kłótniową próżnością. Jaszy wydało się, że ptak usiłuje powiedzieć: „Robisz krzywdę sobie, nie mnie. Ja zawsze zarobię na tych kilka ziaren”. Małpka skakała tam i z powrotem, mały pyszczek z płaskim nosem i zmarszczkami wokół brązowych oczu wyrażał smutek i niepokój człowieka z bajki, który padł ofiarą czarów i zamienił się w zwierzę. Jaszy wydało się, że małpa pyta: „Czy nie nauczyłeś się jeszcze, że wszystko jest marnościami?”. Kruk usiłował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobyło się tylko jakby ludzkie krakanie i coś w rodzaju naśladowania dźwięków. Jasza wyobraził sobie, że ptak go karci, drwi z niego, moralizuje.

Przypomniał sobie klacze. Przebywały w stajni w podwórzu. Stróż Antoni zajmował się nimi. Jasza zapragnął jednak zobaczyć je – Karą i Siwą – Pył i Proch. One także doznały krzywdy od niego. W taki dzień powinny paść się na zielonej łące, a nie stać w gorącej stajni.

Wrócił do sypialni i położył się w ubraniu na łóżku. Zamierzał zdjąć buty i zrobić sobie kompres na stopę, ale był zbyt zmęczony. Zamknął oczy i leżał jak w transie.

Dopiero gdy się obudził, uświadomił sobie, jak głęboko spał. Otworzył oczy i nie wiedział, kim jest, gdzie się znajduje ani co mu się przytrafiło. Ktoś stukał do drzwi frontowych, a chociaż Jasza słyszał hałas, nie przyszło mu na myśl, żeby otworzyć. Stopa bolała go bardzo, nie mógł jednak przypomnieć sobie, z jakiego powodu. Wszystko w nim było jakby sparaliżowane, ale wiedział, że pamięć wróci mu niebawem, leżał więc, zdziwiony swą sztywnością. Znowu usłyszał pukanie i tym razem pojął, że musi otworzyć drzwi. Przypominał sobie, co się zdarzyło. Czy to Magda? Przecież ma klucz. Przez chwilę leżał odrętwiały. Wreszcie zebrał siły, wstał i podszedł do drzwi. Ledwie mógł poruszać lewą stopą. Widocznie utworzył się wrzód, gdyż but go uwierał, a stopa była rozpalona. Otworzył drzwi. Za progiem stał Wolski w jasnym garniturze, białych butach i słomkowym kapeluszu. Cerę miał ziemistą, pomarszczoną, jak gdyby nie spał tej nocy. Czarne, semickie oczy patrzyły na Jaszę niby drwiąco, jakby wiedząc, co Jasza wyprawiał ubiegłej nocy. Ten natychmiast stracił cierpliwość.

– O co chodzi? Dlaczego się pan śmiejesz?

– Wcale się nie śmieję. Otrzymałem telegram z Jekaterinosławia.

I wyjął telegram z kieszeni. Jasza zauważył, że palce Wolskiego są poplamione tytoniem. Wziął telegram i przeczytał. Była to oferta z teatru w Jekaterinosławiu na dwanaście wstępów z zapewnieniem godziwego honorarium. Dyrektor żądał natychmiastowego potwierdzenia. Jasza i Wolski weszli do drugiego pokoju. Jasza starał się nie powłóczyć nogą.

– Gdzie jest Magda?

– Poszła po sprawunki.

– Dlaczego jesteś pan ubrany?

– Chciałbyś pan, żebym chodził nago?

– Nie nosi się surduta i krawata tak wcześnie. Kto podarł panu spodnie?

Zdawało się, że Jasza stracił mowę.

– Gdzie się rozdarły?

– O tu. Poza tym jesteś pan brudny. Biłeś się pan, czy co?

Jasza dopiero teraz uświadomił sobie, że spodnie ma rozdarte na kolanach i poplamione wapnem. Zawahał się przez chwilę.

– Napadli mnie chuligani.

– Kiedy? Gdzie?

– Wczoraj w nocy, na Gęsiej.

– Coś pan robił na Gęsiej?

– Poszedłem kogoś odwiedzić.

– Co to za chuligani? Dlaczego podarli panu spodnie?

– Próbowali mnie obrabować.

– Kiedy to było?

– O pierwszej w nocy.

– Obiecałeś mi pan, że będziesz chodził wcześniej spać. Tymczasem włóczysz się pan do późna w nocy i wdajesz w bójki uliczne. Proszę zrobić kilka kroków.

Jasza się najeżył.

– Nie jesteś pan moim ojcem ni opiekunem.

– Nie. Ale masz pan nazwisko i reputację, które trzeba chronić. Jestem ci oddany jak ojciec. Kiedy tylko otworzyłeś pan drzwi, widziałem, że kulejesz. Proszę odwinąć nogawkę albo jeszcze lepiej proszę zdjąć spodnie. Niczego pan nie zdziałasz, próbując mnie oszukać.

– No tak, broniłem się.

– Pewnie byłeś pijany.

– Oczywiście i jeszcze zabiłem kilka osób.

– Ha! Na tydzień przed premierą. Nareszcie zdobyłeś pan sławę. Jeśli wystąpisz w Jekaterinosławiu, cała Rosja stanie przed tobą otworem. Tymczasem pan się włóczy, Bóg wie gdzie, po nocach. Proszę wyżej podwinąć spodnie. I kalesony.

Jasza usłuchał. Pod lewym kolaniem widniał czarno-niebieski siniac, skóra zdarta była też na dużej przestrzeni. Kalesony splamiła krew. Wolski przyglądał się z milczącym wyrzutem.

– Co oni panu zrobili?

– Kopali mnie.

– Spodnie są poplamione wapnem. A co to jest, tu niżej? Gnój koński?

Jasza milczał.

– Dlaczego nie opatrzyłeś pan tego? Trzeba było przynajmniej przyłożyć zimną wodę.

Jasza nie odpowiedział.

– Gdzie się podziała Magda? Nigdy nie wychodzi o tej porze.

– Panie Wolski, nie jesteś pan prokuratorem, a ja nie zeznaję jeszcze jako świadek. Proszę mnie nie wypytywać!

– Nie jestem pańskim ojcem ani prokuratorem, ale jestem odpowiedzialny za pana. Nie chciałbym pana obrazić, lecz to we mnie się pokłada zaufanie, nie w panu. Kiedy przyszedł pan do mnie, był pan zwykłym magikiem, który występował na jarmarkach za kilka groszy. To ja wyciągnąłem cię, bratku, z rynsztoka. Teraz kiedy jesteśmy bliscy sukcesu, idziesz i upijasz się czy diabli wiedzą co. Już w zeszłym tygodniu powinieneś pan był zacząć próby, tymczasem nie pokazałeś się nawet w teatrze. W całej Warszawie rozplakatowano afisze reklamujące pana jako sztukmistrza nad sztukmistrzami, a pan gruchocze sobie nogę i nawet nie wzywa lekarza. Od wczoraj się pan nie rozbierał. Prawdopodobnie skakał pan przez okno. – Wolski zmienił ton.

Dreszcz przebiegł Jaszy po plecach.

– Dlaczego przez okno?

– Z pewnością uciekając od jakiejś mężatki. Prawdopodobnie mąż zjawił się niespodziewanie. Znamy się na tym. Jestem starym wygą. Proszę się rozebrać i położyć do łóżka. Oszukuje pan tylko siebie. Wezwę lekarza. Wszystkie gazety piszą o pańskim salcie na linie. Całe miasto o tym mówi. A tu nagle coś takiego! Jeżeli nie uda się panu teraz, to wszystko przepadło.

– Wyzdrowieję do premiery.

– Może tak, może nie. Proszę się rozebrać. Skoro to był skok, to chciałbym obejrzeć całą nogę.

– Która godzina?

– Dziesięć po jedenastej.

Jasza chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie posłyszał odgłos

klucza przekręcanego w zamku. To była Magda. Weszła, i Jasza otworzył szeroko oczy. Miała na sobie niedzielną suknię, zeszłoroczny słomkowy kapelusz z kwiatami i wisienkami, i wysokie zapinane buciki. Wyglądała jak wieśniaczka, która wybrała się do miasta na służbę. Przez noc wychudła, szerniała, postarzała się. Twarz miała pokrytą krostami i rankami. Widząc Wolskiego, zdziwiła się i zaczęła cofać do drzwi. Wolski zdjął kapelusz. Włosy przylegały mu do czaszki jak pomarszczona peruka. Skinął głową. Czarne oczy biegały od Jaszy do Magdy z ojcowską troską. Dolna warga opadła mu w zdumieniu.

3

– Panno Magdo – podjął po chwili Wolski tonem człowieka głoszącego prawdy moralne bez wielkiej ochoty. – Umówiliśmy się, że będziesz pani dbać o niego. To dziecko. Artyści są jak małe dzieci, czasami nawet znacznie gorsi. Proszę popatrzeć, co zrobił!

– Proszę, panie Wolski, dosyć! – przerwał Jasza.

Magda nie odpowiedziała, spojrzała tylko w milczeniu na bosą stopę Jaszy i na ranę.

– Dokąd poszłaś tak wcześnie rano? – spytał Jasza. I od razu uświadomił sobie, że tymi słowami zdradził się, że nie spędził nocy w domu. Magda drgnęła. Jej zielone oczy załśniły wrogością jak u rozgniewanego kota.

– Zdam ci ze wszystkiego sprawę później.

– Co się z wami dzieje? – spytał Wolski niczym starszy krewny. Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – No, muszę przyprowadzić doktora. Przyłóż pan zimny kompres. Może macie jodynę w domu? Jeżeli nie, to przyniosę z apteki.

– Panie Wolski, ja nie chcę lekarza! – rzekł Jasza szorstko.

– Dlaczego nie? Za sześć dni premiera. Ludzie kupili już bilety. Pół teatru wyprzedano.

– Będę zdrowy do premiery.

– Ta noga sama nie zagoi się tak szybko. Dlaczego pan tak się boisz doktora?

– Muszę dokądś pójść dzisiaj. Później wybiorę się do doktora.

– Dokąd chcesz pan iść? Nie możesz spacerować z taką nogą.

– Musi pognać do jednej ze swoich dziwek! – zasyczała Magda. Usta jej drżały, oczy spoglądały gdzie indziej. Po raz pierwszy Magda, milcząca, skromna Magda, odezwała się w ten sposób i to w obecności obcego człowieka. Słowa dźwięczały chłopskim akcentem, a chociaż wypowiedziała je niezbyt głośno, zabrzmiały przenikliwie jak krzyk. Wolski skrzywił się, jak gdyby połknął coś gorzkiego.

– Nie chcę wtrącać się do waszych spraw. Nawet gdybym chciał, to nie mam prawa. Ale jest czas na wszystko. Czekaliśmy lata całe na ten dzień. To jest pańska szansa: staniesz się pan sławny. Nie składaj bronii na godzinę przed zwycięstwem, jak to się mówi.

– Z niczego nie rezygnuję.

– Proszę, pozwól mi pan wezwać lekarza.

– Nie.

– No dobrze, nie to nie. Jestem impresariem od niemal trzydziestu lat i widziałem, jak artyści popełniają samobójstwo. Latami wdrapują się na górę, a gdy szczyt już blisko, spadają i giną pogruchotani. Nie wiem, dlaczego tak jest. Może lubią ryszotki. Co mam powiedzieć Kuzarskiemu? Pytał o pana. W teatrze sprzysięgli się przeciwko panu. I co mam odpowiedzieć dyrektorowi w Jekaterinosławiu? Muszę odpowiedzieć na telegram.

– Dam panu jutro odpowiedź.

– Kiedy jutro? Co będziesz pan wiedział jutro, czego nie wiesz dziś? I po co wy dwoje się kłóćcie? Musicie razem pracować. Musicie robić próby, jak co roku. A może nawet w tym roku bardziej niż kiedykolwiek. Chyba że chcesz pan zrobić przyjemność swoim wrogom i zawieść na całej linii.

– Wszystko będzie dobrze.

– Ano, będzie jak ma być. Kiedy mam wrócić?

– Jutro.

– Będę jutro rano, ale zrób pan coś z tą nogą. Proszę postąpić krok, zobaczymy. Pan kulejesz! Nie oszukasz mnie. Albo coś pan zwichnął, albo złamał. Proszę wymoczyć stopę w gorącej wodzie. Na pana miejscu nie czekałbym do jutra. Lekarz może założyć gips. Co pan wtedy zrobisz? Ta hołota wedrze się do teatru. Wie pan, jaka publi-

czność uczęszcza do letniego teatrzyku. To nie opera, gdzie dyrektor wychodzi przed kurtynę i oznajmia szanownym widzom, że primadonnę boli gardło. Tutaj natychmiast rzucają zgniłymi jajami i kamieniami.

– Powiedziałem panu, że wszystko będzie dobrze.

– Ano, miejmy nadzieję. Czasami żałuję, że nie handluję śledziami.

I Wolski skłonił się Jaszy i Magdzie. Coś mrucał w przedpokoju. Potem wyszedł, zatraskując drzwi.

„Chrześcijanin, a zawodzi niczym Żyd” – pomyślał Jasza. Zechciało mu się śmiać i kącikiem oka spojrzął na Magdę. „Nie spędziła nocy w domu – zdecydował. – Gdzieś się włóczyła. Tylko gdzie? Czy była zdolna do tego rodzaju zemsty?”. Poczul zazdrość i obrzydzenie jednocześnie. W nagłym odruchu omal nie chwycił jej za włosy i nie powlókł po ziemi. „Gdzie byłaś? Gdzie? Gdzie? Gdzie?” – chciał pytać, ale się powstrzymał. Wydało mu się, że z każdą chwilą pogarsza się wysypka na jej twarzy. Rozwarł pięść, spuścił głowę i wpatrzył się w swoją bosą nogę. Potem spojrzął ze złością na Magdę.

– Przynieś mi zimnej wody ze studni.

– Sam sobie przynieś.

I wybuchnęła płaczem. Wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami tak gwałtownie, że zabrzęczały szyby.

„Chyba się położę na pół godziny” – postanowił Jasza. Wrócił do sypialni i wyciągnął się na łóżku. Noga mu zeszywniała, z trudem ją wyprostował. Leżał, patrząc na niebo przez okno. Wysoko nad nim leciał ptak. Był malutki jak jagoda. Co by się stało, gdyby takie stworzenie uszkodziło sobie nogę lub skrzydło? Miałoby tylko jedno wyjście: śmierć. Nie inaczej jest z człowiekiem. Śmierć to miotła, która wymiata wszelkie zło, wszelkie szaleństwo, wszelki brud. Zamknął oczy. W stopie czuł pulsowanie, ostry ból. Chciał zdjąć but, ale poplątało się sznurowadło. Opuchlizna się powiększała! Czuł, że palce mu nabrzmiewają i gąbczeją. Mogła się wdać gangrena. „Może trzeba będzie amputować stopę? Nie! Raczej śmierć! No, skończyło się moich siedem lat szczęścia! Nie można im ufać” – wykrzyknął, nie wiedząc, czy ma na myśli kobiety, gojów, czy jakąś kombinację jednych i drugich. Bez wątpienia w Emilii również siedzi diabeł.

Myśli go opuściły, leżał ogarnięty ciepłym zmęczeniem poprzedzającym sen. Śniło mu się, że był czas Pesach, po wieczerzy Seder, i że jego ojciec mówi: „Czy to nie śmieszne? Zgubiłem grosz!”. „Tatusiu, co mówisz! To Pesach!”, „Ach, to wino obrzędowe uderzyło mi do głowy”.

Sen trwał tylko kilka sekund. Obudził się nagle, drzwi się otworzyły i weszła Magda, niosąc miskę z wodą i serwetkę na kompres. Rzuciła mu piorunujące, mściwe spojrzenie.

– Magda, kocham cię – powiedział.

– Szumowina! Dziwkarz! Morderca! – I znów wybuchnęła płaczem

4

Jasza doskonale rozumiał, że to, co zamierza, jest czystym szaleństwem, ale musiał pójść do Emilii. Czuł się jak osobnik, którego zahipnotyzowano i który musi spełnić rozkazy swego pana. Emilia spodziewała się go, a to działało na niego jak magnes. Magda znów dokądś wyszła. Wiedział, że teraz nadeszła stosowna chwila. Następnego dnia może być za późno. Wstał zdecydowany nie zwracać uwagi na nogę; musi się ogolić, wykapać, zmienić ubranie. „Trzeba wszystko z nią omówić – powiedział do siebie – nie mogę jej tak zostawić w zawieszaniu”. Kiedy poszedł się ogolić, okazało się, że brzytwa gdzieś zniknęła. Magda stale chowała różne rzeczy. Po każdym sprzątaniu czegoś brakowało. Potrafiła schować krawat w piecu, pantofle pod poduszką. Jak to chłopka!” – pomyślał Jasza. Włożył czystą koszulę, ale jedna spinka wypadła z mankietu i znikła. Przypuszczalnie potoczyła się pod szafę, ale Jasza nie mógł się pochylić. Gdzieś miał inne spinki, tylko gdzie? Magda pakowała nawet pieniądze w dziwne miejsca, skąd wyłaniały się po wielu miesiącach. Jasza rozciągnął się na podłodze i zaczął szukać pod szafą, posługując się laską, lecz cały ten wysiłek skończył się tylko przenikliwym bólem w stopie. Potem rozbolał go brzuch. „Diabły już się do mnie dobrały – mruknął do siebie. – Nic tylko pech!”.

Magda wróciła i zdjęła swą świąteczną suknię. Domyślił się, że

poszła po sprawunki, gdyż trzymała w ręku koszyk, z którego ster-
czały nogi kurczaka.

– Dokąd idziesz? Właśnie miałam ugotować obiad.

– Ugotuj go dla siebie.

– Lecisz do swojej dziwki z Piasków?

– Pójdę, dokąd zechcę.

– Koniec z nami. Wracam dziś do domu. Ty parszywy Żydzie!

Przeraziła się chyba własnych słów; stała z otwartymi ustami, pod-
niósłszy rękę, jak gdyby osłaniając się przed ciosem. Jasza zbladł.

– No, to koniec.

– Tak, koniec. Budzisz we mnie diabła!

Rzuciła koszyk i zaczęła lamentować po chłopsku, zupełnie jakby ją chłostano. Kurczak leżał w koszyku ze sztywną, krwawą szyją, otoczony cebulą, burakami i ziemniakami. Magda wybiegła do kuch-
ni, po czym Jasza usłyszał chrapliwy odgłos, jak gdyby dusiła się czy wymiotowała. Podniósł się, wciąż trzymając laskę, którą posługiwał się, szukając spinki. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ułożył inaczej kurczaka i przykrył mu rozdartą szyję burakiem. Szukał dalej spinki. Chciał pójść do kuchni zobaczyć, co robi Magda, powstrzy-
mał się jednak. „Niebawem Emilia też mnie tak nazwie” – pomyślał. Tak, wszystko waliło się jak domek z kart.

Jakoś się ubrał. Przechodząc korytarzem, usłyszał przez zamknięte
drzwi, że Magda szoruje garnek. Zszedł, kuśtykając po schodach,
czując przy każdym kroku ból. Ledwo doszedł do zakładu fryzjer-
skiego, ale nie było tam nikogo. Wołał, tupał zdrową nogą, walił
w ścianę, nikt się jednak nie zjawił. „Zostawiają wszystko i gdzieś
sobie idą – mruknął do siebie. – To cała Polska. I jeszcze narzekają,
że kraj się rozpada. Pewnie ten próżniak poleciał grać w karty. Ano,
będę musiał iść do niej nieogolony. Niech zobaczy, w jakim jestem
stanie”. Czekał na dorożkę, żadna jednak nie nadjeżdżała. „Taki to
kraj – mrucał – jedyne, co umieją, to buntować się co kilka lat
i brzęczeć kajdanami”.

Doszedł jakoś do Długiej, natrafił na fryzjera i wszedł do środka.
Fryzjer zajęty był strzyżeniem klienta.

– Kiedy się napelni beczkę kapustą, to więcej już tam wepchać się

nie da – mówił fryzjer. – Kapusta to nie len, nie można jej ścisnąć. Jak beczka jest pełna, to jest pełna. Jeszcze gorzej jest z ciastem, drogi panie. Przypomina mi się coś, co zdarzyło się pewnej kobiecie, która chciała upiec placek dla matki. Zamiesiła ciasto, dodała drożdże i co tam jeszcze potrzebne. W ostatniej chwili postanowiła zanieść ciasto do matki na Pragę i tam je upiec, bo w jej piecu zatkał się przewód kominowy czy też piec dymił albo coś podobnego. Więc zapakowała ciasto do koszyka, przykryła szmatą i wsiadła do omnibusu. W omnibusie było ciepło i ciasto zaczęło rosnać. Wypęzło z koszyka niby żywe. Próbowwała wcisnąć je z powrotem, ale ciasta nie da się upchać. Kiedy przyciskała z jednej strony, to wypływało z drugiej. Spadła pokrywa. Koszyk pęczniał, no i bach! A przynajmniej ja myślę, że pękł.

– Czy ciasto ma taką siłę? – zapytał mężczyzna w fotelu.

– Oczywiście. W omnibusie zapanował popłoch. Siedziało w nim kilku spryciarzy i...

– Pewnie dała bardzo dużo drożdży.

– Nie tyle chodziło o drożdże, ile o gorąco. To był upalny letni dzień i...

„Po co to gadanie? Poza tym on łże; koszyk nigdy by nie pękł – pomyślał Jasza. – Za to mój but na pewno! Wzbiera mi w nodze wrzód. A dlaczego ten fryzjer nie zwraca na mnie uwagi? Może ja widzę, ale jestem niewidzialny!”

– Czy długo trzeba czekać? – zapytał.

– Póki nie skończę, proszę pana – odparł fryzjer, pół uprzejmie, pół drwiąco. – Mam tylko jedną parę rąk. Nie umiem strzyc nogami, a gdybym umiał, to na czym bym stał? Może na głowie? Co pan myśli, panie Mieczysławie?

– Masz pan absolutnie rację – odrzekł klient. Był to niski mężczyzna o wielkiej głowie, byczym karku i jasnych, uczesanych na jeża włosach, przypominających Jaszy szczecinę wieprza. Odwrócił się i popatrzył na Jaszę z pogardą. Oczy miał wodnistoniebieskie, małe, osadzone głęboko. Jasne, że fryzjer i jego klient sprzymierzyli się przeciw niemu.

Począł jednak, aż fryzjer skończył strzyżenie klienta i usztywnił

mu końce wąsów. Nagle zmienił się zupełnie i zaczął rozmawiać przyjaźnie z Jaszą.

– Piękną mamy pogodę, prawda? Lato, prawdziwe lato! Lubię lato. Na co komu zima? Mróz i katary! Czasem w lecie jest za gorąco i człowiek się wtedy poci, ale to żadna tragedia. Wczoraj pływałem w Wiśle i ktoś utopił się na moich oczach.

– W kąpielisku?

– Chciał się popisać i popłynął z męskiego do damskiego kąpieliska. Zresztą nie chcieli go tam wpuścić, bo kobiety kąpią się nago. Więc jaki był sens w tym wszystkim? Czy warto przypłacać żart życiem? Kiedy go wyciągnęli, wyglądał, jak gdyby spał. Nie mogłem uwierzyć, że nie żyje. I po co ta cała ofiara? Żeby zrobić wrażenie?

– Tak, ludzie są szaleni.

5

„Muszę o wszystkim dzisiaj zdecydować – powiedział sobie Jasza w dorożce. – Dzisiaj jest mój Sądny Dzień”. Zamknął oczy, by pogрузić się całkowicie w myślach. Mijał jednak ulicę za ulicą, nie podejmując żadnej decyzji. Znów słyszał, nie patrząc, odgłosy miasta, wdychał jego zapachy. Woźnice krzyczeli, baty trzaskały, dzieci hałasowały. Z podwórek i bazarów przeciągały ciepłe powiewy, niosąc odór gnoju, smażonej cebuli, ścieków oraz wyziewy z rzeźni. Robotnicy zrywali drewniane chodniki, zamieniali okrągłe kocie łby na kwadratowe kostki, zakładali oświetlenie gazowe, kopali rowy do instalacji kanalizacyjnych i linii telefonicznych. Zmieniano układ trze-wi miasta. Czasami gdy Jasza otworzył oczy, wydawało mu się, że dorożka wpadnie lada chwila w piaszczystą przepaść, że ziemia może się zapaść, pociągając za sobą budynki; całej Warszawie zdawał się grozić los Sodomy i Gomory. Jak mógł decydować o czymkolwiek w takiej chwili? Dorożka minęła synagogę na ulicy Gnojnej. „Kiedy tu byłem? – zapytał sam siebie zmieszany. – Dziś? Wczoraj?”. Oba dnie zlewały się w jeden. Jego modły w tałasie i tefilin, pobożność, która go ogarnęła, teraz były mu obce, zdawały się snem. „Co mnie opętało? Nerwy mam chyba zupełnie zszarpane!” Dorożka zatrzymała

się przed domem Emilii i Jasza podał dorożkarzowi złotego zamiast normalnej zapłaty wynoszącej dziewięćdziesiąt groszy. Woźnica chciał mu wydać resztę, ale Jasza machnął ręką. „To biedak – pomyślał – niech sobie zachowa te dziesięć groszy nadwyżki”. Każdy dobry uczynek przemówi w niebiosach na jego korzyść. Powoli wszedł na schody, noga bolała go teraz trochę mniej. Zadzwoił, otworzyła mu Jadwiga. Uśmiechnęła się i powiedziała poufnym tonem:

– Pani czeka już od wczoraj.

– Co słyhać nowego?

– Nic absolutnie. Ach tak, jest coś! Pan Jasza może pamięta, jak mu opowiadałam o starym Zaruskim i jego głuchej służącej, tej, co jest moją przyjaciółką. Wczoraj było u nich włamanie.

Jasza poczuł suchość w ustach.

– Ukradli skarb?

– Nie, złodziej przestraszył się i uciekł. Skoczył z balkonu. Stróż nocny go zobaczył. Proszę nie pytać, co tam się dzieje! Stary podniósł straszny gwałt. To było okropne! Chciał wyrzucić moją przyjaciółkę. Przyszła policja. Moja przyjaciółka wypłakiwała sobie oczy. Trzydzieści lat, trzydzieści lat w jednym domu!

Mówiła to wszystko z jakąś perwersyjną przyjemnością. Nieszczęście przyjaciółki dostarczało Jadwidze coś w rodzaju wewnętrznego zadowolenia. Oczy jej błyszczały złośliwością, jakiej nigdy przedtem Jasza u niej nie zauważył.

– Tak. W Warszawie nie brak złodziei.

– A tam kusi ten majątek. Proszę wejść do salonu. Powiem pani.

Jaszy wydało się, że Jadwiga odmłodziła. Nie poruszała się zwykłym krokiem, lecz nieomal w podskokach. Wszedł do salonu i usiadł na sofie. „Nikt nie może zauważyć, że coś mi się stało w stopę. Jeśli ktoś zauważy, powiem, że upadłem. A może lepiej byłoby od razu powiedzieć o tym. Tak będzie wyglądało mniej podejrzanie. Jasza spodziewał się, że Emilia natychmiast przybiegnie ona jednak dłużej niż zwykle kazała na siebie czekać. „Odpląca mi się za wczorajszy wieczór” – pomyślał. Na koniec posłyszał kroki. Emilia otworzyła drzwi i Jasza zobaczył, że znów ma na sobie barwną suknię, najwi-
doczniej nową. Wstał, ale nie podszedł do niej od razu.

- Cóż za wspaniała suknia!
- Podoba się panu?
- Cudowna. Proszę się obrócić, niech zobaczę ją od tyłu.

Emilia posłuchała i Jasza skorzystał z okazji, aby pokuśtykać bliżej.

- Tak, przepiękna.

Emilia się obróciła.

– Bałam się, że się panu nie spodoba. Co się wczoraj stało? Całą noc nie spałam przez pana.

- Co pani robiłaś, jeżeli nie spałaś?

– Co można robić o takiej porze? Czytałam, chodziłam po mieszkaniu. Naprawdę, bardzo się o pana martwiłam. Myślałam, żeś pan już... – Emilia urwała.

Jakże mogła czytać, jeżeli w jej sypialni nie paliło się światło” – pomyślał Jasza. Chciał ją zaskoczyć tym pytaniem, ale się powstrzymał, świadom, że zdradziłby się takim pytaniem. Przypatrywała mu się, twarz jej wyrażała ciekawość, urazę, oddanie. Dzięki jakiejś nieuchwytej mocy, a może był to omen, wiedział, że żałuje, że odepchnęła go tamtego wieczoru i że teraz gotowa jest naprawić błąd. Zmarszczyła czoło, jak gdyby usiłowała zgłębić własne myśli. Patrzył na nią i wydało mu się, że się postarzała – nie o dni, lecz o lata, jak to się czasem zdarza osobie, która ciężko zachorowała lub którą spotkało nieszczęście.

- Coś złego stało się wczoraj – odezwał się Jasza.

Emilia pobladła.

- Co?

- Podczas próby spadłem i uszkodziłem sobie stopę.

– Dziwię się czasami, że w ogóle pan żyjesz – powiedziała z wyrzutem. – Próbujesz rzeczy nadludzkich. Nawet jeśli masz pan wielki talent, to nie należy być rozrzutnym, zwłaszcza za taką gażę. Wcale pana nie doceniają.

- Tak, za wiele z siebie daję. Ale taką mam naturę.

– No, to przekleństwo i błogosławieństwo zarazem... Czy byłeś pan u doktora?

– Jeszcze nie.

– Na co czekasz? Premiera za kilka dni.

– Tak, wiem o tym.

– Proszę usiąść. Wiedziałam, że coś się stało. Miałeś pan przyjść, lecz się nie zjawiłeś. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłam spać. Obudziłam się o pierwszej w nocy i nie zmrużyłam już oka. Miałam takie dziwne wrażenie, że jesteś w niebezpieczeństwie – nagle przeszła na bardziej intymne „ty”. – Mówiłam sobie, że moje obawy są śmieszne. Nie chciałam być przesądna, nie mogłam jednak pozbyć się tego wrażenia. Kiedy to się stało? O której spadłeś?

– Prawdę mówiąc, to się stało w nocy.

– O pierwszej?

– Mniej więcej.

– Wiedziałam! Chociaż nie rozumiem, w jaki sposób. Usiadłam w łóżku i bez żadnego powodu zaczęłam się na twoją intencje modlić. Halina także się obudziła i przyszła do mnie. Jest w tej dziewczynie coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Między nami istnieje jakaś dziwna więź. Kiedy nie mogę spać, ona też nie śpi, chociaż bardzo się staram nie hałasować. Co się stało? Czy to był skok?

– Tak, skoczyłem.

– Musisz natychmiast pójść do lekarza i jeśli powie, że nie możesz występować, to trzeba go posłuchać. Z takimi rzeczami nie ma żartów, zwłaszcza w twoim przypadku.

– Teatr zbankrutuje.

– Niech zbankrutuje. Każdemu może się zdarzyć wypadek. Gdybyśmy byli już razem, to zajęłabym się tobą. Wcale nie wyglądasz dobrze. Czy ostrzygłeś się?

– Nie.

– Wyglądasz, jakbyś się ostrzygł. Wiem, że wyda ci się to śmieszne, ale od dawna coś przeczuwałam. Nie trzeba się martwić, nie przewidywałam wielkiej tragedii, ale coś w tym było. Próbowalam nie tracić humoru. Kiedy dziś rano nie miałam od ciebie wiadomości, ogarnęła mnie rozpacz. Zamierzałam nawet pojechać do ciebie. Jak można wytłumaczyć takie rzeczy?

– Nic się nie da wytłumaczyć.

– Czy mogę spojrzeć na twoją nogę?

– Później, nie teraz.

– Dobrze, najdroższy. Ale muszę omówić z tobą coś bardzo ważnego.

– O co chodzi? Powiedz.

– Trzeba coś postanowić. Może to, co powiem, wyda ci się w złym guście, jednakże oboje nie jesteśmy już dziećmi. Nadeszła chwila, kiedy nie mogę już dłużej czekać, nie wytrzymuję tego uczucia zawieszenia. Ta sytuacja przyprawia mnie o chorobę. Nie jestem z natury osobą niefrasobliwą. Muszę wiedzieć dokładnie, jakie jest moje położenie. Halina powinna znów rozpocząć naukę; nie może stracić jeszcze jednego półrocza. Obiecujesz tysiące rzeczy, tymczasem wszystko pozostaje po dawnemu. Halina, odkąd wyjawiliś jej nasze zamiary, nie daje mi spokoju. To inteligentna dziewczynka, ale dziecko to dziecko. Wiem, że nie powinnam tak mówić, kiedy cierpisz, musisz jednak zrozumieć, co się ze mną dzieje. Poza wszystkim innym tęsknię za tobą straszliwie. Jak tylko się z tobą pożegnám i zamknę drzwi, już zaczynają się tortury. Czuję się dziwnie niepewna, jak gdybym znalazła się na krze, która lada chwila może złamać się i zrzucić mnie do wody. Zaczynam wierzyć, że staję się wulgarna i że straciłam wszelki wstyd.

Emilia zamilkła. Stała z pochyloną głową, drżąca, ze spuszczonejmi oczami, jak gdyby do głębi przejęta wstydem.

– Czy masz na myśli sprawy fizyczne? – spytał Jasza po chwili wahania.

– Wszystko razem.

– Dobrze, zadecydujemy o wszystkim.

6

– Mówisz mi za każdym razem, że poweźmiemy decyzję. Czy rzeczywiście tyle spraw wymaga decyzji? Jeśli zamierzamy wyjechać, to muszę pozbyć się mieszkania i sprzedać meble. Może coś za nie dostanę, chociaż niewiele już są warte. Albo można by je wysłać do Włoch. To są sprawy, którymi musimy się zająć. Samym mówieniem

nic nie zdziałamy. Powinniśmy także złożyć podania o paszporty, bo Rosjanie wszystko utrudniają. Trzeba dokładnie określić datę wyjazdu. Jest jeszcze sprawa finansów. Nie mówiłam o tym z tobą wcześniej, bo to rzecz szczególnie dla mnie przykra. Kiedykolwiek mam o tym mówić, krew napływa mi do twarzy (w istocie zaczerwieniła się), ale niczego bez pieniędzy nie dokonamy. Omawialiśmy także twoje... no, obiecałeś przejść na wiarę chrześcijańską... ja wiem, że to wszystko czcza formalność, człowiek nie nabiera wiary dlatego, że został pokropiony wodą. Jednakże bez tego nie możemy się pobrać. Mówię ci o tym w przekonaniu, że składałeś obietnicę w dobrej wierze. Jeżeli nie, to po co ciągnąć tę farsę? Nie jesteśmy już dziećmi.

Emilia przestała mówić.

– Wiesz, że każde moje słowo było szczere.

– Nic nie wiem. Zresztą cóż ja wiem o tobie? Czasami wydaje mi się, że nie znam nawet samej siebie. Dawniej kiedy słyszałam o takich sprawach, zawsze obwinałam tę drugą. Ostatecznie masz żonę, choć Bóg wie, że nie jesteś jej wierny, w ogóle zachowujesz się jak człowiek, który się niczym nie krępuje. Ja też grzeszę, ale pozostałam wierna Kościołowi. Z katolickiego punktu widzenia, kiedy ktoś nawraca się na naszą wiarę, rodzi się ponownie i wszystkie jego poprzednie stosunki zostają unieważnione. Nie znam twojej żony i nie chcę jej znać. Inna sprawa: twoje małżeństwo jest bezdzietne. Takie małżeństwo to małżeństwo połowiczne. Nie jestem już młoda, lecz mogę jeszcze rodzić i chciałabym ci dać dzieci. Będziesz się śmiał, ale nawet Halina o tym mówiła. Powiedziała kiedyś: Jak wyjdiesz za mąż za wujka Jaszę, to chciałabym mieć braciszka!”. Taki utalentowany człowiek jak ty nie powinien umrzeć bezpotomnie. Mazur to dobre polskie nazwisko.

Jasza siedział na sofie, Emilia naprzeciwko na szeszlengu. Spojrzał na nią, ona również patrzyła na niego. Zrozumiał nagle, że dłużej nie może już odkładać tej sprawy. Musi teraz, natychmiast, powiedzieć to, co ma do powiedzenia, chociaż nie zdecydował jeszcze, co powie czy zrobi.

– Emilio, muszę ci coś powiedzieć – zaczął.

– Powiedz, słucham.

– Emilio, ja nie mam pieniędzy. Cały mój majątek składa się z domu w Lublinie i nie mogę go jej zabrać.

Emilia zastanawiała się przez chwilę.

– Dlaczego wcześniej o tym nie mówiłeś? Zachowywałeś się tak, jak gdyby pieniądze nie stanowiły problemu.

– Zawsze mi się zdawało, że zdobędę je w ostatniej chwili. W razie powodzenia nowego programu istniała możliwość występów za granicą. Zawsze tu przyjeżdżają właściciele zagranicznych teatrów.

– Przepraszam cię, ale nasz plan był zupełnie inny. Skąd mogłeś mieć pewność, że znajdziesz zatrudnienie we Włoszech? Mogliby cię zaangażować na występy we Francji czy Stanach Zjednoczonych. Dziwne by było, gdybyśmy się pobrali, a potem ty musiałbyś przebywać w jednym miejscu, a ja z Haliną w innym. Ona musi spędzić jakiś czas w południowych Włoszech. Zima w Anglii, na przykład, zabiłaby ją. Poza tym planowałeś, że przez rok zaniechasz występów i będziesz uczył się języków europejskich. Jeśli będziesz podróżować po Europie, nie znając języków, potraktują cię tak jak tu w Polsce. Zapominasz o wszystkim, co postanowiliśmy. Zamierzaliśmy kupić dom z ogrodem koło Neapolu. Taki był nasz plan. Nie chcę ci robić wyrzutów, jeśli jednak chcesz polepszyć swoją sytuację, to musisz działać według dokładnego planu. Ten zwyczaj życia z dnia na dzień, *ex tempore*, jak to mówicie wy, ludzie teatru, przyniósł ci tylko kłopoty. Sam się do tego przyznałeś.

– Tak, to prawda, ale muszę zdobyć pieniądze. Ile by to wszystko kosztowało? To znaczy, jakie jest absolutne minimum?

– Już to przecież rozważyliśmy. Potrzebujemy najmniej piętnaście tysięcy rubli. Cokolwiek będziemy mieli ponad to, przyda się bardzo.

– Muszę zdobyć te pieniądze.

– Jak? O ile wiem, ruble nie spadają z nieba w Warszawie. Odniosłam wrażenie, że zebrałeś już potrzebny kapitał.

– Nie, nie mam nic.

– A więc to tak. Nie myśl, że moje uczucie wobec ciebie uległo zmianie z tego powodu. Jasne jednak, że musimy powziąć inne plany. Zawiadomiłam już pewne bliskie mi osoby, że zamierzam wyjechać za granicę. Halina nie może wiecznie przebywać w domu. Dziewczyn-

ka w jej wieku musi chodzić do szkoły. Poza tym my dwoje nie możemy tu być razem. Nie miałyby to sensu dla żadnego z nas. Masz rodzinę i nie wiem kogo tam jeszcze. Tak jak się sprawy mają, nie mogę spać, bo współczuję twojej żonie, ale gdybym wyjechała, to stałaby się kimś bardzo odległym. Ukraść żonie męża i ryzykować, że mogłaby tu przybiec z płaczem, nie, to by było za wiele!

I potrząsnęła głową przecząco, podkreślając swą odmowę. Jednocześnie przebiegł ją dreszcz.

– Zdobędę pieniądze.

– Jak? Obrabujesz bank?

Weszła Halina.

– O, wujcio Jasza!

Emilia podniosła wzrok.

– Ile razy mówiłam ci, że masz pukać, zanim wejdiesz. Nie masz już trzech lat.

– Jeżeli przerwałam rozmowę, to sobie pójdę.

– Niczego nie przerwałaś – odezwał się Jasza. – Masz śliczną sukienkę.

– Co w niej ładnego? Wyrosłam już z niej. Ale jest biała, a ja ubóstwiam biały kolor. Chciałabym, aby nasz dom we Włoszech był biały. Dlaczego dach nie może także być biały? To byłoby cudowne, dom z białym dachem!

– Może chciałabyś, żeby kominiarz też chodził w bieli? – spytał żartem Jasza.

– Czemu nie? Można przecież tak zrobić, żeby sadza była biała. Czytałam, że kiedy wybierze się nowego papieża, wówczas z komina w Watykanie wydobywa się biały dym. Jeżeli więc dym może być biały, to i sadza może być biała.

– Tak, wszystko zrobimy, co zechcesz, a teraz idź do swojego pokoju. Właśnie dyskutujemy o pewnych sprawach – rzekła Emilia.

– O czym rozmawiacie? Niech się mama tak nie marszczy, już wychodzę. Mam straszne pragnienie, ale to nieważne. Zanim wyjdę, chcę tylko jedno powiedzieć, wydajesz się w złym humorze, wujciu Jaszo. Co się stało?

– Zatonął mi statek z kwaśnym mlekiem.

– Co? Co to za śmieszne wyrażenie?

– To takie przysłowie żydowskie.

– Chciałabym umieć po żydowsku. Chciałabym znać wszystkie języki: chiński, tatarski, turecki. Powiadają, że zwierzęta też mają swój język. Przechodziłam kiedyś przez plac Grzybowski, Żydzi wyglądali bardzo śmiesznie w długich chałatach i z czarnymi brodami. A co to jest Żyd?

– Powiedziałaś ci, żebyś wyszła. – Emilia podniosła głos.

Halina odwróciła się, aby wyjść z pokoju, właśnie gdy zapukano do drzwi. Na progu stała Jadwiga. – Przyszedł jakiś człowiek. Chce z panią mówić.

– Człowiek? Kto taki? Czego chce?

– Nie wiem.

– Dlaczego nie zapytałaś o nazwisko?

– Nie chciał go podać. Wygląda, jakby był z poczty czy coś takiego.

– Znowu jakieś zawracanie głowy. Sekundkę. Pójdę zobaczyć. – Emilia wyszła na korytarz.

– Kto to może być? – zapytała Halina. – Wzięłam książkę z biblioteki szkolnej i zgubiłam. Właściwie wcale jej nie zgubiłam, tylko wpadła do ścieku, co było tak ohydne, że brzydziłam się ją podnieść. Bałam się przynieść ją do domu, bo gdyby mama zobaczyła mnie z taką brudną książką, to by się na mnie strasznie gniewała. Ona jest dobra, lecz także bardzo zła. Ostatnio dziwnie się zachowuje. Nie śpi po nocach, a kiedy ona nie śpi, to i ja nie śpię. Przychodzę do niej do łóżka, leżymy tak sobie i gadamy, jak dwie zagubione dusze. Od czasu do czasu siada przy stoliku, kładzie na nim ręce i czeka, żeby stolik przepowiedział jej przyszłość. Śmieszy mnie chwilami, ale kocham ją nieprzytomnie. Taka jest dobra głęboką nocą. Czasami chciałabym, żeby zawsze była głęboka noc i żebyś ty, wujku Jaszo, mieszkał z nami i żebyśmy wszyscy razem spędzali czas. Może by mnie wujcio teraz zahipnotyzował? Bardzo pragnę być zahipnotyzowana.

– Na co ci to?

– A, tak sobie! Życie jest takie ponure.

– Twoja matka nie życzy sobie tego, a ja nie zrobię niczego, czemu się sprzeciwia.

– Zrób tak, żeby to trwało tylko do jej przyjścia.

– To się nie dzieje tak szybko, zresztą już jesteś zahipnotyzowana.

– Co wujcio mówi?

– No, musisz mnie kochać. Zawsze będziesz mnie kochać. Nigdy mnie nie zapomnisz.

– To prawda. Nigdy! Chciałabym mówić głupstwa. Czy mogę mówić głupstwa? Póki mama nie wróci.

– Tak, mów.

– Dlaczego nie wszyscy są tacy jak ty, wujku Jaszo? Inni są tacy nadęci i tacy ważni. Kocham mamę, kocham ją strasznie, ale są chwile, kiedy jej nienawidzę. Kiedy jest w złym humorze, wyładowuje się na mnie. „Nie chodź tu! Nie stój tam!” Kiedyś niechcący stłukłam doniczkę i nie rozmawiała ze mną przez cały dzień. Wówczas w nocy śniło mi się, że przez mieszkanie przejechał omnibus, konie, woźnica, pasażerowie i cała reszta. We śnie dziwiło mnie to: dlaczego miałyby omnibus przejeżdżać przez nasze mieszkanie? Dokąd zmierzali pasażerowie? I jak się omnibus przedostał przez drzwi? On jednak po prostu sobie jechał, zatrzymując się na przystankach, więc pomyślałam: „Kiedy mama wróci i zobaczy to, będzie okropna awantura!”. Zachciało mi się śmiać i obudziłam się od tego śmiechu. Teraz też mi się chce śmiać z tego głupiego snu. A czy to moja wina? O wujciu też śnię, ale skoro jesteś paskudny i nie chcesz mnie zahipnotyzować, to nie powiem ci o tym śnie.

– Co ci się śni o mnie?

– Nie powiem. Moje sny są albo komiczne, albo wręcz zwariowane. Mógłbyś pomyśleć, że jestem szalona. Okropne myśli mnie nachodzą. Chciałabym je odpędzić i nie mogę.

– Jakiego rodzaju myśli?

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie musisz niczego przede mną ukrywać. Kocham cię.

– E, tak tylko mówisz. Właściwie jesteś moim wrogiem. Może

nawet jesteś diabłem, który przybrał ludzką postać? Może masz rogi i ogon jak baba-jaga?

– Tak, mam rogi.

I Jasza przyłożył dwa palce do głowy.

– Nie rób tego, boję się. Jestem strasznym tchórzem. W nocy umieram wręcz ze strachu. Boję się zjaw, złych duchów i tak dalej. Jedna nasza sąsiadka miała sześcioletnią córeczkę Janinkę. Ładne dziecko z blond lokami i niebieskimi oczami jak aniołek. Nagle zachorowała na szkarlatynę i umarła. Mama nie chciała, żebym się dowiedziała, ale ja i tak wszystko wiedziałam. Zobaczyłam nawet przez okno, jak wynoszono trumnę, małą trumienkę przybraną kwiatami. Ach, śmierć jest straszna! W dzień o niej nie myślę, a kiedy się ściemnia, zaczynam o tym myśleć.

Weszła Emilia. Popatrzyła na Jaszę i Halinkę i zauważyła:

– Ładna z was para, co?

– Kto to był? – zapytał Jasza, zdziwiony własnym zuchwalstwem.

– Będziesz się śmiać, gdy ci powiem, chociaż to wcale nie do śmiechu. Mamy znajomego, który mieszka niedaleko. Bogaty stary człowiek, nazywa się Zaruski, lichwiarz i skąpiec. Właściwie, to nie jest wcale znajomym, tylko Jadwiga przyjaźni się z jego służącą i dlatego zaczął mi się kłaniać. Wczorajszej nocy ktoś włamał się do niego. Złodziej wszedł przez balkon, a stróż nocny widział, jak z niego schodzi. Stróż gonił go, ale ten człowiek uciekł. Nie udało mu się otworzyć kasy. Okazuje się teraz, że zostawił notatnik z adresami innych mieszkań, które zamierzał obrabować, i mój adres znajdował się wśród nich. Właśnie przyszedł detektyw, żeby mnie ostrzec. Powiedziałam mu, że niewiele jest u mnie do ukradzenia. Czy to nie dziwne?

Jasza poczuł suchość w gardle.

– Dlaczegoż miałby zostawiać listę adresów?

– Widocznie ją zgubił.

– No, to musisz uważać.

– Jak można uważać? Warszawa stała się siedliskiem złodziei. Halinko, idź do siebie.

Halina ociągając się, wstała.

– Dobrze, już idę. A to, o czym rozmawialiśmy, musi pozostać tajemnicą – zwróciła się do Jaszy.

– Tak jest, wieczną tajemnicą.

– No, to idę. Nie mam innego wyboru, skoro się mnie wypędza. Ale wujcio jeszcze nie wychodzi?

– Nie, zostanę jeszcze chwilę.

– Do widzenia!

– Do widzenia!

– *Au revoir.*

– *Au revoir.*

– *Arrivederci!*

– Pospiesz się – warknęła Emilia.

– No... idę.

I Halina wyszła.

– Jakie macie tajemnice? – spytała Emilia półzartem.

– Doniosłe tajemnice.

– Czasami żałuję, że nie mam syna zamiast córki. Chłopiec nie przebywa tyle w domu i nie wtrąca się do spraw swojej matki. Kocham ją, czasem jednak wytrąca mnie z równowagi. Trzeba pamiętać, że jest dzieckiem, nie osobą dorosłą.

– Rozmawiam z nią jak z dzieckiem.

– To dziwna historia z tym złodziejem. Nie mógł znaleźć bogatszych ode mnie? Skąd oni czerpią swoje informacje? Widocznie wchodzi do bram i czytają listę lokatorów. Ja się boję złodziei. Złodziej może łatwo stać się mordercą. Drzwi frontowe zasuwają się na zasuwę, ale drzwi balkonowe tylko na łańcuch.

– Mieszkasz na drugim piętrze. To za wysoko dla rabusiów.

– To prawda. Skąd wiesz, że Zaruski mieszka na pierwszym piętrze?

– Bo to ja jestem tym złodziejem – odparł Jasza ochryłym głosem, zaskoczony własnymi słowami. Ścisnęło go w gardle. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i znów zobaczył płomieniste iskierki. Jak gdyby przemówił w nim dybuk. Po plecach przeszło mu mrowie. Znów odczuł mdłości poprzedzające omdlenie.

Emilia zamilkła na chwilę.

– A to nawet dobry pomysł. Skoro potrafisz wychodzić oknem, to potrafisz wdrapać się na balkon.

– Potrafię oczywiście.

– Co takiego? Nie usłyszałam.

– Powiedziałem, że potrafię oczywiście.

– No, to dlaczego nie otworzyłeś kasy? Jak się już coś zaczyna, to trzeba skończyć.

– Czasami się nie da.

– Dlaczego mówisz tak cicho? Nie rozumiem, co mówisz.

– Powiedziałem, że czasami się nie da.

– Jak nie umiesz, to nie próbuj, mówi stare przysłowie. To śmieszne, niedawno myślałam, że mogliby się do niego włamać złodzieje. Wszyscy wiedzą, że trzyma pieniądze w mieszkaniu. Wcześniej czy później ktoś musi je ukraść. Taki los czeka wszystkich skąpców. No, ale gromadzenie bogactwa jest samo w sobie namiętnością.

– Rodzajem namiętności.

– Co za różnica? W sensie absolutnym wszystkie namiętności są albo całkowicie głupie, albo niezmiernie mądre. Cóż możemy o tym wiedzieć?

– Nie, nic nie wiemy.

Oboje siedzieli w milczeniu. Wreszcie Emilia przerwała ciszę:

– Co się z tobą dzieje? Muszę obejrzeć twoją nogę.

– Nie teraz, nie teraz.

– Dlaczego nie teraz? Jak to się stało, że upadłeś, powiedz mi.

„Nie wierzy mi. Sądzi, że żartuję – pomyślał Jasza. – Ano i tak wszystko przepadło”. Spojrzał na Emilię, widział ją jednak jak przez mgłę. W pokoju panował półmrok; okna wychodziły na północ i obramowane były zasłonami koloru wina. Ogarnęła go dziwna obojętność, ten rodzaj obojętności, która opanowuje człowieka przed popełnieniem zbrodni lub narażeniem życia. Wiedział, że to, co teraz powie, zniszczy wszystko, lecz wydało mu się to obojętne.

Postłyszał siebie mówiącego: – Uderzyłem się w nogę, skacząc z balkonu Zaruskiego.

Emilia uniosła brwi.

– Doprawdy, to nie pora na żarty.

– To szczerza prawda.

8

W ciszy, która zapanowała, słyszał świergot ptaków po drugiej stronie okna. „No, najgorsze już za mną” – powiedział do siebie. Teraz zrozumiał swój cel: zakończyć całą sprawę. Wziął na swoje barki zbyt wielki ciężar. Trzeba się odciąć od wszystkiego. Rzucił spojrzenie na drzwi, jak gdyby gotując się do ucieczki bez słowa pożegnania. Nie spuścił oczu, lecz spojrzał Emilii prosto w twarz, nie z dumą, tylko z obawą człowieka, który nie może sobie pozwolić na luksus strachu. Emilia patrzyła na niego bez gniewu, z jakąś ciekawością pomieszaną z pogardą odczuwaną przez kogoś, kto widzi całą daremność swego wysiłku. Wyglądała tak, jak gdyby powstrzymywała się od śmiechu.

– Doprawdy, nie wierzę...

– Ale to prawda. Byłem przed twoim domem wczorajszej nocy. Chciałem cię nawet zawołać.

– A tymczasem poszedłeś tam?

– Nie chciałem budzić Haliny i Jadwigi.

– Mam nadzieję, że drażnisz się tylko ze mną. Wiesz, że jestem łatwowierna. Wszystko można mi wmówić.

– Nie, nie żartuję. Słyszałem o nim od Jadwigi i pomyślałem, że to rozwiązałyby nasz problem. Ale wpadłem w panikę. Widocznie nie jestem stworzony do takich rzeczy.

– I przyszedłeś mi to wyznać?

– Pytałaś mnie.

– O co pytałam? Zresztą to wszystko jedno, wszystko jedno. Jeżeli to nie jest jedna z twoich sztuczek, to mogę się tylko litować nad tobą. To znaczy, nad nami obojgiem. A jeżeli to żart, to mogę tylko tobą gardzić.

– Nie przyszedłem tu, aby bawić się w gierki.

– Któż to wie, co byś chciał czy nie chciał robić? Jasne, że nie jesteś osobą normalną.

– Nie.

– Właśnie czytałam o kobiecie, która pozwoliła się uwieść szaleńcowi.

– To ty właśnie.

Oczy Emilii się zwężyły.

– Taki mój los. Stefan, niech spoczywa w pokoju, też był psychopatą. Innego rodzaju. Widocznie taki typ mężczyzny mnie pociąga.

– Nie trzeba się winić. Jesteś najszlachetniejszą kobietą, jaką spotkałem.

– Kogo w ogóle w życiu spotkałeś? Wyrosłeś ze śmieci i sam jesteś śmieciem. Wybacz te przykre słowa, ale ja tylko stwierdzam fakt. To całkowicie moja wina. Wiedziałam o wszystkim, niczego nie ukrywałeś, w dramacie greckim jest coś w rodzaju fatum... nie, to ma inną nazwę... kiedy człowiek widzi wszystko, co mu się zdarzy, jednakże musi poddać się swojemu przeznaczeniu. Widzi przepaść i mimo to w nią wpada.

– Jeszcze nie spadłaś do przepaści.

– Trudno znaleźć się głębiej, niż już spadłam. Gdybyś miał w sobie iskrę człowieczeństwa, zaoszczędziłbyś mi tego wstydu. Mogłeś odejść i nigdy nie wrócić. Nie posłałabym za tobą gońca. Przynajmniej zachowałabym wspomnienie.

– Przykro mi.

– Nie przepraszaj. Powiedziałeś mi, że jesteś żonaty. Przyznałeś nawet, że Magda to twoja kochanka. Powiedziałeś mi także, iż jesteś ateistą, czy jak to tam wyraziłeś. Jeśli godziłam się na to wszystko, nie ma powodu, ażebym obawiała się złodzieja. Zabawne jest tylko to, że okazałeś się takim niezdarnym złodziejem. – I Emilia zachichotała.

– Mógłbym się jeszcze okazać dobrym złodziejem.

– Dziękuję za obietnicę. Nie wiem, co powiedzieć Halinie. – Emilia zmieniła ton. – Spodziewam się, że rozumiesz, iż musisz odejść i nigdy nie wracać. I nie możesz pisać. Jeśli o mnie chodzi, to nie żyjesz. Ja również nie żyję. Ale umarli też gdzieś przebywają.

– Tak, pójdę sobie. Bądź pewna, że nigdy... – I Jasza poruszył się, jak gdyby chciał wstać.

– Czekaj! Widzę, że nawet nie możesz wstać. Coś ty sobie zrobił? Zwichnąłeś kostkę? Złamałeś kość w stopie?

– Coś sobie zrobiłem.

– Cokolwiek to jest, w tym sezonie już nie wystąpisz. Możliwe, że okaleczyłeś się na całe życie. Musisz mieć z Bogiem jakieś przy mierze, skoro ukarał cię na miejscu.

– Jestem po prostu fuszerem.

Emilia zasłoniła twarz dłońmi. Pochyliła głowę. Zdawała się coś głęboko rozważać. Pocierała nawet czoło końcami palców. Kiedy odjęła rękę, Jasza ujrzał ze zdumieniem inną twarz. W ciągu tych kilku sekund Emilia się zmieniła. Pod oczami utworzyły jej się worki. Wyglądała jak ktoś, kto się obudził z krótkiego, lecz głębokiego snu. Nawet włosy jej się rozsypały. Dostrzegł zmarszczki na czole i siwe włosy. Jak w bajce prysnął czar, który utrzymywał ją w wiecznej młodości. Głos jej również stał się matowy i apatyczny. Spojrzała na niego zmieszana.

– Dlaczego zostawiłeś spis adresów? I dlaczego tam był akurat mój adres? Czy to możliwe, żebyś... – i Emilia urwała.

– Nie zostawiłem żadnych adresów.

– Detektyw tego nie wymyślił.

– Nie wiem. Zaklinam się na Boga, że nie wiem.

– Nie zaklinaj się na Boga. Oczywiście, że zrobiłeś spis i wypadł ci z kieszeni. To ładnie, że nie wyłączyłeś mnie. – Uśmiechnęła się z wyrazem znużenia, jak to się czasem dzieje w obliczu tragedii.

– Doprawdy, to jakaś tajemnicza historia. Zaczynam wątpić we własny rozum.

– Tak, jesteś chorym człowiekiem.

W tej samej chwili przypomniał sobie, co się stało. Wydarł kartki z notatnika i zrobił z nich stożek, którym próbował spenetrować zamek. Widocznie zostawił ten stożek, a na tych kartkach figurował również adres Emilii. Nie wiadomo, jakie jeszcze adresy miał tam zanotowane. W tej samej sekundzie uświadomił sobie, że pozostawienie ich równało się donosowi na siebie samego. Możliwe, że był

tam adres Wolskiego, jak również adresy impresariów, aktorów, właścicieli teatrów i firm, w których kupował sprzęt. Możliwe również, że znajdował się tam jego własny adres, bo zabawiał się czasem pisaniem nazwy ulicy i numeru domu, zdobiac je festonami z włosów, wyrostków, ogonów i zawijasów. Nie czuł lęku, ale coś w nim zachichotało. Pierwsze przestępstwo i od razu sam siebie wydał. Należał do tych niezdar, które nic nie ukradną, zostawiają jednak wystarczająco wiele śladów, aby policja trafiła prosto do nich. Policja i sądy były bezlitosne dla takich głupców. Przypomniał sobie, co Emilia powiedziała o tych, co widzą przepaść, lecz mimo to wpadają w nią. Zawstydził się z powodu swej niezręczności. „To znaczy, że nie śmiem wrócić do domu. Dowiedzą się także mojego adresu w Lublinie. Tak, a jeszcze ta noga...”.

– Dobrze – powiedział – nie będę już dłużej sprawiał ci kłopotu. Wszystko między nami skończone. – I podniósł się gotów do wyjścia. Emilia również wstała.

– Dokąd idziesz? Nikogo nie zamordowałeś!

– Przebacz mi, jeśli potrafisz.

I Jasza kulejąc, skierował się w stronę drzwi. Poruszyła się, jak gdyby chciała mu zablokować drogę.

– Idź koniecznie do lekarza.

– Tak, dziękuję.

Zdawało mu się, że Emilia chce jeszcze coś powiedzieć, ale szybko wycofał się do przedpokoju, chwycił płaszcz i kapelusz, i wyszedł.

Emilia coś za nim krzyknęła, on jednak zatrzaskał drzwi i zbiegł ze schodów, nie zwracając uwagi na kontuzjowaną nogę.

Rozdział ósmy

1

Jasza stał przez chwilę u bramy na podwórzu. Czy na zewnątrz czekał na niego agent policyjny? Przypomniawszy sobie nagle wytrych. Nie, nie miał go przy sobie. Był w ubraniu, które nosił wczoraj. Ale jeśli przeprowadzono rewizję w jego mieszkaniu, to go znalezione. „No, nie ma to już teraz znaczenia. Niech mnie zamkną! I tak jutrzejsze gazety będą roić się od wiadomości o mnie. Co powie Estera, gdy się o tym dowie? Banda z Piasków będzie zachwycona; ocenią to jako piękną ironię. A co z Hermanem? I Zewtel? I Magdą, nie mówiąc już o jej bracie! A Wolski? Publiczność w «Alhambrze»? Zresztą, wezmą mnie do szpitala więziennego”. Czuł, jak spuchnięta stopa rozsadza mu but. „Straciłem także Emilię” – powiedział do siebie. Przeszedł przez bramę, lecz nie czekał na niego policjant. Może czai się po drugiej stronie ulicy? Jasza zamierzał wejść do Ogrodu Saskiego, jednakże nie uczynił tego; Emilia mogłaby go zobaczyć z okna. Poszedł w kierunku ulicy Granicznej, wyszedł na Gnojną i na wystawie zegarmistrza zobaczył, że jest dopiero za dziesięć czwarta. „Wielki Boże, jakież to długi dzień! Długi jak rok!” Poczuli, że musi usiąść, i przyszło mu na myśl, aby znowu odwiedzić bóżnicę. Skreślił na dziedziniec synagogi. „Co się ze mną dzieje – zastanawiał się. – Stałem się nagle prawdziwie pobożnym Żydem”. W bóżnicy odprawiano wieczorne modły. Jakiś litwak intonował Osiemnaście Błogosławieństw. Wierni odziani byli w krótkie wierzchnie okrycia i sztywne czapki. Jasza uśmiechnął się. On sam pochodził z polskich chasydów. W Lublinie prawie nie było litwaków, ale Warszawa miała ich wielu. Ubierali się inaczej, mówili inaczej, modlili się inaczej. Pomimo gorącego dnia z synagogi wiało chłodem, którego słońce nie potrafiło rozproszyć. Słyszał kantora śpiewającego „I do Jeruzalem, miasta Twego, wróć w swym miłosierdziu i bądź w nim, jako rzekłeś”.

„Ach tak? Oni też chcą powrócić do Jerozolimy?” – pomyślał Jasza. Od wczesnego dzieciństwa uważał litwaków za pół-Żydów, za obcą sektę. Z trudem rozumiał ich jidysz. Spostrzegł, że wielu wśród zgromadzonych było ogolonych. Jaki sens ma golenie brody, a potem modlenie się? – zapytał sam siebie. – Może używają nożyczek, to byłby mniejszy grzech.* Leczą po co te kompromisy, jak długo wierzy się w Boga i w *Torę*? Jeżeli istnieje Bóg, a jego prawo jest prawdą, to należy mu służyć w dzień i w nocy. Jak długo można żyć na tym zgniłym świecie?”. Jasza wszedł do domu nauki. Pełno w nim było ludzi. Mężczyźni studiowali *Talmud*. Światło słoneczne przenikało przez okna i rzucało skośne kolumny pyłu. Młodzi ludzie o długich pejsach kiwali się nad tomami *Talmudu*, wołali, recytowali, tręcali się, gestykulowali. Jeden krzywił się, jakby go brzuch bolał, inny kiwał kciukiem, trzeci przebierał frędzle pasa. Mieli na sobie brudne koszule z rozpiętymi kołnierzami. Niektórzy potracili przedwcześnie zęby. Jednemu broda rosła w czarnych kępkach – tu jedna kępka, tam druga. Broda jakiegoś małego osobnika była czerwona jak ogień, głowę miał ogoloną, z boków zwisały mu żółte pejsy, długie jak warokocze. Jasza słyszał jego krzyk: – Wytoczyli mu sprawę o pszenicę, a on przyznał się do jęczmienia.

„Czyż tego chce Bóg? – zadał sobie Jasza pytanie. – Ta historia z pszenicą i jęczmieniem to po prostu sprawa handlu”. – Przypomniał sobie krzyk antysemity: „*Talmud* uczy tylko Żyda, jak być oszustem”. Ten człowiek miał prawdopodobnie gdzieś sklepik. Jeśli go teraz nie ma, to kiedyś będzie miał.

Jasza znalazł wolną ławkę koło półek z książkami. Przyjemnie było siedzieć. Przymknął oczy i słuchał słów *Tory*. Przenikliwe młode głosy mieszały się z ochrypłymi, rzęzącymi akcentami starych. Krzyczano, mrużano, recytowano, wymawiano pojedyncze słowa. Jasza przypomniał sobie, co Wolski powiedział mu kiedyś przy kieliszku wódki – on, Wolski, nie jest antysemitą, ale Żydzi stworzyli w Polsce mały Bagdad w centrum Europy. Według Wolskiego, nawet Chińczycy, Arabowie są cywilizowani w porównaniu z Żydami. Z drugiej strony, Żydzi, którzy nosili krótkie okrycie i golili brody

* Golenie brody jest u Żydów zakazane. Golić brodę i potem modlić się to grzech plus drwina. Strzyżenie nożyczkami uważane jest za mniejsze zło, u reformowanych Żydów za całkowicie dopuszczalne (przyp. red.).

albo pragnęli rusyfikacji Polaków, albo byli rewolucjonistami. Bardzo często jednocześnie wyzyskiwali i podburzali klasę robotniczą. To radykałowie, masoni, ateści, kosmopolici, którzy dążą do majątku, dominacji i zbrukania wszystkiego.

Jaszę ogarnęła cisza. Można go było uważać za jednego z tych bezbrodych Żydów, jednak jemu oni wydawali się bardziej obcy niż tamci pobożni. Od dzieciństwa otaczali go ludzie religijni. Nawet Estera prowadziła żydowski dom i kuchnię koszerną. Możliwe, że ta odmiana była zbyt azjatycka, jak twierdzili Żydzi oświeceni, ale przynajmniej chasydzi mieli wiarę i duchową ojczyznę, historię i nadzieję. Oprócz praw rządzących handlem mieli literaturę chasydzką, studiowali Kabałę i księgi traktujące o etyce. A co mieli Żydzi zasy-milowani? Nic własnego. W jednym miejscu mówili po polsku, w innym po rosyjsku, a jeszcze gdzie indziej po francusku lub niemiecku. Siadywali w kawiarni Lourse'a lub Semadeniego albo u Strassburgera, pijąc kawę, paląc papierosy, czytając rozmaite gazety i czasopi-sma, i opowiadając dowcipy wywołujące śmiech, który zawsze wy-dawał się Jaszy nieprzyjemny. Zajmowali się polityką, stale planując rewolucje i strajki, chociaż ofiarami ich działalności stawali się za-wsze biedni Żydzi, ich własni bracia. A co do ich kobiet, to para-dowały wystrojone w brylanty i strusie pióra, wzbudzając zazdrość chrześcijanek.

Dziwne, lecz gdy tylko Jasza znalazł się w domu modlitwy, na-tychmiast rozpoczął rachunek sumienia. To prawda, że oddalił się od ludzi pobożnych, lecz nie przeszedł do obozu zasy-milowanych. Stracił wszystko: Emilię, karierę, zdrowie, dom. Przypomniał sobie słowa Emilii: „Widocznie zawarłeś jakieś przymierze z Bogiem, sko-ro cię tak szybko karze”. Tak, Niebiosa dobrze go pilnowały. Może dlatego, że nie przestał wierzyć. Ale czego od niego chciały? Dziś rano wiedział, co trzeba robić – musi trzymać się ścieżki prawości, jak to czynił jego ojciec, a przedtem jeszcze ojciec jego ojca. Teraz znów ogarnęły go wątpliwości. Do czego potrzebne były Bogu te kapoty, pejsy, jarmułki i szarfy? Ile jeszcze pokoleń będzie męczyć się nad *Talmudem*? Jakie dalsze ograniczenia narzuca sobie Żydzi? Jak długo będą czekać na Mesjasza ci, co czekają już dwa tysiące lat? Bóg to Bóg, a te wszystkie dogmaty stworzone przez ludzi to co innego. Czy jednak można służyć Bogu bez dogmatów? Jak to

się stało, że on, Jasza, popadł w obecne kłopoty? Na pewno nie zaplątałby się w te wszystkie przygody miłosne i inne eskapady, gdyby był włożył cyces i modlił się trzy razy dziennie. Religia podobna jest do wojska: wymaga dyscypliny. Wiara abstrakcyjna nieuchronnie prowadzi do grzechu. Dom modlitwy przypomina koszary; przeprowadzano tam zbiórkę żołnierzy Boga.

Jasza nie mógł już dłużej tu zostać. Wstrząsały nim dreszcze, choć było mu gorąco. Jasne, że miał gorączkę. Postanowił wrócić do domu. „Niech mnie aresztują, jeśli taka ich wola!” – pomyślał. Pogodził się z myślą wypicia do dna kielicha goryczy.

Przed opuszczeniem domu nauki zdjął z półki jakąś książkę, na chybił trafił; otworzył ją, aby zasięgnąć rady wzorem swego ojca, który zawsze tak czynił, gdy nie wiedział, jak ma dalej działać. Okazało się, że był to tom *Dróg wieczystych* autorstwa rabina Lejba z Pragi. Na prawej stronie znajdował się werset z *Pisma*: „Zamyka oczy, aby nie widzieć zła” oraz objaśnienie talmudyczne: „Takim człowiekiem jest ten, kto nie patrzy na kobiety, kiedy stoją przy myciu”. Jasza z trudem przekładał słowa hebrajskie. Zrozumiał, o co chodzi – że potrzebna jest dyscyplina. Jeśli mężczyzna nie patrzy, to nie pożąda, a kiedy nie pożąda, to nie grzeszy. Lecz jeżeli ktoś złamał dyscyplinę i spojrzął, to kończyło się to złamaniem siódmego przykazania. Otworzył książkę i natrafił na tekst dotyczący tego właśnie problemu, który zaprzętał mu umysł.

Odłożył tom; po chwili znów go wziął i pocałował. Ta książka żądała przynajmniej czegoś od niego. Wyznaczała sposób postępowania, jakkolwiek było to postępowanie trudne. Zwykle zaś dzieła o sprawach doczesnych nie żądały niczego. Autorzy nie dbali o to, czy zabija, kradnie, cudzołoży, niszczy siebie i innych. Często spotykał literatów w kawiarniach i teatrach; zajęci byli całowaniem pań w rękę, rozdzielaniem komplementów na prawo i lewo, stale narzekali na wydawców i krytyków.

Zawołał dorożkę i kazał się wieźć na Freta. Wiedział, że Magda zrobi scenę, przepowiadał więc sobie w myśli, co jej powie: „Droga Magdo, ja nie żyję. Weź wszystko, co posiadam, mój złoty zegarek i pierścień z brylantem, moich kilka rubli i jedź do domu. Przebac mi, jeżeli potrafisz”.

W dorożce Jasza poczuł takie przerażenie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył. Bał się czegoś, ale nie wiedział czego. Dzień był gorący, a on trząsał się z zimna. Miał dreszcze. Palce mu zbieleły i zgięły się, koniuszki pomarszczyły jak u osoby śmiertelnie chorej czy u trupa. Serce miażdżyła mu jak gdyby olbrzymia pięść. „Co mi jest? – pytał siebie. – Czy nadeszła moja ostatnia godzina? Czy obawiam się aresztowania? Czy tęsknię za Emilią?”. Nadal miał dreszcze, chwycił go kurcz; z trudem oddychał. Sytuacja była tak rozpaczliwa, że zaczął sam siebie pocieszać: „Przecież nie wszystko jeszcze stracone. Mogę żyć bez nogi. A może znajdę jakieś rozwiązanie. Nawet jeśli mnie aresztują, to jak długo mogą mnie trzymać? Ostatecznie tylko usiłowałem popełnić włamanie, nic jednak nie zrobiłem”. Oparł się o siedzenie. Chciał postawić kołnierz surduta, co było jednak zbyt kłopotliwe w taki gorący dzień. Wsunął jednak palce pod surdut, aby je ogrzać. „Co się dzieje? Czy to może gangrena?” – zadał sobie pytanie. Chciał rozwiązać sznurowadło, lecz gdy się pochylał, omal nie spadł z siedzenia. Dorożkarz odgadł widocznie, że coś się dzieje z jego pasażerem, bo wciąż się obracał. Jasza zauważył, że przechodnie również mu się przyglądają. Niektórzy nawet przystawali, wpatrując się w niego.

– Co panu? – spytał zaniepokojony dorożkarz. – Może się zatrzymać?

– Nie, proszę jechać.

– Może powinienem zawieźć pana do apteki?

– Nie, dziękuję.

Dorożka częściej stała niż jechała, natykając się wciąż na fury załadowane drewnem i workami mąki, i na olbrzymie furgony. Konie pociągowe uderzając grubymi nogami o kocie łby, krzeszały iskry. W jakimś miejscu przejechali obok konia, który się potknął i upadł. Po raz trzeci tego dnia Jasza minął bank na Rymarskiej. Tym razem nawet nie rzucił okiem na ten budynek. Opuściło go zainteresowanie bankami i pieniędzmi. Teraz czuł nie tylko strach, lecz także obrzydzenie do siebie. To uczucie było tak silne, że napadły go mdłości. „Może coś się stało Esterze?” – przyszło mu nagle na myśl. Przypo-

mniał sobie sen, który miał kiedyś, ale właśnie gdy zaczął nabierać kształtów, umknął mu bez śladu. Co to mogło być? Zwierzę? Werset z *Pisma*? Trup? Zdarzało się, że co noc trapiły go sny. Śnił o pogrzebach, potworach, czarownicach, trędowatych. Budził się zlany potem. W ostatnich tygodniach jednak niewiele miał snów. Wyczerpany, zasypiał mocno. Niejednokrotnie budził się w tej samej pozycji, w której zasnął. Wiedział jednak, że noc nie była pozbawiona snów. We śnie prowadził inne życie, jakąś odmienną egzystencję. Od czasu do czasu przypominał sobie sen o lataniu czy innej sztuczce wbrew prawom natury, o czymś dziecinnie śmiesznym, opartym na dziecinnym nieporozumieniu, a może nawet na błędzie słownym lub gramatycznym. Sen był widocznie tak fantastycznie pozbawiony sensu, że na jawie umysł odzęgnywał się od niego. Przypomniawszy go sobie i natychmiast zapomniał.

Wysiadłszy z dorożki, uspokoił się trochę. Wszedł z wolna na schody, opierając się o poręcz. Nie miał ani klucza do mieszkania, ani wytrychu. Jeśli Magdy nie ma w domu, będzie musiał czekać na klatce schodowej. Ale nie, stróż Antoni też miał klucz. Jasza, zanim zapukał, przyłożył ucho do drzwi. Wewnątrz panowała zupełna cisza. Zapukał, ledwo jednak dotknął klamki, drzwi się otworzyły. Gdy wszedł do frontowego pokoju, oczom jego przedstawił się okropny widok: Magda zwisała z sufitu, pod nią leżało wywrócone krzesło. Natychmiast zrozumiał, że nie żyje. Nie krzyknął, nie wybiegł, lecz stał jak wryty i gapił się na nią. Miała na sobie jedynie halkę. Jej bosa stopy zsiniały. Nie widział twarzy, tylko szyję i opadający na nią węzeł włosów. Wyglądała jak ogromna lalka. Chciał się ruszyć, odciąć ją i nadal stał bezradnie. Gdzie jest nóż? Musi sprowadzić pomoc! Wiedział o tym, wstydził się jednak spotkać z sąsiadami. Wreszcie otworzył drzwi i zawołał:

– Pomocy!

Krzyk nie był zbyt głośny i nikt nie odpowiedział. Próbował wołać głośniejszym głosem, ale nie potrafił. Opanowało go niemal dziecinnie pragnienie ucieczki, mimo to otworzył drzwi do sąsiedniego mieszkania i zawołał:

– Musicie mi pomóc. Stało się coś strasznego!

Mieszkanie pełne było bosych, półnagich dzieci. Przy kuchni sta-

ła tęga, jasnowłosa kobieta, która zwróciła do niego spoconą twarz. Właśnie obierała cebulę. Widząc go, zapytała:

– O co chodzi?

– Proszę przyjść! Potrzebuję pomocy! Magda... – Nie mógł dalej mówić.

Kobieta poszła za nim do jego mieszkania i natychmiast zaczęła zawodzić. Chwyła go za ramiona.

– Niech ją pan odetnie, niech ją pan odetnie! – rozkazała.

Chciał jej posłuchać, ale kobieta przywarła do niego i wrzeszczała mu w ucho, wciąż trzymając nóż i cebulę. Omal Jaszy ucha nie odcięła. Niebawem nadbiegli inni mieszkańcy domu. Jasza zobaczył, jak jeden z nich dłubie przy sznurze, podnosi Magdę i rozluźniając pętlę, zdejmuje jej sznur przez głowę. On sam cały czas stał nieruchomo. Teraz zabrano się do przywracania jej do życia, unoszono i opuszczano ręce, ciągnięto za włosy i oblewano wodą. Z każdą minutą przybywało ludzi. Stróż z żoną zjawił się wcześniej. Ktoś pobiegł po policjanta. Jasza nie widział twarzy Magdy, tylko jej bezwolne ciało, które poddawało się wszystkim zabiegom z niestawiającą oporu wiotkością zmarłych. Jakaś kobieta uszczypnęła trupa w policzek i przeżegnała się pospiesznie. Dwie stare baby rzuciły się sobie w ramiona i zdawały się spiskować w milczeniu. Dopiero wtedy Jasza uświadomił sobie, że żaden odgłos nie dolatuje z drugiego pokoju. Wszedł tam i zastał wszystkie zwierzęta nieżywe. Widocznie Magda je udusiła. Małpka leżała z otwartymi oczami. Kruk zamknięty w klatce, wyglądał jak wypchany. Papuga leżała na boku, z zaschlą kroplą krwi na dziobie. Dlaczego Magda to zrobiła? Bez wątpienia po to, żeby nie narobiły hałasu. Jasza pociągnął kogoś za rękaw, aby mu pokazać, co się stało. W mieszkaniu był już policjant. Wyjął notes i zapisał, co mu Jasza powiedział.

Przychodzili jeszcze inni: lekarz, urzędnik cywilny, drugi policjant. Jasza spodziewał się natychmiastowego aresztowania. Chciał, żeby go zabrali do więzienia, ale urzędnicy wyszli i tylko nakazali, żeby trupa nie ruszać. Na koniec poszli sobie inni mężczyźni i wrócili do swych zajęć: jeden był szewcem, drugi bednarzem. Pozostały tylko dwie kobiety: gruba, ta która obierała cebulę, i siwa starucha o twa-

rzy obsypanej brodawkami. Ciało złożono na jednym z łóżek. Gruba kobieta zwróciła się do Jaszy:

– Trzeba ją będzie ubrać do trumny. Była katoliczką.

– Proszę zrobić wszystko, co trzeba.

– Musimy zawiadomić parafię. Rosjanie będą chcieli przeprowadzić oględziny zwłok.

Wreszcie Jasza pozostał sam. Chciał pójść do Magdy, ale bał się – powróciła jego dziecięca obawa przed umarłymi. Otworzył okna, jak gdyby chciał pozostać w kontakcie z podwórzem, i zostawił uchylone drzwi. Nie śmiał spojrzeć znów na zwierzęta, mimo że miał na to ochotę; lękał się także ich milczenia. W mieszkaniu panowała cisza śmierci, cisza brzemienna zduszonymi krzykami. Z korytarza dochodził jednak wciąż pomruk szepczących głosów. Jasza stał pośrodku pokoju i patrzył przez okno na bladobłękitne niebo, w które wlatywał ptak. Nagle posłyszał muzykę. Na podwórze wszedł uliczny muzykant. Grał starą polską melodię, balladę o dziewczynie, którą porzucił kochanek. Dokoła muzykanta zebrały się dzieci, a Jasza poczuł dziwną wdzięczność do kataryniarza. Jego melodia wygnała ciszę śmierci. Jak długo grał, Jasza mógł spojrzeć na Magdę.

Nie od razu zbliżył się do łóżka, zatrzymując się na progu sypialni. Kobiety przykryły twarz martwej szalem. Zawahał się przez chwilę, po czym podszedł i podniósł szal. Nie znalazł Magdy, lecz figurę uformowaną z jakiejś nieżywej substancji, z wosku czy parafiny: wszystko wydawało się obce, nos, usta. Tylko wystające kości policzkowe utrzymały pewne podobieństwo. Uszy były białe jak kość, powieki zmarszczone, jak gdyby gałki oczne już się zapadły. Na gardle widniała sinobrazowa pręga po sznurze. Usta milczały, mimo że krzyczała – był to krzyk, którego żaden śmiertelnik długo by nie zniósł. Opuchnięte i spieczone usta wołały: „Patrz, co mi zrobiłeś! Patrz! Patrz!”. Jasza chciał przykryć jej twarz, ale ręce miał jak sparaliżowane i nie mógł się poruszyć. Prawdopodobnie to ta sama Magda, która kłóciła się z nim tego ranka, która później przyniosła mu garnek wody ze studni; tamtą Magdę mógł jednak prosić o wybaczenie i ugłaskać ją. Ta, która leżała bezwładnie na łóżku, przeszła do wieczności, odcięła się zarówno od dobra, jak i od zła. Przekroczyła przepaść, przez którą nie można przerzucić mostu. Jasza dotknął jej

czoła. Nie było ani zimne, ani ciepłe, nie miało w ogóle temperatury. Po czym Jasza podniósł jej jedną powiekę. Żrenica była jak u osoby żywej, ale wpatrywała się w nicość; nawet nie w samą siebie.

3

Przyjechał karawan i Magdę zabrano. Potężny mężczyzna w niebieskim fartuchu i ceratowej czapce, częściowo tylko skrywającej jasną czuprynę, wziął ją jedną ręką, niczym kurczaka, położył na noszach i przykrył jutowym workiem. Zawołał coś do Jaszy i podał jakiś dokument. Pomagał mu niski mężczyzna o podkreconych wąsach, który również zdawał się czymś rozgniewany. Pomocnik śmierdział alkoholem i ten zapach nasunął Jaszy myśl o wypiciu czegoś. Ból i strach stały się nieznośne. Słuchał, jak obaj mężczyźni schodzą ze schodów. Z drugiej strony drzwi dochodziły szepty. Zwykle krewni ukrywali ciało przed urzędnikami, żeby uniknąć sekcji zwłok. Jasza uświadomił sobie, że powinien był załatwić jakoś sprawę z księdzem, ale wszystko stało się za szybko. Kręcił się po prostu, nic nie robiąc. Wiedział, że sąsiedzi, zdziwieni jego osobliwym zachowaniem, rozprawiają o nim. Nie towarzyszył nawet ciału Magdy do karawanu; ogarnął go jakiś dziecięcy wstyd. Wyszedłby, gdyby nie oznaczało to spotkania z sąsiadami, czekał więc na rozejście tłumu. Kiedy to nastąpiło, w mieszkaniu było prawie ciemno. Stał, patrząc w jakiś punkt zatrzasku w drzwiach, i czuł się osaczony ze wszystkich stron przez tajemnicze siły. Za nim cisza szeleściła i sapała. Bał się odwrócić głowę. Jakiś mroczny kształt czał się w pobliżu, gotów rzucić się na niego i zaatakować go zębami i pazurami – coś potwornego i bezimiennego. Znał tę obecność od dzieciństwa. Objawiała mu się w koszmarach. Upewniał siebie, że jest to wytwór jego wyobraźni, jednakże nie potrafił odmówić mu istnienia. Wstrzymał oddech. Takiego przerażenia nie da się znieść dłużej niż przez kilka sekund.

Na zewnątrz hałasy przycichły i Jasza rzucił się do drzwi. Próbowił je otworzyć, ale nie drgnęły. „Czy oni mnie nie wypuszczą?” – przeraził się. Szarpnął za klamkę i nagle drzwi otworzyły się, jakby uderzone powiewem wiatru. Dostrzegł umykający ciemny kształt; o mało nie zabił kota. Oblał się cały potem. Trzasnąwszy drzwiami,

zbiegł po schodach, jakby go ktoś gonił. Zobaczył, że stróż stoi sam na podwórku, i zaczął czekać, póki tamten nie wrócił do swojej izdebki. Serce nie tyle mu biło, ile trzepotało się. Szczypała go skóra na głowie. Coś łąziło mu po plecach. Nie czuł takiego przerażenia jak przed chwilą, wiedział jednak, że nie wróci już do mieszkania.

Stróż zamknął drzwi do swojej izby i Jasza wybiegł przez bramę. Teraz znów poczuł głuchy ból w stopie. Szedł tuż przy murze, pragnąc gorąco, aby go nie widziano, a przynajmniej, aby nie być świadomym, że go obserwują. Dotarł do Franciszkańskiej i szybko skręcił, jak mały chłopiec uciekający z chederu na wagary. Zdawało się, że wypadki ostatniej doby zamieniły go na powrót w dziecko, w przestraszonego, poczuwającego się do winy uczniaka, dręczonego lekami, z których nie mógł się zwierzyć nikomu, i uwikłaniami, których żaden obcy by nie zrozumiał. Jednocześnie obdarzony był trzeźwym spojrzeniem dojrzałego człowieka – kogoś, kto śni i wie, że śni.

Upić się? Czy jest w pobliżu jakaś karczma? Karczmy są na Freta, ale wszyscy go tam znali. Z drugiej strony, na Franciszkańskiej, mieszkali tylko Żydzi; tutaj się nie piło. Przypomniał sobie knajpę gdzieś na Bugaju, jak się tam jednak dostać, nie przechodząc przez Freta? Skierował się na Nowiniarską i wyszedł na ulicę zwaną Bolesć. „Wszystkie ulice powinny się tak nazywać – powiedział do siebie. – Cały świat to jeden wielki ból”. Minął ulicę Bugaj i zawrócił. Dziewczyny uliczne stały już pod latarniami i koło bram, choć wieczór jeszcze nie zapadł; żadna jednak go nie zaczepiła. „Czy jestem tak odrażający, że nawet one nie interesują się mną?” – pomyślał. Zbliżył się wysoki robotnik w kraciastej chustce, granatowej czapce i butach z krótkimi cholewkami. Miał wąską, zapadniętą, na pół zjedzoną twarz, a zamiast nosa czarny plaster na sznurku. Małeńka prostytutka, która nie sięgała mu nawet do pasa, podeszła do niego i zabrała ze sobą. Jasza widział, jak mu się nogi trzęsły. Dziewczyna nie miała więcej niż piętnaście lat. „Czego się boi? – spytał kpiąco jakiś wewnętrzny głos. – Syfilisu?”.

Jasza poszedł do Bugaju, jednakże traktiernia, którą zapamiętał, zniknęła. Czyżby ją zamknięto? Chciał zapytać jakiegoś przechodnia, ale się wstydził. „Co się ze mną dzieje? Dlaczego miałbym się wstydzić jak koza w grzędce kapusty?” – zadał sobie pytanie. Przez cały czas, szukając gospody, wiedział dobrze, że jest gdzieś w pobli-

zu, choć mu się wymykała. Właśnie dlatego, że tak bardzo pragnął, aby go nie zauważono, wszyscy się na niego gapili. „Czyżby mnie tu znali? – zastanawiał się. – Może ktoś z nich był w «Alhambrze»? Nie, to niemożliwe”. Szeptali o nim, śmiali mu się w twarz. Jakiś piesek zawarczał i chapnął go za spodnie. Wstyd mu było odpędzać takie małe stworzenie, choć pies pieniał się z wściekłości i szczekał tak głośno, że wcale nie wydawał się mały. Widać diabeł, który mścił się na Jaszy, nie miał jeszcze dosyć. Stale dodawał mu nowych utrapień. Wtem Jasza spostrzegł szynk. Był tuż obok. Wszyscy zaczęli się nagle śmiać, jak gdyby brali udział w tym żarcie.

Teraz wcale już nie miał ochoty tam wejść; wolałby inne miejsce, ale wydawało mu się, że nie może zawrócić i odejść. Oznaczałoby to poddanie się. Wszedł po trzech stopniach, otworzył drzwi i poczuł uderzenie gorącego powietrza i pary. Odór wódki i piwa mieszał się z czymś jeszcze, oleistym i spleśniałym. Ktoś grał na harmonii, tłum falował, klaskał, tańczył. Wyglądało na to, że wszyscy się tu znajdują jak jedna wielka rodzina. Oczy zaszyły mu mgłą, przez chwilę nic nie widział. Szukał stolika, nie było jednak ani stołów, ani ławek. Czuł się oślepiiony i tak jak gdyby ktoś położył na jego drodze laskę czy przeciągnął sznur, aby go przewrócić. Dotarł jakoś do kontuaru, ale nie mógł przecisnąć się przez tłum, zresztą szynkarz odszedł właśnie na przeciwległy koniec. Jasza włożył rękę do kieszeni spodni, szukając chustki do nosa, lecz jej nie znalazł. Nie mógł poruszyć się ani w przód, ani w tył. Jak gdyby go złapano w potrzask. Z czoła spływały mu wielkie krople potu. W jednej chwili pragnienie wypicia czegoś zmieniło się w obrzydzenie. Mdłości powróciły i płomieniste iskierki znów tańczyły mu przed oczami: dwie duże iskry, wielkie niemal jak węgielki.

– Czego pan sobie życzy? – zagadnął go ktoś zza lady.

– Ja? – spytał Jasza.

– A któż by?

– Chciałbym szklanek herbaty. – Sam zdumiał się własnymi słowami.

Tamten się zawahał.

– To nie herbaciarnia.

– Wobec tego wódkę.

- Kieliszek czy butelkę?
 - Butelkę.
 - Kwartę czy pół litra?
 - Pół.
 - Czterdziesto– czy sześćdziesięcioprocentowej?
 - Sześćdziesięcio.
- Dziwne, ale nikt się nie roześmiał.
- Coś do jedzenia?
 - I owszem.
 - Solankę?
 - Wystarczy.
 - Proszę usiąść, przyniosę zamówienie.
 - Gdzie się tu siedzi?
 - A jak pan myśli?

I wtedy Jasza spostrzegł stolik. Zupełnie jak podczas pokazów hipnozy, o jakich czytał w czasopiśmie i jakie sam nieraz przeprowadzał.

4

Usiadł przy stoliku i dopiero wtedy poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Nie wytrzymał już ucisku buta na lewej nodze, wsunął więc rękę pod stół i usiłował rozwiązać sznurowadło. Przypomniał sobie ustęp z *Pięcioksięgu*: „Otom ja bliski śmierci, cóż mi po pierworództwie?”.

Nagle opuściły go strach, niepokój, zażenowanie. Było mu obojętne, czy ktoś mu się przypatruje lub drwi z niego. Nie potrafił rozplatać sznurowadła, szarpnął więc tak silnie, że je urwał. Zdjął but, ze skarpetki wionęło niezdrowe gorąco. „Tak, wdała się gangrena... Niedługo dołączę do Magdy!” Stopa puchła mu pod palcami jak owo ciasto, o którym opowiadał fryzjer. „Ciekawym, o której tu zamykają? Nie wcześniej”. Pragnął tylko jednego: siedzieć i odpoczywać. Przytknął oczy i otoczył się mrokiem swojego jestestwa. Gdzie jest teraz Magda? Co z nią zrobiono? Pewnie już przeprowadzili sekcję studen-

ci uczący się anatomii. Obsunął się, jakby przygnieciony ciężarem tej okropności. Co powie jej matka? Jej brat? Tyle kar za jednym zamachem!

Ktoś przyniósł butelkę wódki i kieliszek wraz z koszykiem solanek. Jasza nalał sobie pół kieliszka i wypił szybko, jak lekarstwo. Zapieкло go w nosie, piekło także w gardle i oczach. „Może powinienem potrzebować tym moją nogę – pomyślał. – Podobno alkohol pomaga na takie rzeczy”. Nalał trochę wódki na dłoń i wmasował w kostkę. „E, i tak jest za późno!” Po czym wypił drugi kieliszek. Alkohol uderzył mu do głowy, ale nie polepszył samopoczucia. Wyobraził sobie, że Magdzie odcięto głowę, otwarto brzuch. A przecież tylko kilka godzin temu przyniosła z targu kurczaka na obiad „Dlaczego to zrobiła? Dlaczego?” – krzyczało w nim coś. Opuszczał ją już dawniej. Znała wszystkie jego tajemnice. Była tolerancyjna. Wręcz niewiarygodne, że wczoraj o tej samej porze cieszył się dobrym zdrowiem i zamierzał wykonać salto na linie, a Magda i Emilia należały wciąż do niego. Nieszczęście spadło na niego jak na Hioba. Jedno złe stąpnienie i stracił wszystko... wszystko...

Istniało teraz tylko jedno wyjście: czas zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie kurtyny. Ale jak? Skoczyć do Wisły? To byłby straszny cios dla Estery. Nie mógł zostawić jej niczym porzuconej żony. Przynajmniej mógł dla niej zrobić tyle i urządzić wszystko tak, aby mogła powtórnie wyjść za mąż... Ledwie mógł się powstrzymać od wymiotów. Tak. Śmierć jest jego panem. Życie machnęło na niego ręką.

Trzymał butelkę w ręce, ale nie mógł już pić. Harmonia wciąż grała starego mazurka. Gwar się wzmaczał. Postanowił już wprawdzie umrzeć, musiał jednak gdzieś spędzić noc. Coś jeszcze należało przemyśleć. Dokąd jednak mógł pójść ze swą chorą nogą? Gdybyż to był dzień! O tej porze wszystko jest zamknięte. Hotel? Który? Jak tam dojść z nogą w takim stanie? Prawdopodobnie w tej okolicy nie znajdzie dorożki. Chciał włożyć but, ale ten gdzieś znikł. Szukał go, macając, nie było go jednak nigdzie. Czyżby go ktoś ukradł? Otworzył oczy i zobaczył wokół mnóstwo nieprzytomnych oczu i zaczerwienionych twarzy. Wymachiwano rękami, zataczano się, słabe ramiona próbowały walki, dookoła całowano się i ściskano. Kelnerzy w brudnych fartuchach krążyli, przynosząc potrawy i wódkę. Akordeonista

grał, ocierając niemal swe czarne włosy i cienki wąs o instrument, mrużąc oczy z wyrazem egzaltacji. Pochylony, dotykał prawie podłogi posypanej trocinami. W traktierni musiało być jeszcze jedno pomieszczenie, bo dochodziły skądś dźwięki fortepianu. Wokół lampy naftowej wił się opar. Naprzeciw Jaszy siedział olbrzymi mężczyzna z ospowatą twarzą, miał długie wąsy, krótki krostowaty nos i bliznę przecinającą czoło. Wciąż robił grymasy do Jaszy. Toczył w uniesieniu wodnistymi, zezowatymi oczami w ekstazie na krawędzi szaleństwa.

Jasza dotknął buta i schylił się po niego. Usiłował go włożyć, ale but już nie pasował. Przywiodło mu to na pamięć historię o Neronie, której uczono w chederze; ten usłyszawszy o śmierci swego ojca, uznał, że obuwie stało się za małe dla niego, albowiem jest napisane: „Od dobrej wieści tyją kości”. Jakież to wszystko wydawało się teraz odległe: jego nauczyciel, reb, Mosze Godle, dzieci, tom *Talmudu* zawierający opowieść o zniszczeniu świątyni, którą studiuje się przed dziewiątym dniem miesiąca Aw. „No, nie mogę tu siedzieć aż do zamknięcia! Muszę poszukać jakiegoś miejsca do spania”.

Wepchnął stopę do buta, ale go nie zasznurował, po czym usiłował zwrócić na siebie uwagę kelnera, dzwoniąc kieliszkiem o butelkę. Olbrzym po drugiej stronie przejścia roześmiał się i Jasza dostrzegł jego połamane zęby. Zdawało się, że obaj z Jaszą zamieszani są w jakiś wielki żart. Jak taki człowiek żyje? – zapytał siebie Jasza. – Pijany czy wariat? Czy ma kogoś na tym świecie? Czy pracuje? Może to, przez co ja teraz przechodzę, jemu się już przydarzyło?”. Ślina ciekła olbrzymowi z ust; śmiał się tak serdecznie, że łzy płynęły mu z oczu. A przecież jest czyimś ojcem, mężem, bratem, synem. Rysy jego tchnęły dzikością. Przebywał jeszcze w owej pierwotnej puszczy, w której wyrosła ludzkość. „Tacy ludzie umierają, śmiejąc się”, pomyślał Jasza. I wtedy zjawił się wreszcie kelner. Jasza zapłacił rachunek i wstał. Ledwo mógł chodzić. Każdy krok przyprawiał go o dotkliwy ból.

Było już bardzo późno, na Bugaju jednak wciąż roiło się od ludzi. Kobiety siedziały na gankach, na stołkach, na skrzyniach. Kilku szewców przeniosło swoje warsztaty na dwór i wywijają młotkiem przy świecach. Nawet dzieci nie spały jeszcze. Od strony Wisły wiał wiatr, niosąc woń siarki. Ze ścieków biły wstrętne zapachy. Ponad

dachami niebo lśniło poświatą jakby dalekiego ognia. Jasza rozglądał się za dorożką, ale niebawem zrozumiał, że mógłby tu spędzić całą noc, czekając, aż coś zajedzie. Ruszył Celną, potem Świętojańską i wyszedł na plac Zamkowy. Musiał przystawać co kilka kroków. Było mu gorąco i niedobrze. Przy każdej bramie, pod każdą latarnią stały grupki prostytutek. Dookoła zataczali się pijacy, jak gdyby szukali kogoś, na kogo mogliby się przewrócić. Jakaś kobieta siedziała w otwartych drzwiach pod balkonem. Włosy miała potargane, oczy płonące radością szaleństwa, w ramionach trzymała koszyk pełen szmat. Jasza schylił głowę, odbiło mu się i poczuł nieznaną gorycz. „Wiem, taki jest świat!”. W co drugim lub trzecim domu leżał trup. Tłumy kręciły się po ulicach, spały na ławkach, leżały na brzegach Wisły pośród plugastwa. Miasto otaczały cmentarze, więzienia, szpitale, domy wariatów. Na każdej ulicy i w każdym zaułku czaili się mordercy, złodzieje, degeneraci. Wszędzie widać było policjantów.

Jasza spostrzegł dorożkę i skinął na nią, ale dorożkarz obejrzawszy go, pojechał dalej. Pojawiła się inna dorożka, lecz także się nie zatrzymała. Zatrzymała się dopiero trzecia, choć jakby z wahaniem. Jasza wszedł.

- Proszę mnie zawieźć do hotelu.
- Do którego?
- Obojętne. Po prostu do hotelu.
- Może do Krakowskiego?
- Dobrze, do Krakowskiego.

Dorożkarz trzasnął z bicia i pojazd ruszył przez Podwale na ulicę Miodową i Nowosenatorską. Na placu Teatralnym było jeszcze tłumnie, roило się od powozów. Widocznie dawano specjalne przedstawienie w operze. Mężczyźni nawoływali się, kobiety się śmiały. Nikt w tym tłumie nie wiedział, że osoba imieniem Magda powiesiła się ani że sztukmistrz z Lublina znosi katusze. „Śmiech i zabawa trwać będą, póki tamci ludzie również nie obróćą się w pył” – powiedział do siebie Jasza. Wydawało mu się teraz dziwne, że wytężał każdą myśl na jawie po to, by tę hałastrę zabawić. „Czego szukałem? Żeby ci tańczący na grobach zachowali dla mnie nieco swych oklasków? Czy dlatego stałem się złodziejem i mordercą?”.

Dorożka zatrzymała się przed Hotelem Krakowskim i w tym mo-

mencie Jasza uświadomił sobie, że wyprawa była bezużyteczna: nie miał ze sobą dowodu tożsamości.

5

Jasza zapłacił dorożkarzowi i polecił mu zaczekać. Spróbował namówić portiera, aby mu wynajął pokój, mimo iż nie miał papierów, ale karłowaty osobnik za biurkiem okazał się nieustępliwy.

– Nie mogę. To surowo wzbronione.

– Przypuśćmy, że ktoś zgubi papiery? Czy musi umrzeć?

Portier wzruszył ramionami:

– Takie są przepisy.

„Nie wiedzą, co to rozsądek” – jakiś wewnętrzny głos zacytował Jaszy. W ten sposób ojciec Jaszy określał rosyjskie przepisy.

Jasza wyszedł i zdążył jeszcze zobaczyć odjeżdżającą dorożkę; ktoś go przelicytował. Usiadł na progu sąsiedniego budynku. To już druga z kolei przewędrowana noc. „Sprawy posuwają się szybko – pomyślał – jutro wieczorem będę chyba spał w grobie”. Tutaj też nie brakowało prostytutek. Po drugiej stronie ulicy dojrzał kobietę ubraną na czarno, z długimi kolczykami. Wyglądała niemal na gospodynię domową w średnim wieku, ale rzuciła mu spojrzenie prostytutki. Najwidoczniej była jedną z owych nie zarejestrowanych, z tych, co oferują siebie na podwórzach lub w bramach. Spojrzała na niego wprost, jak gdyby chciała go zahipnotyzować; jej wzrok przyłgnał do niego błagalnie. Zdawała się mówić: „Skoro jesteśmy w podobnym położeniu, to czemu nie razem?”. Latarnia oblewała ją żółtym światłem i Jasza widział zmarszczki na jej twarzy, linie na czole, róż, którym posmarowała policzki, tusz wokół wielkich ciemnych oczu. Nie miał siły nawet na współczucie – odczuwał jedynie zdumienie. „Wiec to w ten sposób działają czynniki miarodajne – pomyślał – igrają z człowiekiem, a potem odrzucają go jak nieczystość. Ale dlaczego właśnie jego? Dlaczego tę kobietę? W czym jest gorsza od wypieszczonych dam siedzących w łóżach opery i spoglądających przez lornetkę na publiczność? Czy wszystko zależało od przypadku? Jeśli tak, to i Bóg był przypadkiem. Ale co to jest przypadek? Czy

wszechświat to przypadek? A jeśli nie, to czy tylko jego część była przypadkiem?”.

Spostrzegł nadjeżdżającą dorożkę i skinął na dorożkarza. Zatrzymała się i Jasza wsiadł. Kobieta po drugiej stronie ulicy patrzyła na niego z wyrzutem. Jej oczy zdawały się mówić mu: „Czy mnie też porzucisz?”. Dorożkarz odwrócił głowę, lecz Jasza nie wiedział, co mu powiedzieć. Chciał jechać do szpitala, ale posłyszał, że mówi:

- Na Niską.
- Jaki numer?
- Nie pamiętam numeru. Pokażę.
- Dobrze.

Wiedział, że wizyta u żółtawej kobiety i jej brata – alfonsa z Buenos Aires – o tak późnej godzinie była szaleństwem, nie miał jednak innego wyjścia. Wolski miał żonę i dzieci. Jasza rozumiał, że nie może go nachodzić w stanie, w jakim się znajduje. „Może powinienem obudzić Emilię? – pomyślał. – Nie, nawet Zewtel nie ucieszy się z mojego widoku”. Zastanawiał się, czy nie wsiąść do lubelskiego pociągu, ale zdecydował, że nie. Musi załatwić pogrzeb Magdy. Nie mógł porzucić zwłok i uciec. Zresztą policja z pewnością już wiedziała, że to on włamał się do mieszkania Zaruskiego poprzedniej nocy. Lepiej, żeby go aresztowano tu, w Warszawie, niż w Lublinie. Przynajmniej zaoszczędzi Esterze tego widoku. Poza tym w Piaskach czekał Bolek. Przed laty ostrzegł przecież Jaszę, że go zabije. Najlepszym rozwiązaniem byłby wyjazd z kraju. Może do Argentyny. Ale w stanie, w jakim znajdowała się jego noga...

Dorożka jechała Tłomackiem, Leszmem, a następnie Żelazną. Tam skręciła w Smoczą. Jasza nie drzemał, tylko siedział skulony, jak gdyby mu było zimno z gorączki. Teraz bardziej nękała go niewłaściwość wizyty u Zewtel o tej porze i wstyd przyznania się jej i jej gospodarzom do owej sytuacji aniżeli żal za Magdą czy groźba utraty stopy. Wyjął z kieszeni grzebień i przeczesał włosy. Poprawił krawat. Przeraziła go myśl o położeniu finansowym. Pogrzeb będzie kosztował kilkaset rubli, a on nie miał nic. Mógłby sprzedać parę koni, tylko że policja go szukała i zaaresztuje go, gdy tylko wejdzie do mieszkania na Freta. Najrozsądniej byłoby oddać się w ręce policji. Dostałby wszystko, czego potrzebuje: miejsce do spania, opiekę

lecarską. „Tak, to jedyne rozwiązanie – pomyślał. – Ale jak to zrobić? Zatrzymać policjanta? Kazać się zawieźć na komisariat?”. Jak na tamtych ulicach roiło się od stróżów prawa, tak tu nie było ani jednego. Ulica wyludniona, wszystkie bramy zaryglowane, wszystkie okna zamknięte. Przyszło mu na myśl, by kazać się wieźć do najbliższego komisariatu policji, wstydził się jednak dorożkarza. „Pomyśli, że zwariowałem – zdecydował. – Sam fakt, że kuleję, wydał mu się podejrzany”. Acz ogarnięty niepokojem, Jasza nie mógł wyzbyć się dumy i próżności. „Najlepszym rozwiązaniem jest śmierć! Skończę z tym. Może nawet tej nocy!”.

Uspokoił się nagle, powziąwszy tę decyzję. Jak gdyby przestał myśleć. Dorożka skręciła w Niską i skierowała się z powrotem na wschód w stronę Wisły, ale Jasza nie mógł sobie przypomnieć, który to dom. Był pewien, że stał tam parkan z furtką, tymczasem żadnego takiego podwórka nie zauważył. Dorożka się zatrzymała.

– Czy to nie jest bliżej Okopowej?

– Tak, możliwe.

– Nie mogę zawrócić.

– To ja tu wysiądę i sam znajdę – rzeki Jasza, świadom głupoty tego, co mówi, każdy krok kosztował go przecież tyle wysiłku.

– Jak pan sobie życzy.

Zapłacił i wysiadł. Chora noga zeszywniała mu w kolanie. Dopiero po odjeździe dorożki Jasza zorientował się, jakie panowały tu ciemności. Świeciło tylko kilka zakopconych, z rzadka rozstawionych latarni. Ulica była niebrukowana, pełna dołów i gór. Jasza rozejrzał się, lecz nie widział nic. Ulica przypominała wiejską drogę. „Może to nie jest nawet Niska! Może to Miła albo Stawki?” Poszukał zapałek, choć wiedział, że nie ma ich w kieszeni. Ruszył, kulejąc, w stronę Okopowej. Jego przyjście tutaj to szaleństwo. „Skończyć ze wszystkim? W jaki sposób? Nie można powiesić się ani otruć na środku ulicy. Iść nad Wisłę? Ale to daleko, kilka wiorst”. Od cmentarza powiał wietrzyk. Nagle zachciało mu się śmiać. Czy kiedykolwiek ktośkolwiek stał wobec takiego dylematu? Pokuśtykał aż do Okopowej, lecz dom, którego szukał, gdzieś znikł. Podniósł oczy i zobaczył czarne niebo usiane gwiazdami, interesujące się tylko swymi niebiańskimi sprawami. Kogo obchodził sztukmistrz na Ziemi, który pozwo-

lił schwytać się w pułapkę? Jasza pokulał na cmentarz. Tamte życia już się skończyły, ich rachunki są zamknięte. Gdyby znalazł otwartą bramę i otwarty grób, położyłby się doń i urządził swój własny przyzwoity, żydowski pogrzeb.

Cóż mu innego pozostało?

6

Wrócił jednak tam, skąd przyszedł. Przyzwyczał się do bólu w nodze. Niech szarpie, niech piecze, niech ropieje! Dotarł do Smoczej i szedł dalej. Nagle dostrzegł poszukiwany dom. Oto i on: parkan, wejście. Dotknął bramy i otworzyła się na oścież, odsłaniając schody wiodące do mieszkania siostry Hermana. Lokatorzy nie spali; przez okno widział światło lampy. „Ano, los jeszcze nie chce, żebym umarł!” Wstyd mu było, że przychodzi nie zaproszony, kulejący, potargany, dodał sobie jednak odwagi myślą, że ostatecznie takie rzeczy już się zdarzały. „Nie wyrzucą mnie. A jeśli wyrzucą, to Zewtel pójdzie ze mną. Kocha mnie”. Lampa świecąca w ciemności wróciła mu życie. „Zrobią coś z moją nogą. Może da się uratować” Rozważał, czy zwołać Zewtel, aby uprzedzić ich o swoim przyjściu i zdecydował, że byłaby to głupota. Pokulał do schodów i zaczął wchodzić. Hałasował, jak potrafił najgłośniej, aby się zaanonsować. Przygotował sobie powitalne zdanie: „Niespodziewany gość! Zdarzyło się coś bardzo dziwnego”. Lokatorzy musieli być jednak tak zajęci swymi sprawami, że nie słyszeli, co dzieje się na zewnątrz. „No, wszystkiego trzeba doświadczyć – pocieszył się Jasza. – Jaki to napis wygrawerowano na pierścieniu u złotnika? «I to przeminie»”. Zapukał cicho do drzwi, lecz nikt nie odpowiadał. „Są w drugim pokoju” – zdecydował. Zapukał głośniej, nie słychać było jednak żadnych kroków. Stał zawstydzony, upokorzony, gotów wyzbyć się ostatnich strzępków dumy. „Niech to będzie pokutą za moje grzechy” – odezwał się wewnętrzny głos. Pukał jeszcze trzykrotnie, bardzo głośno i wciąż bezskutecznie. Czekał i nasłuchiwał. „Śpią, czy co?” Poruszył klamką i drzwi się otworzyły. W kuchni paliła się lampa. Zewtel leżała na żelaznym łóżku, obok niej Herman. Oboje spali. Herman chrapał mocno i głośno. Wszystkie wewnętrzne głosy słyszane przez Jaszę umilkły. Stał ga-

piąc się, potem odsunął się na bok w obawie, że któreś z nich może otworzyć oczy. Ogarnął go wstyd, jakiego nigdy dotąd nie odczuwał, wstyd nie z powodu tej pary, ale z powodu siebie, upokorzenie kogoś, kto uświadomił sobie, że mimo swej mądrości i doświadczenia pozostał głupcem.

Później nie potrafił uzmysłwić sobie, jak długo tak stał: minutę? kilka minut? Zewtel leżała twarzą do ściany, z jedną obnażoną pierśią, z potarganymi włosami, jak gdyby całkowicie przygnieciona olbrzymim cielskiem Hermana. Ten spał niezupełnie nagi, miał na sobie jakiś rodzaj podkoszulka zagranicznej marki. Może najosobliwsze w tym wszystkim było to, że wątłe łóżko wytrzymało cały ten ciężar. Twarze śpiących wydawały się bez życia i gdyby nie chrapanie Hermana, Jasza pomyślałby, że oboje zamordowano. Dwie zużyte postacie, dwie wyczerpane kukły leżały pod kołdrą. „Gdzie jest jego siostra? – zapytał siebie Jasza, – I dlaczego pozostawili palącą się lampę?”. Dziwił się, a jednocześnie dziwił się, że się dziwi. Czuł smutek, pustkę, bezsilność. Dość to przypominało uczucie, jakiego doświadczył kilka godzin wcześniej, gdy znalazł Magdę nieżywą. Dwukrotnie tego samego dnia odsłonięte mu to, co powinno pozostać w ukryciu. Spojrzał w twarz śmierci i rozpuście, i zobaczył, że się od siebie nie różnią. Stojąc tak i patrząc, zrozumiał, że przechodzi jakąś zmianę, że nigdy już nie będzie tym samym Jaszą. Ostatnia doba niepodobna była do żadnego poprzedniego dnia. Podsumowała całe jego wcześniejsze życie, a czyniąc to, położyła na nim pieczęć. Zobaczył rękę Boga. Dotarł do kresu drogi.

Epilog

1

Upłynęły trzy lata. W gwarze rozmów w pokoju frontowym Estera i jej dwie szwaczki wykańczały ślubną suknię. Była tak suta i miała tak długi tren, że zajmowała cały stół. Estera i dziewczęta uwijały się przy niej jak krasnoludki wykonujące zbroję dla olbrzyma. Jedna fastrygowała, druga przyszywała tasiemki. Estera z żelazkiem w ręku wygładzała wszelkie zgniecenia między falbankami, wciąż sprawdzając temperaturę żelazka palcem. Co chwilę spryskiwała wodą z dzbanka miejsce, które zamierzała wyprasować. Chociaż niełatwo się pociła, nawet podczas upału, to czoło jej pokryło się kropelkami potu. Cóż mogłoby być gorszego nad wypalenie dziury w ślubnej sukni? Jedna brązowa plama i cała robota na nic. Jednakże czarne oczy Estery błyszcząły. Jej mała ręka o szczupłym nadgarstku pewnie trzymała żelazko. Estera nie należała do tych, co przypalają suknie.

Co jakiś czas rzucała spojrzenie przez okno wychodzące na dziedziniec. Budynek z cegły czy raczej więzienie, jak go nazywała Estera, stał tam już od przeszło roku, ale nie zdążyła się jeszcze do niego przyzwyczaić. Czasami zapominała na chwilę, co się stało, i wyobrażała sobie, że to święto Sukot – że na zewnątrz postawiono szałas. Zwykle to właśnie okno było zasłonięte, dziś jednak potrzebowała światła. Estera postarzała się przez te trzy lata. Skóra pod oczami pokryła jej się siecią zmarszczek, pełna teraz twarz nabrała przejrzałej rumianej barwy. Na głowie miała jak zwykle chustkę, lecz wymykające się kosmyki były bardziej siwe niż czarne. Tylko oczy pozostały młode i błyszcząły jak czarne wiśnie. Trzy lata przeżyła z ciężkim sercem. I dziś nielekko jej było, żartowała jednakże ze swymi pomocnicami, przekomarzając się z nimi na temat młodej pary. Dziewczęta rzucały na siebie porozumiewawcze spojrzenia –

ich pracownia to nie zwykły zakład krawiecki. Ani przez chwilę nie można zapomnieć o obecności małego domku bez drzwi i z niewielkim okienkiem, w którym siedział Jasza Pokutnik, jak go teraz nazywano.

Więść o tym wzbudziła w mieście wielkie podniecenie. Rabin, reb Abraham Eiger, wezwał do siebie Jaszę i ostrzegł go przed dopełnieniem jego zamiarów. To prawda, że na Litwie pewien pustelnik kazał się zamurować, lecz pobożni Żydzi przeciwni są takim praktykom. Świat stworzono po to, by człowiek mógł przejawiać wolną wolę, i synowie Adama muszą nieustannie wybierać między dobrem i złem. Po cóż się zamurowywać? Wolność i powstrzymywanie się od grzechu stanowi istotę życia. Człowiek pozbawiony wolnej woli podobny jest trupowi. Ale niełatwo było przekonać Jaszę. Wiele się nauczył podczas półtora roku pokuty. Zaangażował nauczyciela, który wprowadzał go w tajniki *Miszny, Agad, Talmudu, Midraszu*, a nawet *Zoharu*; przytaczał więc rabinowi przykłady rozmaitych wzorów – świętych, którzy narzucili sobie ograniczenia w obawie przed uleganiem pokusie. Czyż pewien święty nie wyłupił sobie w Rzymie oczu, aby nie patrzeć na swą panią? Czyż pewien Żyd w Szczebrzeszynie nie poprzysiągł milczenia z obawy przed wypowiedzeniem oszczerczego słowa? Czyż pewien muzykant z Kowla nie udawał przez trzydzieści lat ślepcę, aby uniknąć patrzenia na cudzą żonę? Surowe przepisy służyły tylko jako osłony powstrzymujące ludzi przed popełnianiem grzechów. Młodzi ludzie obecni przy debatach Jaszy z rabinem nadal jeszcze o nich dyskutowali. Trudno było uwierzyć, że w ciągu półtora roku ten szarlatan, ten wolnomyśliciel potrafił wchłonąć tyle nauk *Tory*. Rabin dyskutował z nim jak równy z równym. Jasza nie ugiął się w swym postanowieniu. Ostatecznie rabin położył mu dłoń na głowie i pobłogosławił go.

– Twoje zamiary pomyślane są ku chwale Niebios. Niech ci Wszemocy pomoże!

I ofiarował Jaszy miedziany lichtarz, aby mógł zapalić świecę wieczorem lub w dzień pochmurny.

W szynkach Piasków i Lublina wiele osób zakładało się o to, jak długo Jasza wytrzyma w tym istnym grobie. Jedni oceniali, że tydzień, inni że miesiąc. Co do władz miejskich, to zastanawiały się nad legalnością postępowania Jaszy. Nawet gubernatora informowa-

no na bieżąco. Jasza usadowił się spokojnie na krześle, a fale gapiów zalały dom Estery, podczas gdy murarze pracowali. Dzieci wspinały się na drzewa i siedziały na dachach. Pobożni Żydzi przychodzili pomówić z Jaszą i przedyskutować jego motyw, a równie pobożne matrony usiłowały przekonać go, aby zmienił postanowienie. Estera płakała i błagała go, aż zachrypla. Po czym w towarzystwie grupy kobiet udała się na cmentarz, by odwiedzić groby cadyków. Miała nadzieję, że święci owi wstawią się za nią i zmuszą jej męża do porzucenia swych zamiarów. Nie może przecież uczynić z niej porzuconej żony, choć będzie miała swego małżonka pod ręką. Lecz ani uczone perswazje, ani lamenty, ani ostrzeżenia nie przydały się na nic. Mury domku rosły z godziny na godzinę. Jasza wyznaczył sobie przestrzeń o długości tylko czterech łokci i szerokości czterech łokci. Zapisał brodę i pejsy, włożył szeroki tałas kutn, długi chałat i aksamitną jarmułkę. Podczas gdy murarze pracowali, siedział z książką w ręce, mrucząc modlitwy. Wewnątrz nie mieściło się nawet łóżko. Cały majątek Jaszy składał się z siennika, krzesła, małego stolika, płaszczka podbitego futrem do okrycia się, miedzianego lichtarza otrzymanego od rabina, dzbanka wody, kilku świętych ksiąg i łopaty do zagrzebywania ekskrementów. Im wyżej rosły mury, tym głośniejsze stawało się zawodzenie.

Jasza krzyknął do kobiet:

– Po co te jęki? Jeszcze nie umarłem.

– Lepiej by było – z goryczą zawołała w odpowiedzi Estera.

Tłum był tak gęsty i tak głośny, że przybyła konna policja i musiała go rozproszyć. Naczelnik miasta kazał robotnikom pracować w dzień i w nocy, aby położyć kres sensacji. Murarze uporali się z robotą w czterdzieści osiem godzin. Budynek miał dach z gontów i okno, które zamykało się na okiennice od wewnątrz. Ciekawscy nadal przychodzili, póki nie nastąpiły deszcze, po czym liczba gapiów zmalała. Przez cały dzień okiennice były zamknięte. Estera kazała naprawić parkan wokół domu, aby nie dopuszczać obcych. Niebawem stało się jasne, że ci, którzy zakładali się, iż Jasza nie pozostanie zamurowany dłużej niż tydzień lub miesiąc, przegrali. Minęła zima, lato, jeszcze jedna zima, lecz sztukmistrz Jasza, znany teraz jako reb Jakub Pokutnik, nadal przebywał w dobrowolnym więzieniu. Estera przynosiła mu trzy razy dziennie posiłki: chleb z kaszą, ziemniaki

w mundurach, zimną wodę. Trzy razy dziennie przerywał medytacje i żeby jej zrobić przyjemność, rozmawiał z nią przez kilka minut.

2

Na zewnątrz dzień był słoneczny i gorący, ale w celi Jaszy panował mrok i chłód, mimo że przez okiennice przedostawały się do niej promienie słońca i ciepłe powiewy. Od czasu do czasu Jasza otwierał okiennice i do wnętrza wpadał motyl lub trzmiel. Dolatywały go różne odgłosy: ćwierkanie ptaków, ryk krowy, krzyk dziecka. Nie potrzebował palić świecy o tej południowej porze. Siedział na krześle przy stoliku, studiując dwie Tablice Przymierza. Ostatniej zimy przeżył dnie, kiedy pragnął rozwalić ściany i uwolnić się od zimna i wilgoci. Nabawił się ostrego kaszlu. Odczuwał bóle we wszystkich członkach. Zbyt często oddawał moc. Nocą kulił się w ubraniu pod płaszczem i kocem, który Estera wcisnęła przez okno, i nie mógł się zagrzać. Od ziemi ciągnął dokuczliwy mróz, który przejmował go do szpiku kości. Często zdawało mu się, że już jest w grobie, a czasami pragnął nawet śmierci. Teraz znów nadeszło lato. Na prawo od celi rosła jabłoń, słyszał szelest jej liści. W gałęziach zbudowała sobie gniazdo jaskółka i cały dzień uwijała się, przynosząc żdźbła i robaki dla piskląt. Jaszy udało się precyzyjnie przycisnąć głowę przez okno i zobaczyć przed sobą pola, błękitne niebo, dach bóżnicy, wieżę kościoła. Wystarczyło usunąć kilka cegieł, potrafiłby wtedy – wiedział o tym – precyzyjnie przycisnąć się przez okno. Ale myśl, że mógłby w każdej chwili wywalczyć sobie drogę do wolności, głuszyła jego pragnienie opuszczenia celi. Wiedział bardzo dobrze, iż po drugiej stronie muru czaił się niepokój, pożądanie, lęk przed nadchodzącym dniem.

Jak długo siedział w celi, tak długo korzystał z ochrony przed cięższymi wykroczeniami. Nawet kłopoty miał inne niż te z zewnętrznego świata. Jak gdyby stał się z powrotem embrionem w łonie matki i znów światłość, o której wspominał *Talmud*, promieniowała z jego głowy, podczas gdy anioł uczył go *Tory*. Wolny był od wszelkich potrzeb. Jego wyżywienie kosztowało kilka groszy dziennie. Nie potrzebował odzieży ani wina, ani pieniędzy. Śmiał się, gdy przypominał sobie swoje wydatki w czasach warszawskich lub podczas objazdów

na prowincji. Niezależnie od tego, ile zarobił i tak nie wystarczało. Trzymał całą menażerię. Miał pełne szafy ubrań. Stale brnął w nowe wydatki i zadłużył się u Wolskiego; pożyczał pieniądze na procent od lichwiarzy w Warszawie i Lublinie. Bezustannie podpisywał weksle, szukał żyrantów, kupował prezenty i siedział w długach. Folgując swoim namiętnościom, znalazł się w sieci, która oplatała go coraz ciaśniej. Nie wystarczało mu nawet chodzenie po linie. Ciągłe wymyślał coraz niebezpieczniejsze sztuczki, które byłyby go na pewno zgubiły. Spróbował kradzieży i tylko drobny pech uchronił go przed pójściem do więzienia. Tu, w samotności, wszystkie zewnętrzne sprawy opadły z niego jak plewy nazywane przez kabalistów złymi duchami. Przeciął sieć jak nożem. Za jednym zamachem załatwił wszystkie rachunki. Estera sama na siebie zarabiała. Spłacił swoje długi: Elżbiecie i jej synowi, Bolkowi, dał konie i wóz; Wolskiemu pozostawił meble z mieszkania na Freta oraz sprzęt, kostiumy i inne przybory. Teraz Jasza nie posiadał nic poza koszulą na grzbiecie. Tak, ale czy to wystarczało do zmazania grzechów? Czy zdoła odpokutować za popełnione zło, zmniejszając po prostu ciężar, który dźwigał?

Dopiero tutaj, w ciszy swojej celi, mógł Jasza rozważać ogrom swej niegodziwości: liczbę dusz, które skazał na mękę, na szaleństwo, na śmierć. Nie był rabusiem czyhającym w lasach, a jednak zamordował. Co to za różnica dla ofiary, jak się ją zabija? Mógłby uniewinnić się przed sędzią śmiertelnikiem (który sam był niegodziwy), ale Stwórcy nie można ani przekupić, ani oszukać. On, Jasza, niszczył nie w niewinności ducha, lecz świadomie – wołała do niego z grobu Magda. Nie była to jedyna okropna rzecz, którą miał na sumieniu. Teraz przyznawał się do wszystkiego. Gdyby nawet pozostał w celi przez sto lat, to i tak nie odpokutowałby całej swej nieprawości. Takiego śmiertelnego grzechu nie mogła zmazać sama tylko skrucha. Rozgrzeszenie można otrzymać jedynie, prosząc swą ofiarę o przebaczenie i uzyskując je. Jeśli ktoś winien jest choćby pół grosza komuś mieszkającemu na drugim końcu świata, musi odnaleźć wierzyciela i zapłacić rachunek. Tak napisano w świętych księgach. Codziennie Jasza przypominał sobie dalsze popełnione przez siebie złe uczynki. Pogwałcił każdy nakaz *Tory*, złamał niemal każde przykazanie. Postępując tak, uważał się za człowieka prawego, mogącego oskarżać innych. Jaką przeciwwagą dla bólu, który sprawił, jest niewielka

obecna niewygodą? Nadal żył w jakim takim zdrowiu. Nawet noga zagoiła się, oszczędzając mu kalectwa. Wiedział, że prawdziwa kara spotka go dopiero na tamtym świecie; trzeba rozliczyć się z każdego postępu, każdego słowa, każdej myśli. Pozostawała jedna tylko pociecha: że Bóg jest miłosierny i litościwy i że w ostatecznym rozrachunku dobro musi zatriumfować nad złem. Ale co to takiego zło? Przez trzy lata studiował ze swymi nauczycielami Kabałę: świadom był już, że zło to tylko ograniczenie, które narzucił sobie sam Bóg, będący nieskończonością, przy stworzeniu świata, aby być Stwórcą i okazywać miłosierdzie swym stworzeniom. Jak król musi mieć swych poddanych, tak stwórca musi tworzyć, a dobroczyńca mieć beneficjentów. W tym rozumieniu Pan wszechświata musi polegać na swoich dzieciach. Nie wystarczało jednak prowadzenie ich litościwą ręką. Musieli nauczyć się sami nie zbaczać ze ścieżki prawości, trzymać się jej z własnej, nieprzymuszonej woli. Na to czekano w Niebiosach. Aniołowie i serafini pragnęli gorąco, by synowie Adama byli prawi, by modlili się z pokorą, dawali ze współczuciem. Tak, każdy dobry uczynek udoskonalał wszechświat, każde słowo *Tory* splatało koronę boskości. I na odwrót, najłżejsze wykroczenie odbijało się echem w najbardziej ulotnych światach, odraczając dzień wyzwolenia.

Bywały chwile, kiedy nawet tu, w tej celi, Jasza chwiał się w wierze. W czasie czytania świętych ksiąg nachodziły go natrętne myśli: „Skąd mam wiedzieć, że mówią prawdę? Może nie ma Boga? Czy *Tora* mogłaby być wymysłem człowieka? Może torturuję się niepotrzebnie?”. Słyszał z wielką wyrazistością, jak zły duch przemawia do niego, przypomina dawne rozkosze, radzi mu zacząć na nowo rozpustne życie. Za każdym razem Jasza musiał go inaczej okpiwać. Kiedy presja była zbyt silna, udawał, że się zgadza z przeciwnikiem, iż trzeba wrócić do świata, lecz odkładał chwilę wyjścia na wolność. Kiedy indziej odpierał argumenty: „Przypuśćmy, Szatanie, że Bóg nie istnieje, ale że słowa wypowiedziane w jego imieniu są słuszne. Jeśli los człowieka zależy od nieszczęścia bliźniego, to nie ma szczęścia dla nikogo. Jeśli nie ma Boga, to człowiek musi zachowywać się jak Bóg”. Pewnego razu Jasza zapytał Szatana: „Któż więc stworzył świat? Skąd pochodzimy, ja i ty? Kto sprawia, że śnieg pada, wiatr wieje, moje płuca wciągają powietrze, mój mózg myśli?

Skąd wzięła się ziemia, słońce, księżyc, gwiazdy? Nasz świat ze swą odwieczną mądrością musi być dziełem czyjejs ręki. Umiemy poznać boską mądrość, czemuż więc nie mielibyśmy wierzyć, że za tą mądrością kryje się miłosierdzie Stwórcy?”.

Na takich dysputach Jasza spędził dnie i noce, doprowadzając się niemal do szaleństwa. Od czasu do czasu Belial odchodził i Jaszy wracała wiara; wręcz widział Boga, czuł Jego rękę. Zaczynał rozumieć, dlaczego dobroć jest potrzebna, delectował się słodyczą modlitwy, cudownym smakiem *Tory*. Z dniem każdym coraz jaśniejszy stawał się fakt, że święte księgi, które studiował, prowadziły do cnoty i życia wiecznego, że wskazywały drogę do celu stworzenia, podczas gdy to, co zostawił za sobą, było złe – tylko pogarda, kradzież i morderstwo. Nie istniała droga pośrednia. Jeden krok oddalający od Boga strącał w najgłębszą przepaść.

3

Święte księgi napominały Jaszę, aby ani na chwilę nie przestał mieć się na baczności. Szatan nigdy nie zaprzestaje ataków. Pokusy sypią się jedna po drugiej. Nawet do człowieka na łożu śmierci przychodzi Samael i usiłuje pozyskać go dla bałwochwalstwa. Jasza odkrył, że to prawda. Teraz bowiem Estera przychodziła niemal co godzinę, stukając w okiennicę, lamentując i zarzucając męża swoimi kłopotami. Wieczorem budziła go ze snu i próbowała całować. Nie zaniebądała żadnego kobiecego fortelu prowadzącego do grzechu i obracającego wiedzę w kpinę. Na dobitkę, jakby tego było za mało, zaczęli przychodzić do niego ludzie niczym do rabina cudotwórcy. Szukali jego rady, prosili o wstawiennictwo. Jasza błagał, aby go zostawiono w spokoju, ponieważ nie jest rabinem ani nawet synem rabina, lecz zwykłym człowiekiem, w dodatku grzesznikiem, ale na nic się to zdało. Kobiety zakradały się na podwórze, waliły w okiennicę, a nawet próbowały ją rozbić siłą. Zawodziły i krzyczały, a gdy nie ustępował, przeklinały go. Estera skarżyła się, że przeszkadza jej w pracy. Jaszę ogarnęło przerażenie. Przewidział wszystko, tylko nie to. On sam potrzebował rady. Czy według przepisów miał prawo odmawiać i przyczyniać ludziom smutku? Czy to w istocie nie aro-

gancja? Ale czyż ktoś taki jak on mógł wysłuchiwać ich próśb niczym rabin? Oba postępowania były niesłuszne. Po długich rozmyśleniach i wielu nieprzespanych nocach Jasza postanowił napisać do rabina w Lublinie. Ułożył list po żydowsku, wymieniając wszystkie szczegóły i obiecując zastosować się do decyzji rabina. Rabin nie zwlekał z odpowiedzią. W liście, również napisanym po żydowsku, rozkazywał Jaszy wysłuchiwać przychodzących przez dwie godziny dziennie, ale bez przyjmowania pieniędzy za odkupienie. Rabin pisał: „Ten, do którego Żydzi przychodzą na posłuchanie, jest rabinem”.

Tak więc Jasza przyjmował ludzi codziennie od drugiej do czwartej po południu. Żeby uniknąć zamieszania, Estera wypisywała kartki z numerami, które rozdawała, jak to się czyni u wziętych lekarzy. Ale i to nie pomagało. Ci, którzy mieli w domu chorego albo przeszli niedawno jakąś tragedię, żądali pierwszeństwa. Inni próbowali przekupić Esterę pieniędzmi i podarkami. Wkrótce miasto obiegły wieści o cudach czynionych przez Jaszę Pokutnika. Powiadano, że wystarczy, iż wypowie życzenie, a chorzy zdrowieli; mówiono, że pewien rekrut został wyrwany z rąk Rosjan, niemowa odzyskał mowę, a ślepiec wzrok. Kobiety nazywały teraz Jaszę świętym rabinem albo świętym. Wbrew jego woli zasypywano celę banknotami i monetami, które kazał rozdawać biednym. Młodzi chasydzi, którzy obawiali się, że Jasza przyciągnie do siebie część zwolenników ich rabinów, drwili z niego i ułożyli paszkwil wyliczający wszystkie jego dawne grzechy. Odpis posłali Esterze.

Nie, nie było końca pokusom. Jasza wycofał się ze świata, lecz przez okienko, które przepuszczało powietrze i światło, dochodziły do niego złe słowa, oszczerstwa, gniew i fałszywe pochlebstwa. Pojął teraz, dlaczego dawni święci wybierali wygnanie i nie spali dwa razy w tym samym miejscu; dlaczego udawali ślepych, głuchych i niemych. Nie można służyć Bogu pośród innych ludzi, nawet gdy oddziela ich mur z cegły. Zastanawiał się, czy nie wziąć tobołka na plecy, kija do ręki i nie pójść w świat nieznany, lecz wiedział, że sprawiłby niesłychany ból Esterze. Któż to mógł przewidzieć? Mogłaby się nawet rozchorować ze zmartwienia. Zauważył, że szwankuje na zdrowiu. Starzała się powoli. Magda, niechaj dusza jej zażywa spokoju, pokazała, co mogłoby się zdarzyć.

Nie, na tym świecie nie zazna spokoju ducha. Nie ma jutra bez

smutku, jak powiadają filozofowie. A jeszcze potężniejsze od pokus zewnętrznych są te, które rodzą się w człowieku, w jego umyśle, w jego sercu. Nie było godziny, w której Jaszy nie osaczałyby najrozmaitsze namiętności. Wystarczyło zapomnieć się na chwilę, a już zbierały się dokoła: puste wykwyty wyobraźni, sny na jawie, ohydne pragnienia. Z ciemności wyłaniała się twarz Emilii, nie dawała się odpędzić. Uśmiechała się, szeptała, mrugała do niego. Rozwahał nowe sztuczki, nowe żarty, którymi by zabawiał publiczność, nowe, zdumiewające iluzje i sztuki. Znow tańczył na linie, wykonywał na niej salto, płynął ponad dachami miast, a za nim biegł rozradowany tłum. Odganiał te swoje fantazje, jak umiał najpilniej, ale powracały jak uprzykrzone muchy. Pragnął mięsa, wina, wódki. Ogarniała go tęsknota za Warszawą, jej dorożkami, omnibusami, kawiarniami, cukierniami. Choć cierpiał na katar i reumatyzm, chociaż w żołądku wciąż go piekło, żądze jego się nie zmniejszały. Nie mając koło siebie kobiety, pomyślał, że mógłby grzeszyć jak Onan.

Przeciwno tym atakom od wewnątrz i z zewnątrz dysponował tylko dwoma środkami obrony: *Tora* i modlitwą. Dzień i noc studiował, ucząc się na pamięć wielu rozdziałów i recytował je leżąc na sienniku. „Błogosławiony, który nie słucha grzeszników”. „Panie, jakże rozmnożyli się, którzy mnie gnębią! Wielu powstanie przeciwko mnie. Wielu mówi o mojej duszy: «Nie ma dla niej ratunku w Bogu». *Sela*”. Tak długo powtarzał te ustępy, aż wargi mu popuchły. W myśli porównywał Złego do psa, który szczeka i nigdy nie przestaje gryźć. Trzeba go wciąż odganiać kijem, wrywać mu z pyska swoje pokąsane członki i rany opatrywać maściami i plastrem. Również pcheł w jego sierści należało się strzec bezustannie. Do ostatniego tchu.

Gdyby nie rzadkie uczucie ulgi, byłby na pewno umarł. Pies egipski nie zawsze gryzł z tą samą zaciekłością. Od czasu do czasu wycofywał się, zasypiał. Ale trzeba się mieć na baczności, żeby nie powrócił z odrodzoną siłą i bezczelnością.

4

Przychodzili do niego jeden po drugim ze swoimi kłopotami. Przemawiali do sztukmistrza Jaszy, jak gdyby był Bogiem. „Moja żona

jest chora. Mój syn musi iść do wojska. Konkurent przelicytował mi folwark. Moja córka postradała zmysły...” Wysuszony człowieczek miał na czole narośl wielkości jabłka. Jakaś dziewczyna miała od tygodnia czkawkę, nie mogła się jej pozbyć: w nocy, przy świetle księżycy, ujadła jak pies. Jasne, że siedział w niej dybuk, śpiewała bowiem psalmy i modły głosem kantora. Od czasu do czasu mówiła po polsku i po rosyjsku, chociaż nie znała tych języków, i w takich chwilach pragnęła pójść do księdza i wychrzcić się. Jasza modlił się za nich wszystkich. Za każdym razem jednak podkreślał, że nie jest rabinem, tylko zwykłym Żydem i do tego grzesznikiem. Suplikanci w odpowiedzi ponawiali prośby. Porzucona żona, której mąż zginął przed sześciu laty i która szukała go po całej Polsce, tak wrzeszczała, że Jasza musiał sobie zatkać uszy. Rzuciła się na jego budynek, jak gdyby chciała go zburzyć w swojej rozpacz. Z ust jej buchał zaduch cebuli i zepsutych zębów. Stojący za nią w kolejce zażądali, aby skróciła swoje skargi, ale ona machała tylko na nich pięściami i dalej krzyczała i zawodziła. Wreszcie ją odciągnięto. „Szumowina, dziwkarz, morderca!” – krzyczała do Jaszy.

Melancholijny młodzieniec zwierzył mu się, że demony z nim walczą, supłając jego cymes, wplątując kłaki włosów w brodę, wylewając wodę, którą przygotował do porannych ablucji, sypiąc do jego posiłków garściami sól i pieprz wraz z robakami i kozimi bobkami. Za każdym razem, gdy chciał załatwić potrzebę naturalną, przeszkadzała mu w tym diaboliczna. Młodzieniec miał ze sobą listy od rabinów i innych godnych zaufania świadków, potwierdzające jego słowa. Zjawiali się też przemądrzali uczeni, którzy dopadali Jaszę, aby dyskutować o religii, i zadawali różne nieznośne pytania. Młode nieroby przychodziły, aby drwić z niego i dyskredytować go mało znanymi cytatami z *Talmudu* lub słowami w języku aramejskim. Postanowił przyjmować ludzi tylko przez dwie godziny dziennie, ale okazało się, że musi stać przy oknie od świtu do nocy. Nogi tak mu się męczyły, że walił się na siennik i odmawiał wieczorne modlitwy na siedząco.

Pewnego dnia przybył Szmul Muzykant, dawny kompan od kieliszka. Szmul skarżył się, że ręka go tak boli, iż trudno mu grać na skrzypcach. Wystarczy podnieść instrument, a już przejmuje go ból. Dłoń, którą trącał struny, była sztywna i bez życia, końce palców żółte i pomarszczone. Szmul chciał jechać do Ameryki. Przekazał

Jaszy pozdrowienia od złodziei z Piasków. Elżbieta zmarła, Bolek przebywał w więzieniu janowskim, Chaim-Lejb w przytułku, Ślepy Mechł zaniewidział na jedyne zdrowe oko. Bejrysz Wysoker przeniósł się do Warszawy.

– Pamiętasz Małą Małkę? – spytał Szmul.

– Tak, co się z nią dzieje?

– Jej mąż także umarł – rzekł Szmul. – Zbito go na śmierć w więzieniu.

– Gdzie ona teraz jest?

– Wyszła za mąż za szewca z Zakiełkowa. Ledwie odczekała trzy miesiące.

– Ach tak?

– A może pamiętasz Zewtel? Tę dziewczynę, która wyszła za Lejbusia Lekacza – powiedział nieśmiało Szmul.

Jasza się zaczerwienił.

– Tak, przypominam sobie.

– Jest bajzelmamą w Buenos Aires. Wyszła za mąż za faceta imieniem Herman. Rzucił dla niej żonę. Są właścicielami jednego z największych burdeli.

Jasza milczał przez chwilę.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Herman przyjeżdża do Warszawy po świeże transporty kobiet. Znam muzykanta, który przyjaźni się z jego siostrą. Ona mieszka na Niskiej i prowadzi cały interes.

– Naprawdę?

– A co u ciebie? Czy to prawda, że jesteś rabinem?

– Nie, nieprawda.

– Wszyscy o tobie mówią. Powiadają, że przywracasz umarłym życie.

– Tylko Bóg może tego dokonać.

– Najpierw Bóg, potem ty...

– Nie mów bzdur.

– Chciałbym, abyś zmówił za mnie modlitwę.

– Niechże Bóg cię wspomóż.

– Jaszele, patrzę na ciebie i nie poznaję cię. Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty.

– Starzejemy się.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego?

– Nie mogłem już oddychać.

– No, ale czy tu jest łatwiej? Myślę o tobie... myślę o tobie w dzień i w nocy.

Szum przybył wieczorem. Estera osobiście go zaanonsowała. Była ciepła letnia noc. Księżyc świecił, niebo lśniło gwiazdami. Kumkały zaby, od czasu do czasu krakał kruk. Cykały świerszcze. Starzy przyjaciele patrzyli na siebie, każdy po swej stronie okna. Jaszy broda posiwiiała niemal zupełnie, w oczach migotały mu złote cętki. Dwa potargane pejsy zwisały spod jarmułki. W bokobrodach Szmula również lśniły siwe nitki, twarz miał zapadłą. Odezwał się ponurym głosem:

– Mam wstręt do wszystkiego, to fakt. Gram tu i tam. Jeszcze jeden marsz weselny, jeszcze jeden taniec na dzień dobry. Żartownisie weselni powtarzają te same odgrzewane dowcipy. Czasami w środku uroczystości mam ochotę uciec.

– Dokąd?

– Sam nie wiem, może do Ameryki. Codziennie ktoś umiera. Jak tylko otworzę oczy, zaraz pytam: „Jentel, kto dziś umarł?”. Z samego rana przychodzą jej przyjaciółki z nowinami. Gdy tylko usłyszę kto, czuję ból w sercu.

– No dobrze, ale przecież w Ameryce też ludzie umierają.

– Tam nie znam tylu osób.

– Tylko ciało umiera. Dusza żyje nadal. Ciało jest jak ubiór. Kiedy się zbrudzi czy wytrze, wyrzuca się go.

– Nie chciałbym, jak to mówią, cię zirytować, ale czy byłeś kiedykolwiek w niebie i widziałeś dusze?

– Jak długo żyje Bóg, tak długo żyje wszystko. Śmierć nie może zrodzić się z życia.

– Niemniej, człowiek się boi.

– Człowiek pozbawiony lęku byłby gorszy od zwierzęcia.

– I tak jest gorszy.

- Mógłby być lepszy. To zależy od niego.
- Jak? Co powinniśmy zrobić?
- Nikogo nie krzywdzić. Nie mówić źle o nikim. Nie mieć nawet złych myśli.
- Co to pomoże?
- Gdyby każdy tak postępował, nawet nasz świat byłby rajem.
- To się nigdy nie stanie.
- Każdy z nas musi czynić wszystko, na co go stać.
- Czy przyjdzie wtedy Mesjasz?
- Nie ma innego sposobu.

5

Natychmiast po święcie Sukot zaczęły się deszcze. Wiały zimne wiatry, gniły spadłe jabłka, zwiędły liście, zielona trawa pożółkła. O świcie ptaki budziły się ze świergotem, a potem milczały przez resztę dnia. Jaszę Pokutnika dręczyło zaziębienie. Nie mógł oczyścić zatkanego nosa. Bóle przeszywały mu czoło, skronie, uszy. Dostał chrypki. W nocy Estera usłyszała jego kaszel. Nie wytrzymała w łóżku i poszła do niego w szlafroku i rannych pantoflach błagać, aby porzucił narzucone przez siebie samego więzienie.

Lecz Jasza odpowiedział:

- Bestię należy trzymać w klatce.
- Zabijasz się.
- Lepiej siebie niż innych.

Estera wróciła do łóżka, a Jasza na swój siennik. Nie rozbierając się, otulił się kocem. Nie było mu już zimno, ale sen nie przychodził. Słyszał szum deszczu uderzającego o gonty dachu. Z ziemi dochodził jakiś szelest, jak gdyby ryły tam krety lub zmarły obracał się w grobie. On, Jasza, zabił zarówno Magdę, jak jej matkę, spowodował uwięzienie Bolka, przyczynił się do tego, że Zewtel stała się tym, czym się stała. Czuł, że Emilia również nie przebywa już między żyjącymi. Często mówiła, że Jasza to jej ostatnia nadzieja. Bez wątplenia skończyła ze sobą. A gdzie jest teraz Halina? Myślał o nich codziennie,

o każdej godzinie. W myśli wzywał dusze umarłych i błagał, aby dały mu jakiś znak.

– Gdzie jesteś, Magda? – szeptał w ciemności. – Co się stało z twoją umęczoną duszą? Czy ona wie, że tęsknię za nią i pokutuję? Czy też jest tak jak u Eklezjasty: „Ale umarli o niczym nie wiedzą”.

Jeżeli to prawda, to wszystko na nic się zdało. – Przez chwilę wyobraził sobie, że dostrzega w mroku jakąś twarz, jakąś postać. Niebawem jednak wszystko rozplynęło się w ciemności. Bóg milczał. Milczały anioły. A także umarli. Nawet demony nic nie mówiły. Kanały wiary zatkały się, jak jego nos. Posłyszał odgłos drapania – to tylko mysz polna.

Przymknął powieki i zdrzemnął się. W snach odwiedzali go umarli, lecz nie objawiali niczego, plotąc tylko głupstwa i błaznując bez sensu. Zbudził się nagle. Usiłował zrekonstruować swoje sny, na próżno, bo zasnuły się mgłą. Jedno jest pewne: w pamięci nie zostało nic. Sny jego są perwersyjne, nielogiczne – jak gaworzenie dziecka lub bełkot szaleńca.

Jasza zaczął recytować Traktat o Błogosławieństwach, aby odpędzić złe myśli: „Od której godziny wieczornej można recytować *Szmę*? Od chwili, gdy kapłani wejdą do świątyni, by spożyć ofiarę podniesienia...”. Przechodząc od pierwszego ustępu do drugiego, wyobraził sobie coś nowego: Emilia żyje. Kupiła posiadłość w Lublinie i kazała wykopać tunel łączący bezpośrednio jej sypialnię z jego celą. Przyszła i oddała mu się. Tuż przed świtem pospieszyła z powrotem do domu. Jasza zadrżał. Na moment opuściła go czujność i już zaczęły go drażnić fantastyczne myśli niczym myszy lub gnomy. Zamieszkiwały jego umysł, zawsze gotowe go zbrukać. Ale czym są? Jaki jest ich cel w biologii człowieka? Szybko przeszedł do następnego ustępu: „Od jakiej chwili można recytować *Szmę* rano? Gdy tylko można odróżnić błękit od bieli. Rabin Elizer powiada «błękit od zieleni»”. Jasza chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz nie miał już siły. Przesunął dłonią po wychudłym ciele, gęstej brodzie, obłożonym języku, zębach, których większość już się chwiała. „Czy tak będzie aż do końca? – pomyślał. – Czy nigdy nie zaznam spokoju? Jeśli tak, to niechże nadejdzie koniec!”.

Chciał przewrócić się na drugi bok, ale obawiał się, że koc i szma-

ty, które go przykrywały, zsuną się z niego. Wokoło czaił się mróz gotów każdej chwili go przeniknąć. Znowu zachciało mu się oddać mocz, mimo to się nie poddał. W jaki sposób zbierało się w nim tyle uryny? Zebrał siły i zaczął mamrotać trzeci ustęp: „Szkoła Szamaja głosi: «Wieczorem wszyscy, którzy odmawiają modlitwę *Szma*, winni leżeć, lecz rano winni stać, albowiem napisano: a kiedy ty leżysz i kiedy ty wstajesz...»”. Usnął i śnił, że musi oddać mocz. Poszedł do szopy, tam jednak stała Emilia. Mimo jego zażenowania powiedziała z uśmiechem: „Rób, co trzeba”.

O świcie deszcz ustał i zaczął padać śnieg, pierwszy śnieg tej zimy. Na wschodzie zebrały się chmury, ale gdy słońce wstało, niebo stało się różowe i żółte. Blask wschodzącego słońca rozświetlił krawędź chmury i błysnął ognistym zygzakiem. Jasza podniósł się i otrząsnął z nocnego znużenia i nocnych zwątpień. Kiedyś czytał o płatkach śniegu, a teraz chciał to sprawdzić. Każdy płatek padający na parapet okna był sześciokątem z łodyżkami i różkami, ozdobami i przyrośłami, był dziełem tej ukrytej ręki, którą widać wszędzie – na ziemi i w chmurach, w złocie i w padlinie, w najodleglejszej gwiazdzie i w sercu człowieka. Jakże inaczej nazywać tę moc, jeśli nie Bogiem? – zapytał siebie Jasza. – Co to za różnica, gdy się ją nazwie przyrodą?”. Przypomniał sobie ustęp *Psałmów*: „Azali ten, który szczepił ucho, nie słyszy? I który ukształtował oko, nie widzi?”. Szukał znaku, a przecież w każdej minucie, każdej sekundzie, w nim i na zewnątrz Bóg dawał znać o swej obecności.

Estera już wstała; widział dym ulatujący z komina. Przygotowywała dla niego posiłek. Śnieg wciąż padał, jednakże ptaki śpiewały dłużej niż zwykle. Te święte istoty, nie posiadające nic oprócz kilku piórek i rzadkich okruchów, swiergotały radośnie w swych kryjówkach.

– No, dość już zmarnowałem czasu! – powiedział Jasza i zdjawszy surdut i koszulę, zaczął myć się wodą z dzbanka. Zebrał śnieg z parapetu i natarł nim ciało. Wciągnął głęboko powietrze i wykrztusił całą flegmę. Zatkany nos oczyścił się jakby cudem. Raz jeszcze napełnił płuca chłodnym rannym powietrzem. Gardło mniej mu dukało, zaczął więc donośnym głosem odmawiać poranną modlitwę:

– „Dziękuję Ci. Jakże boskie są twoje prawidła! Boże mój, dusza, którą mi dałeś, jest czysta; Tyś ją stworzył; Tyś ją ukształtował; Tyś

ją we mnie tchnął; Ty ją we mnie zachowujesz; i Ty mi ją odbierzesz, ale oddasz mi ją później”.

Potem włożył tałas i tefilin. Chwała niech będzie Bogu, że go nie wtrącił do prawdziwego więzienia. Tu, w swej celi, może modlić się głośno i studiować *Torę*. Kilka kroków dalej znajdowała się oddana mu żona. Czcigodni Żydzi, wnukowie męczenników i świętych, szukali jego rady i błogosławieństwa, jak gdyby był rabinem. Chociaż zgrzeszył ciężko, Bóg w miłosierdziu swym nie pozwolił mu zginąć w grzechu. Los zawyrokował, aby czynił pokutę. Czyż istniała większa łaskawość? Czegóż więcej mógł spodziewać się morderca? Jak osądziłby go sąd doczesny?

Po „Słuchaj Izraelu” ofiarował Osiemnaście Błogosławieństw. Doszedłszy do słów: „Zaprawdę, błogosławiony jesteś, zwracasz dusze martwym ciałom”, zamilkł, aby je rozważyć. Tak, Bóg, który potrafił ukształtować płatki śniegu, uformować człowieka z nasienia, rządzić słońcem, księżycem, kometami, planetami i konstelacjami, zdolny był również wskrzeszać zmarłych. Tylko głupcy mogli temu zaprzeczać. Bóg był wszechpotężny. Z pokolenia na pokolenie wszechpotęga ta stawała się coraz bardziej oczywista. Człowiek dokonywał teraz rzeczy, które niegdyś wydawały się niemożliwe dla Boga. Wszelka herezja opierała się na założeniu, że człowiek jest mądry, a Bóg głupi; że człowiek jest dobry, a Bóg zły; że człowiek jest istotą żywą, a Stwórca jest martwy. Wystarczyło porzucić te niegodziwe myśli, a natychmiast otwierały się wrota prawdy. Jasza chwiał się, bił w piersi, chylił głowę. Otworzywszy oczy, ujrzał w oknie Esterę. Oczy jej się śmiały. Trzymała garnek, z którego unosił się obłok pary. Ponieważ odmówił już Osiemnaście Błogosławieństw, więc skinął głową i pozdrowił ją. Opuściły go wszelkie gorzkie myśli. Znow nappełniła go miłość. Widocznie Estera dostrzegła to na jego twarzy. Ostatecznie, człowiek umie oceniać. Widzi wszystko, jeśli tylko chce widzieć.

Estera wraz z jedzeniem przyniosła mu list. Koperta była pognieciona. Widniało na niej nazwisko Jaszy i nazwa miasta. Brakowało ulicy i numeru domu.

Zdjął tefilin i obmył ręce. Estera przyniosła mu ryż z gorącym mlekiem. Jadł przy stole, odłożywszy list, który postanowił przeczytać dopiero po śniadaniu. Ta półgodzina należała do Estery. Stała przy

oknie, obserwując go i mówiąc, podczas gdy on jadł. Obawiał się, że będzie to stały refren: o jego zdrowiu, że się zabija, niszczy jej życie – lecz nie, tego ranka nie żaliła się jak zwykle.

Uśmiechnęła się do niego macierzyńsko i opowiedziała o otrzymanych zamówieniach, plotkowała o pracowni i szwaczkach. Oznajmiła, że zamierza odmalować dom na Pesach. Nie chciał zjeść całego ryżu, ale Estera nalegała, przysięgała, że się nie ruszy, póki nie przełknie ostatniej łyżki. Czuł, że wracają mu siły. Mleko które pił, pochodziło od jego własnej krowy, ryż wyhodowano gdzieś w Chinach. Tysiące rąk pracowało na to, aby dostarczyć mu jedzenie do ust. Każde ziarnko ryżu zawierało w sobie ukryte moce Niebios i ziemi.

Skończywszy ryż i kawę z cykorią, rozdarł kopertę. Zerknął szybko na podpis i oczy mu zwilgotniały. Ogarnęła go radość pomieszana ze smutkiem. To Emilia pisała do niego. Więc Emilia żyje! Nie od razu jednak zaczął czytać, najpierw podziękował Bogu. Po czym ocierając oczy chusteczką, czytał:

Mój drogi Panie Jaszo (a może powinnam zwracać się do pana jako do rabina Jakuba?)!

Dziś rano otworzywszy „Kurier Poranny”, zobaczyłam Pana nazwisko, po raz pierwszy od przeszło trzech lat. Byłam tak zdumiona, że nie mogłam dalej czytać. Przede wszystkim pomyślałam, że znów Pan występujesz, tu lub za granicą, potem jednak przeczytałam skwapliwie cały artykuł i pogrążyłam się w smutku i ciszy. Pamiętam, iż często dyskutowaliśmy o religii i że wyrażałeś pan opinie, które uważałam za deizm, za wiarę w Boga bez dogmatu i objawień. Kiedy opuściłeś nas tak nagle i w tak niezwykły sposób, często myślałam, że to dowód na to, jak wątłą pomocą jest wiara bez dyscypliny dla człowieka przechodzącego kryzys duchowy. Odszedł Pan, nie pozostawiając śladu. Zniknąłeś, jak to się mówi, z pola widzenia, przepadłeś jak kamień w wodę. Często układałam w myśli listy do Ciebie. Przede wszystkim chcę powiedzieć, jeżeli ten list do Pana dotrze, że przyjmuję na siebie całą winę. Dopiero po Pana odejściu zrozumiałam, jak źle się zachowałam. Wiedziałam, że masz żonę. To ja wciągnęłam Pana w tę całą sprawę, ja więc jestem moralnie odpowiedzialna. Wiele razy chciałam Panu to powiedzieć, ale odniosłam wrażenie, iż wyjechałeś do Ameryki czy Bóg wie gdzie.

Relacja w dzisiejszym numerze „Kuriera” o tym, jak uwięziłeś się w kamieniu, jak stałeś się świętobliwym człowiekiem, i jak Żydzi, mężczyźni i kobiety, czekają u Twego okna na błogosławieństwo, wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Łzy przeszkadzały mi w czytaniu. Często płakałam nad Panem, ale teraz to były łzy radości. Minęło dwanaście godzin, a przecież siedząc tu i pisząc list, znów płaczę: po pierwsze dlatego, że wykazałeś tak wielki hart ducha; po drugie, gdyż pokutujesz za moje grzechy. Zastanawiałam się kiedyś poważnie, czy nie wstąpić do klasztoru, musiałam jednak myśleć o Halinie. Nie mogłam ukryć przed nią tego, co się stało. I ona na swój sposób kochała Pana i niezmiernie podziwiała, toteż odczuła to jako wielki cios. Nocami leżałyśmy razem w łóżku i płakałyśmy. Halina rozchorowała się nawet i musiałam wysłać ją do sanatorium w Zakopanem w Tatrach. Nie byłoby mnie na to stać (proszę pamiętać o moim położeniu materialnym), gdyby nie pospieszył nam z pomocą anioł w ludzkiej postaci, przyjaciel mego drogiego nieżyjącego męża, profesor Marian Rydzewski. Trudno w jednym liście opisać wszystko, co dla nas zrobił.

Los zdarzył, że właśnie zmarła jego żona (od lat cierpiała na astmę). Kiedy więc ten dobry człowiek zaproponował mi małżeństwo, nie mogłam odmówić. Ciebie już nie było; Halina przebywała w sanatorium; zostałam sama na tym Bożym świecie. Powiedziałam mu całą prawdę, nie pominęłam niczego. To stary człowiek, emeryt, ale wciąż jeszcze czynny; cały dzień czyta i pisze, i jest niestęchanie dobry dla mnie i dla Haliny. Tyle tylko mogę teraz powiedzieć. Halina powróciła do zdrowia w Zakopanem, z trudem ją poznałam, kiedy przyjechała do domu, tak wyrosła i rozkwitła. Kończy osiemnasty rok, mam nadzieję, że więcej będzie miała szczęścia od swojej matki. Profesor Rydzewski jest dla niej tak dobry jak rodzony ojciec i spełnia wszystkie jej zachcianki. To nowe pokolenie wydaje się egoistyczne, nie uznaje ograniczeń i uważa, że należy mu się wszystko, czego dusza zapragnie.

No, dość już o mnie. Nielatwo mi pisać do Pana. Nie mogę wyobrazić sobie Pana z długą brodą i pejsami, jak Pana opisał dziennikarz. Może nie wolno Panu nawet przeczytać mojego listu? Jeśli tak, to proszę wybaczyć. Myślałam o Panu przez te wszystkie lata, nie ma dnia, abym o Nim nie myślała. Z jakiegoś tajemniczego powodu źle

sypiam, a mózg ludzki to taki kapryśny organ. W mojej wyobraźni widziałam Pana zawsze w Ameryce, w ogromnym teatrze lub cyrku, otoczonego luksusem i pięknymi kobietami. Lecz rzeczywistość obfituje w niespodzianki. Nie śmiem Panu mówić, co dobre, a co złe, ale wydaje mi się, że wymierzylesz sobie zbyt surową karę. Pomimo swej siły jesteś Pan człowiekiem delikatnym i nie wolno Ci narażać zdrowia. Wszak nie popełniłeś żadnej zbrodni. Zawsze byłeś dobry i łagodny. Ten krótki okres, kiedy Cię znalazłam, to najszczęśliwszy okres w moim życiu.

List jest już zbyt długi. Znow w Warszawie mówią o Panu, ale tym razem wyłącznie z podziwem. Mamy teraz w domu telefon i dzwoniło do mnie wiele osób, które wiedziały o naszej przyjaźni. Sam profesor Rydzewski zaproponował, abym napisała, i przesyła serdeczne życzenia, chociaż Pana nie zna. Halina jest uszczęśliwiona, że Pan żyjesz, i mówi, iż wkrótce napisze długi list. Niech Bóg nad Tobą czuwa.

Pańska oddana na wieki

Emilia

Słowniczek

Agady – (po hebrajsku *hagada* „opowieść”) część *Talmudu* spisana między II a IV w. n.e. i składająca się z legend, przypowieści, alegorii, metafor i sentencji poetyckich. Czyta się je w jesziwie, a także podczas obrzędów ślubnych i pogrzebowych. *Agada* o wyjściu Żydów z Egiptu czytana jest podczas wieczerzy sederowej w święto Pesach.

Arka Przymierza – (Aron Hakodesz) szafa pośrodku wschodniej ściany bóżnicy, w której mieszczą się zwoje *Tory*.

Belial – grzesznik, duch niemoralny, tkwiący często w duszy człowieka.

Bima – podium w środku bóżnicy, na którym w czasie nabożeństw czyta się odpowiednie ustępy z *Tory*.

Chasydyzm, chasyd – (hebr. „prawy, sprawiedliwy, bogoboyny”) ruch religijno-mistyczny, którego twórcą był Izrael Baal Szem Tow („posiadacz dobrego imienia”) żyjący w XVIII w. na Podolu. Jest to ruch opozycyjny w stosunku do urzędowej gminy (kahału) i urzędowego rabina. Na czele grupy chasydów stoi rebe, cadyk, wybrany nauczyciel i przywódca duchowy. Ideologia oparta na tradycyjnym talmudycznym judaizmie oraz na Kabale. Adoracja Boga w uproszczonym rytuale połączonym ze śpiewem i tańcami często graniczącymi z ekstazą.

Cheder – (hebr. „izba”) elementarna szkoła żydowska, w której chłopcy od piątego roku życia uczyli się *Pięcioksięgu*. W chederze był jeden nauczyciel zwany melamedem.

Cyces – frędzle zwisające z czterech rogów tałesu używanego w czasie modlitwy lub małego tałesu noszonego stale przez pobożnych Żydów pod ubraniem.

Dybuk – duch zmarłego, który wstąpił w żywego człowieka.

Dziewiąty dzień miesiąca Aw – w tym dniu i w tym miesiącu (wypada on w lipcu–sierpniu) w r. 586 p.n.e. spalono pierwszą Świątynię Jerozolimską i w tym dniu tegoż miesiąca w r. 70 n.e. spalona została przez Tytusa druga Świątynia. Jest to dzień postu.

Frankiści – od założyciela mistycznej sekty Jakuba Lejbowicza Franka, urodzonego w Korolówce na Bukowinie w r. 1726 i zmarłego w Offenbach nad Menem w 1791. Sekta wypowiedziała wojnę oficjalnej nauce rabinackiej. Miała poparcie biskupa Dembowskiego z Kamieńca, który urządził dysputę między frankistami a rabinami w r. 1757 i rozstrzygnął ją na korzyść Franka. W rezultacie nakazano spalić księgi *Talmudu* na rynku w Kamieńcu. Po nagłej śmierci biskupa Dembowskiego frankiści utracili swoją pozycję i naciskani przez ortodoksyjnych Żydów rozpierzchli się na wszystkie strony. Frank zwrócił się następnie do króla Augusta III i ministra Brühla z prośbą o pomoc i opiekę. Król roztoczył nad frankistami kuratelę i wtedy wrócili oni na Podole. Frank zwrócił się następnie do arcybiskupa lwowskiego o urządzenie nowej dysputy. Zorganizował ją kanonik Mikulski, a przedstawicielami Franka w niej byli Eliasza (czyli Elisza) Szor i Lejb Krysa. Kanonik Mikulski po krótkiej dyskusji uznał rabinów za pokonanych. Po dyspucie przyjęło chrzest kilkuset stronników Franka, wśród nich Elisza Szor, późniejszy Wołowski (Szor po hebrajsku znaczy „wół”), oraz Lejb Krysa (po chrzcie Krygowski). Rodzicami chrzestnymi byli wybitni szlachcice. Sam Frank przyjął chrzest we Lwowie wraz z żoną i córką Ewą. Jego rodzicami chrzestnymi byli F. Rzewuski i M.A. Brühlowa. Nazwiska frankiści otrzymywali od nazwy miejscowości, w której zostali ochrzczeni, albo od nazwy miesiąca, np. Majewski.

Ganew – po hebrajsku „złodziej”.

Gemara – część *Talmudu* pisana po aramejsku i po hebrajsku, uzupełnienie *Miszny*.

Goj – nie-Żyd.

Groźne Dni – (hebr. Jomim Noraim) dni między Rosz Haszana a Jom Kippur. Decyduje się wtedy los człowieka na następny rok – w Rosz Haszana Bóg zapisuje go albo w Księdze Żywota, albo w Księdze Śmierci, a w Jom Kippur zapada ostateczna decyzja.

Hakdamot – modlitwy odmawiane śpiewnie w święto Szewuot.

Jesziwa (w liczbie mnogiej jesziwot) – wyższa szkoła teologiczna kształcąca rabinów i nauczycieli religii.

Jom Kippur – Dzień Odpustu, nazywany również Sądny Dniem lub Dniem Pojednania.

Kabała – tradycja ustna, nauka mistyczno-apologetyczna w judaizmie. Rozwinęła się w XII w. w system teozoficzno-filozoficzny. W w. XIII ukazało się podstawowe dzieło Kabały – *Zohar*. Kabałiści uważali, że prawdziwy sens *Biblii* zawarty jest w podtekście. Wierzyli w magiczną siłę świętych liter tekstu biblijnego.

Kadisz – modlitwa za zmarłych, również osoba ją odmawiająca.

Kantor – śpiewak prowadzący w bóżnicy modlitwy.

Koszer – nadający się do spożycia według prawnych norm żydowskich.

Litwak, Litwacy – Żyd z Litwy lub Białorusi mówiący innym dialektem niż Żydzi w Kongresówce. Litwacy w większości byli przeciwnikami chasydów.

Menora – świecznik siedmioramienny używany w świątyniach żydowskich do oświetlania ołtarzy i pulpity modlitewnych. Jest jednym z symboli Świątyni Jerozolimskiej i judaizmu.

Mezuza – (po hebrajsku „odrzwia”) zwitek pergaminu z tekstem *Pisma* umieszczony w futerale z blachy lub drewna, przybity do framugi. Ma charakter talizmanu.

Midrasz – (po hebrajsku „wyjaśnianie, badanie”) komentarze do ksiąg biblijnych zawierające normy postępowania. Ustne przekazy rabinów i nauczycieli Zakonu spisane zostały pod koniec IX w.

Minjan – dziesięciu Żydów stanowiących niezbędne kworum do odprawienia modlitwy.

Miszna – część *Talmudu*, zawiera spisanie prawa Mojżeszowego. Napisana po hebrajsku.

Pesach – Wielkanoc, Święto Wolności upamiętniające wyjście z Egiptu.

Rabin – od średniowiecza rabin jest funkcjonariuszem gminy żydowskiej (kahału) i przysługuje mu orzecznictwo w sprawach rytuału (koszer), interpretacja prawa żydowskiego, nadzór nad nauczaniem, chederem, jesziwą oraz odpowiedzialność wobec władz za podatki.

Rebe – (rabi, przywódca chasydów) nauczyciel, cadyk. Początkowo sprawował przywództwo z wyboru, potem dziedzicznie, miał dwór i swoich chasydów.

Rosz Haszana – („początek roku”) Nowy Rok. Wypada mniej więcej we wrześniu. Dzień, który decyduje o życiu człowieka. Wraz z Jom Kippur należy do Groźnych Dni.

Seder – wieczerza w wieczór poprzedzający pierwszy dzień Pesach oraz w pierwszym dniu święta Pesach.

Sela – na wieki.

Siwan – nazwa miesiąca w kalendarzu żydowskim, wypada w maju–czerwcu.

Sukot – Święto Szałasów albo Kuczki, obchodzone na pamiątkę budowania szałasów w czasie pobytu na pustyni. Święto zakończenia zbiorów.

Szabas – sobota.

Szadaj – Wszechmocny. Przymiotnik dodawany do określenia Boga.

Szamaj – uczonec w *Piśmie*, twórca szkoły interpretatorskiej z I w. p.n.e. Szkoła ta odznacza się pewną surowością i dogmatyzmem.

Szames – posługacz bóżnicy.

Szewuot – święto objawienia *Tory* na górze Synaj, bywa również nazywane świętem pierwszych zbiorów pszenicy i owoców.

Szma (Izrael) – „Słuchaj Izraelu”, modlitwa.

Tablice Przymierza – księga kabalistyczna.

Talmud – (od hebrajskiego *lamod* „uczyć się”) całokształt piśmiennictwa religijno-doktrynalnego judaizmu. Uzupełnienia i komentarze do *Pisma*, dyskusje. Składa się z *Miszny* i *Gemary*. Obejmuje *Halachy* (przekazy ustne) i *Agady*. *Talmud* został opracowany w dwu niezależnych redakcjach – jerozolimskiej w IV w. i babilońskiej w VI w.

Tales – biały szal zazwyczaj w czarne paski nakładany przez Żydów do modlitwy w soboty i święta.

Tales kutn (*Talit katan*) – mały tales noszony pod ubraniem przez pobożnych Żydów. Z jego czterech rogów zwisają cyces.

Tefilin – (od hebrajskiego *tefila* „modlitwa”) filakterie, ręcznie spisane na pergaminie cytaty z *Pięcioksięgu* włożone do dwóch pudełek. Jedno z nich umieszcza się za pomocą rzemyków na czole, drugie na lewym ramieniu. Wkładają je Żydzi od trzynastego roku życia w czasie modlitwy porannej w dni powszednie jako symbol oddania się Bogu sercem, umysłem i wolą. Bardzo stary zwyczaj, wprowadzony przez faryzeuszów.

Tora – obejmuje *Pięcioksiąg*, w szerszym znaczeniu oznacza w ogóle naukę, wiedzę.

Zohar – („odblask”) główna księga Kabały, napisana po aramejsku. Autorem jej (lub tylko redaktorem) był Mojżesz Baał Szem Tow z Leonu żyjący w XIII w. Formalnie jest to komentarz do *Biblii*, w którym nauki mistyczne powiązane są z legendami, a nawet z filozofią. Wszystko to zostało włożone w usta Szymona Bar Jochaja, mistyka egzegety *Pisma* z czasów antyrzymskiego powstania pod wodzą Bar Kochby (II w. n.e.).